



PETER KERR

DOM NA POŁUDNIU

Wydawnictwo
Trzcina Noga

Kerr Peter

Dom na południu

Doogie O'Mara, młody student weterynarii ze Szkocji, zgłasza się do pracy jako rezydent biura podróży w Afryce. Zamiast tego trafia na Majorkę, prosto w chaos miejscowej agencji turystycznej. Jednak prawdziwe kłopoty pojawią się, gdy zostanie oczarowany młodą dziewczyną. Kiedy w końcu przyjdzie pora, by Doogie wrócił do domu, będzie musiał zdecydować, czy w życiu liczy się tylko jego świetlana kariera weterynarza w Szkocji, czy też możliwość życia na ciepłej Majorce, u boku ukochanej i wśród nowych przyjaciół. Dom na południu to książka pełna uroku i słonecznego ciepła Majorki.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Viva Mallorca!”

W domu, w Szkocji, młody Doogie O'Mara kilka razy budził się z kacem takim jak ten, kiedy to najróżniejsze dziwne myśli przebiegały mu po głowie na przemian z wyrzutami sumienia, a czasem nawet ukłuciami czystej paniki. Tym razem jednak było inaczej. Po pierwsze Doogie nie spał, a po drugie - nie pił!

A jednak oto siedział, świeżo po drugim roku weterynarii, w wyczarterowanym przez Merryweather Holidays samolocie, otoczony przez dwustu śpiewających *Viva Espana*, podpitych wczasowiczów, siedem mil nad Pirenejami, nieuchronnie zbliżając się do Palmy na Majorce.

Boże, jak on nienawidził tej wyspy - czy raczej tej niewielkiej jej części, którą widział. Miał wtedy dziewięć czy dziesięć lat: on, jego matka, ojciec i młodsza

siostra przez tydzień tkwili uwięzieni przez monsunowe sztormy w jakimś zapyziałym, jednogwiazdkowym hoteliku przy zapuszczonym zaułku w Ca'n Pastilla. To było dawno temu, ale Doogie pamiętał każdy nieszczęsny szczegół tych wakacji, jakby przeżył je dopiero wczoraj... Ściana nad jego łóżkiem upstrzona rozgniecionymi komarami; prysznic nad wanną, który sikał na człowieka zimną wodą, kiedy ten stał i krztusił się smrodem bijącym z odpływu; zawodzenie flamenco w wykonaniu robotników stawiających blok mieszkalny, którego można było prawie dotknąć z okna jego pokoju. Niekończące się wieczory gry w scrabble u rodziców, aż myślał, że dosłownie skona z nudów. Drobna dziewczyna, w cygańskim typie, z zepsutymi zębami i chudymi, krzywymi nogami, która przychodziła posłać jego łóżko i posprzątać pokój, szczyrzyła się do niego: „*Hola, guapol*” i uśmiechała się lubieżnie w sposób, którego wtedy nie rozumiał, a teraz bał się wspominać. Na koniec zaś najgorsze: kogucik, który zawział się, żeby budzić go codziennie o piątej rano. Sadystyczne bydlę jodłowało swoim zachrypniętym głosikiem ze środka wędnących grządek warzyw, które ktoś wciąż uparcie uprawiał między workami cementu i stertami gazobetonu na placu budowy po drugiej stronie ulicy. Boże, jak on nienawidził cholernejszej Majoriki!

- Wszystko gra, kolego? Trochę pan spięty jakiś jesteś.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział siedzący obok niego brzuchacz z Manchesteru w nylonowym

dresie - jeśli nie liczyć zamówienia połowy zawartości wózka z alkoholem dla siebie i podobnie w dres odzianej żony.

- Masz pan tu, kolego, chlapnij se pan wódki z colą. Panu się zaraz żołądek uspokoi.

- Nie, bardzo dziękuję, ja...

- Było, widzisz pan, rzucić coś na ząb. Tu pies pogrzebany. To cały sekret, napchać sobie brzuch. Ja tam nigdy w samolocie pawia nie puszczam, pan wiesz.

Choć żołądek wywracał mu się na lewą stronę, Doogie - z jakiegoś niewytłumaczalnego, podszytego masochizmem powodu, który przychodzi nam na myśl przy takich okazjach - nie był w stanie przestać kątem oka obserwować swego sąsiada. Pożerał on najbardziej obrzydliwą porcję samolotowego jedzenia, od której Doogie zawsze odwracał nos. Wygląd potrawy był, w co trudno uwierzyć, jeszcze mniej zachęcający niż jej zapach. Kiełbaska unurzana była w nieokreślonego pochodzenia zielonej brei, sugerującej, że albo kucharz miał jakiś okropny wypadek z przetartym zielonym groszkiem, albo przypadkiem na nowo odkrył penicylinę.

- Tak, świetne żarcie mają w samolotach Merryweathera - ciągnął z entuzjazmem nylonowy dres. - Trzeba było swoje wsunąć, tu pana problem, panie kolego!

Towarzysz lotu Doogiego do tego stopnia cenił sobie żarcie Merryweathera, że spożywszy wszystko, co przed nim położono, z wyjątkiem perfumowanej chusteczki odświeżającej, z zapalem pochłonął to, czego nie zjadła jego żona, a potem, chrząknąwszy pytająco,

uwolnił Doogiego od jego nietkniętej tacki i pożarł także jej całą zawartość.

— Pierwszy raz na Majorce, co? — spytał, kiedy ogłoszenie, że rozpoczęli zejście do lądowania w Palmie, ukróciło jego alkoholowe zapędy i mógł wreszcie nieskrepowanie użyć ust do celów konwersacyjnych.

— Nie, ja...

— Nieważne, panie kochany. Jak człowiek bywa na Majorce tak często jak ja i ta tutaj, to się zna każdego typu, a każdy typ zna ciebie. Nie tak, kluseczko?

Na wpół odwrócił się do żony, która była już zanadto pochłonięta ssaniem miętówki, grzebaniem sobie w uszach i dmuchaniem przez zatkany nos, żeby go usłyszeć.

— Tak, kolego, nie ma w Magalufie jednego angielskiego pubu, w którym nie znalazby starego Jacka Deana, dla kumpli Torvill, wiesz pan. Eee, aaa, a pan gdzie jedziesz? Hotel Barracuda, Trinidad, Maggie Park? Wszędzie tam byłem. Tak, nie ma w Magalufie hotelu, w którym by nie znali starego...

Doogie postanowił wyświadczyć swoim przytkanym uszom podwójną przysługę i pójść w ślady pani Dresowej, zastanawiając się po raz enty, po jaką cholereę zgodził się na tę wyprawę.

— Długo pan zostajesz? — spytał Torvill, kiedy już wprawnie zarządził aplauz dla pilota po udanym lądowaniu. - Dwa tygodnie? Ja i ta tutaj nigdy nie przylatujemy na mniej niż dwa tygodnie. Szkoda zachodu. Ale wiesz pan, nie byliśmy też nigdy dłużej niż miesiąc. Za dużo potem zamieszania z rozliczaniem renty.

Chory kręgosłup mam, wiesz pan, śmieciarzem byłem, wcześniejsza emerytura.

Puścił do Doogiego oko, prawie tak, jakby sprzedał mu niezły cynk na wyścigach.

- Go tu gadać, kolego! Ale, ten-tego, to na dwa tygodnie, tak?

- Nie, gorzej, przyleciałem na...

- Tylko na tydzień, co? Bardzo mądrze. W pana wieku musisz pan liczyć każdy grosz. O tak, się wie. Tak, grosz do grosza i...

- Na rok - przerwał mu Doogie. - Chciałem powiedzieć, że przyleciałem tu na rok... co najmniej.

Tu musiał wcisnąć się w oparcie, bo małżeństwo dresów rzuciło się do przejścia między fotelami, by sprawnie zająć czołową pozycję w kolejce do nieotwartego jeszcze wyjścia.

- Poważnie? - zawołał jeszcze Torvill, ewidentnie zbulwersowany. - Wygrałeś pan w totka czy jak?

Mokry beton! To właśnie ten zapach próbował przypomnieć sobie Doogie. Mokry beton - podczas tamtych wakacji cała Hiszpania wydawała się nim śmierdzieć i to samo uderzyło go teraz. Woń przesyciła cały terminal lotniska, wyciekała ze wszystkich porów betonowych wylewek w południowej duchocie. Zapach mokrego betonu połączony z aromatem ciał, przykrytych kremem do opalania, i słabą, ale charakterystyczną nutą ścieku w oddali.

Doogie rozejrzał się szybko po hali przylotów. Była jeszcze większa, niż zapamiętał. Większa, bardziej

zatłoczona, bardziej gwarna, gorsza! Teraz jednak nie było już odwrotu. „Rozglądać się za przedstawicielem Merryweather Holidays — tak powiedzieli. — Przedstaw się najbliższemu niebieskiemu blezerowi”. Nie trwało to długo.

— Cześć! — powiedział, podchodząc do pulchnej, wyglądającej na zmęczoną dziewczyny z imieniem „Angie” wyhaftowanym na klapie, tuż pod logo Merryweathera. — Jestem Doogie.

— Cześć, Doogie — odparła Angie z wymuszoną wesołością. — W którym hotelu masz rezerwację, skarbie?

Opuściła zaczerwienione oczy na podkładkę z papierami, którą nosiła jak trwałe przedłużenie lewej ręki.

— Nazwisko?

— O'Mara.

— O'Mara — powtórzyła i przesunęła palcem po liście nazwisk. — Hotel?

— Nie mam pojęcia. Nie przyleciałem tu na wakacje. Przyleciałem pracować... w Merryweather Holidays!

Angie plasnęła się ręką w czoło.

— Cholera! Przepraszam, skarbie. Słyszałam od Ingrid, że mam czekać, bo przylecisz tym głuptakiem, ale całkiem zapomniałam. Mieliśmy ciężką noc, wiesz. Pandemonium.

— Nie ma sprawy — rzucił lekko Doogie i, usiłując ukryć narastające złe przeczucia, serdecznie uściśnął jej dłoń. — Pokaż mi tylko, gdzie mam iść, i już się zabieram.

Angie szklanym wzrokiem patrzyła na pchającą wózki ludzką masę, ze znajomą parą w dresach na czele, nadciągającą właśnie od strony odbioru bagaży.

- Gdzie masz bagaż, Doogie? - spytała z roztargnieniem.

Doogie wskazał płócienną torbę u stóp.

- To wszystko. Zabrałem jako podręczny. Dlatego jestem pierwszy.

- Sprytnie, młody. - Angie szykowała się na odparcie nadciągającej nawały. - Dobrze, leć na zewnątrz i poszukaj autobusu numer siedem. Ma na boku logo Merryweathersa. Łap miejsce z przodu i zajmij jedno dla mnie. I nikomu go nie ustępuj, choćby miał jedną nogę. Będę siedzieć, nawet jeśli któryś z tych cholernych turystów miałby stać całą drogę do Santa Ponę!

Przytępione zmysły Doogiego nie zarejestrowały zbyt wiele z jazdy autobusem - tylko mechaniczne brzęczenie głosu Angie, opowiadającej podopiecznym przez mikrofon o urokach Majroki, o tym, pod który hotel właśnie zajechali i kto ma gdzie wysiąść. Po ciemku wszystko wyglądało dla Doogiego tak samo: ciąg takich samych angielskich pubów, oznaczonych szyldami Dortmunder Pils, oraz mnóstwo pizzerii i chińskich restauracji. Dwudziestommutowa jazda po *autopista*, która mogła być każdą inną szosą na świecie, nie zaowocowała niczym nowym. Witamy w Hiszpanii!

W końcu Angie musiała śpiącego mocno Doogiego szturchnąć w żebra.

- Jesteśmy na miejscu, młody. Wsiadka.

Doogie zamrugał i popatrzył na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Wyjrzał za okno na betonowy taras baru zatłoczonego, pół na pół, opalonymi i mleczno-białymi ciałami, bez wyjątku obleczonymi w wakacyjne stroje i wyglądającymi, jakby dopiero się zagrzewały do całonocnej imprezy.

- Gdzie jesteśmy? — ziewnął.

- W Palma Nova, pod barem Papiego - powiedziała Angie. - Tu przesiadują wszyscy rezydenci, to znaczy kiedy akurat nie pracują albo nie próbują urwać paru godzin snu. Och, a jeśli Ingrid jeszcze nie ma, posiedź tam, dopóki nie rozwiozę tej bandy do końca. To nie powinno długo potrwać. - Zauważyła ponurą minę Doogie-go i uszczypnęła go w policzek. - Rozchmurz się, młody

- zaćwierkała. - Teraz już będzie z górki, zobaczysz.

- Tego się właśnie, cholera, obawiałem - mruknął do siebie Doogie, zmusił się do uśmiechu i wyskoczył z autobusu. - Dzięki za podwózkę, Angie - krzyknął.

— Na razie!

Po względnym chłodzie klimatyzowanego autobusu, letni majorkański skwar, nawet o tej porze, otulił go jak niewidzialny koc. Mimo to słony zapach morza, zmieszany z powiewem niewidocznych sosen, nagle przypomniał mu o domu. Tutaj jednak powietrze było przesycone ciężkim aromatem egzotycznych kwiatów i ziół, typowo śródziemnomorskim. Doogiemu spodobało się to.

Podobał mu się także bar U Papiego. Był to jasno oświetlony, przestronny lokal o luźnej atmosferze. Szklane drzwi, ciągnące się przez całą długość dwóch ścian, były otwarte; noc rozbrzmiewała wesołymi głosa-

mi młodych klientów Papiego. Wszystko tu tętniło życiem i gwarem. Ludzie dobrze się bawili, upojeni w takim samym stopniu atmosferą, co wypitym alkoholem. Były wakacje, a noc, tak jak klientela, była młoda.

Tego właśnie oblicza Majorki Doogie nie mógł poznać i docenić jako uwięziony przez burzę dziesięciolatek w Ca'n Pastilla. Poczuł, że chmury depresji rozwiewają się jak za sprawą czarów, wraz ze znużeniem po podróży. Może przyjazd tutaj me był jednak takim złym pomysłem.

- Tak, proszę? - wrzasnął na niego barman przez jazgot śmiechu, pisków i muzyki pop.

- Eee, szukam Ingrid...

Barman wzruszył ze zniecierpliwieniem ramionami; pół tuzina podniesionych głosów domagało się jego uwagi.

- Chcesz drinka czy nie?

Zanim Doogie zdążył odpowiedzieć, barman uległ pod naporem i już powtarzał najgłośniejsze zamówienie.

- Dwa piwa, dwa razy bacardi z colą. Lód, cytryna? Lekcja numer jeden - żeby tu przeżyć, człowiek musiał się szybko orientować.

Z zamyślenia - a także z jego miejsca przy barze - wytrącił Doogiego dwumetrowy olbrzym, mający w uszach dość kolczyków, by zawiesić na nich firanki. Śmierdział piwem, rybą z frytkami i octem, a na koszulce bez rękawów miał wiele mówiący napis:

*Problem z piwem? Piję, przewracam się,
Wstaję, piję dalej... Nie ma problemu!*

- Suń się, chudy! - zapiszczał absurdalnie wysokim głosem z liverpoolskim akcentem. - Nie bądź pies ogrodnika!

Lekcja numer dwa - epoka rycerskich manier, o ile kiedykolwiek istniała, tutaj przeszła już do kategorii „dawno i nieprawda”. Weź się w garść, O'Mara.

- Chyba słyszałem, że wspominałeś o Ingrid, koleżko?

Doogie spojrział w dół, na siedzącego faceta, z którego głową właśnie zderzył się jego łokieć. Facet miał dość przystojną, bezczelną twarz, a jego mina świadczyła o tym, że zadał pytanie raczej ze wścibstwa niż autentycznego zainteresowania. Wyglądał na dwadzieścia kilka — trzydzieści lat i mówił z nieco nosowym akcentem z południowo-wschodniej Anglii.

- Tak... przepraszam, że cię potrąciłem. - Doogie się zarumienił. — To przez, ee...

- Ingrid, powiedziałaś?

- Ingrid, tak, zgadza się. Wiesz, czy tu jest? Mam..,

Z udawaną powagą na twarzy nieznajomy zaprosił Doogiego, by ten usiadł na niskim stoliku naprzeciw kanapy, na której sam się rozwalił. Po obu jego stronach siedziały dwie żujące gumę dziewczyny. Obie były ubrane identycznie: w obcisłe džinsy i luźne, bawełniane bluzki, brzydtko obcięte tuż pod piersiami i ukazujące boleśnie czerwone brzuchy, tak spieczone, że można by na nich smażyć jajka.

- Widzę, że też jesteś z Merryweathera. — Doogie się uśmiechnął, widząc niebieską bluzę niezna-

jomego. Wyciągnął rękę nad stołem. - Jestem Doogie O'Mara.

- Nick Martin - odparł tamten z pokerową miną, nie zadając sobie trudu zabrania którejkolwiek ręki z ramion swoich dwóch fanek. - Znajomy Ingrid, co, koleżko?

„W sposobie, w jaki zadał to pytanie, było coś protekcjonalnego” - pomyślał Doogie. Jego senne spojrzenie wyrażało też pewne lekceważenie; przyglądał się Doogiemu, jakby wyceniał jakieś badziewie na wyprzedazy. Każda z fanek robiła to samo, jednocześnie wyciągając spomiędzy zębów długą nitkę gumy jedną ręką, a drugą głaszcząc udo Nicka Martina.

Doogie starał się nie wyglądać na skrepowanego.

- Nie, nie znam jej - powiedział. - Sam przyjechałem pracować w Merryweather Holidays i Angie wspomniała. .. no, jest tu Ingrid?

Nick Martin pokręcił głową, a w kącikach ust mignęły mu załążki nieprzyjemnego uśmiechu.

- Jest w Son Amar z autobusem głuptakowego łajna.

- Son Amar?

- Wielki, modny nocny klub na górze wyspy. Dla turystów obowiązkowy. - Sarkazm w głosie Nicka Martina odpowiadał jego minie. Nick popatrzył lubieżnie na obie swoje towarzyszki. - Chyba że ktoś ma lepsze rzeczy do roboty, co, laseczki?

Dziewczyny zachichotały i wymieniły kilka sugestywnych uwag z akcentem, który Doogie uznał za cockney.

Znowu zaczęło go ogarniać to nieprzyjemne, dręczące poczucie, że jest rybą wyciągniętą z wody.

- No to kiedy Ingrid wróci? — spytał.

- Nie mam pojęcia, koleżko. Nie spieszy ci się chyba, co? - Nick powiedział to, jakby Doogiego tam nie było, skupił wzrok na hojniej obdarzonej przez naturę gumożujce. - No, daj no pomacać baloniki, kochanie - warknął, a potem wepchnął rękę w dekolt słabo protestującej ofiary.

- Hmm, Dougal - mruknęła jej towarzyszka, mierząc Doogiego wzrokiem. Z namysłem nadmuchała balon gumy. - Tak się nazywał ten kudłaty pies z *Magicznej Karuzeli*, nie?

Doogie słyszał już ten dowcip setki razy.

- Nazywam się Doogie, nie Dougal - podkreślił. -Przez „ie”, tak?

- Aha, gościu - odparła dziewczyna obojętnie. -Idę się odlać. Wstała.

- Ty, weź zaczekaj, Samamfa - zawołała jej koleżanka, niechętnie wyswobadzając się z obmacujących palców Nicka. - Idę z tobą, już widzę na żółto.

- Pieprzone zdziry - mruknął Nick. Skrzywił się, patrząc, jak dwie młode „damy” przystają, żeby wyciągnąć obcisły dzins spomiędzy pośladków, a potem kolebią się w stronę kibelka na szpilkach długich jak szczudła. — Ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. — Zerknął sceptycznie na Doogiego. — Z drugiej strony, może i niekoniecznie.

- To znaczy? - spytał Doogie, marszcząc czoło. Jego cierpliwość dla obraźliwego zachowania tego człowieka szybko się wyczerpywała.

Nick Martin zbył jego pytanie machnięciem ręki.

- Czego się napijesz? Piwo, tak? Hej, Pablo! -krzyknął przez ramię, nawet się nie odwracając. - Jedno san mig dla kolegi.

Jeśli barman go usłyszał, nie dał nic po sobie poznać. Robił dalej to, co robił, i całkowicie zlekceważył rzucone od niechcienia zamówienie Nicka.

Nick patrzył wszędzie, tylko nie na Doogiego.

- Jakaż to rozdzierająca tragedia zaprowadziła cię w szeregi wesołej kompanii Merryweathera, koleżko? -zapytał. - Nieudany romans, nieudana kariera, czy po prostu me znalazłeś sobie żadnej porządnej roboty?

- Tak się składa, że żadne z powyższych - zjeżył się Doogie. - Tak naprawdę...

- Tak, tak, tak, stare dzieje. - Nick Martin wstał i spojrzął nad głową Doogiego, wychwyciwszy na swoim sex-radarze odrzut z konkursu na sobowtóra Victorii Beckham, który właśnie wszedł do baru. - Kiedyś nam to wszystko opowiesz, Magiczna Karuzelo. Tylko wyświadcz mi przysługę - dodał sucho - zaczekaj, aż mnie nie będzie w pobliżu, co? Już to wszystko słyszałem.

Przeczesał dłonią włosy, obciągnął mankiety blezera i ruszył na podbój Spicetki Posh.

Doogie wciąż mamrotał obelgi pod jego adresem, kiedy na krzesło obok niego opadła Angie.

Jednym kopnięciem zrzuciła buty.

- Dlaczego my to robimy? - sapnęła. - Ze wszystkich wariackich sposobów zarabiania na życie...

Doogie popatrzył na nią bez zrozumienia.

- Przepraszam, skarbie - powiedziała, uświadamiając sobie, że warto byłoby rzucić mu jakieś słowo otuchy. - Nie zwracaj uwagi na moje jęki. Nie zawsze jest tak źle.

Doogie przez chwilę zastanawiał się nad jakąś stosowną odpowiedzią, w końcu zdecydował się na banalną oczywistość:

- Ciężka noc?

- Żebyś wiedział! Podwójna zmiana w zastępstwie za jedną dziewczynę, która złapała grypę. Pierwsza grupa przylatuje z Gatwick o ósmej rano i na dobry początek dnia jakiś niemowlak wymiotuje śniadaniem na głowę kobiety siedzącej przed nim w autobusie. Potem jeden emeryt postanawia dostać ataku serca w kolejce do odprawy na lot do Luton, dzieciak z rozwolnieniem narobił w spodnie, wysiadając z głuptaka z Bristolu - który akurat spóźnił się dwie godziny i przyleciał tuż przed waszym lotem z Manchesteru - a teraz mówią mi, że jutro znów mam poranną zmianę, bo inna dziewczyna dostała załamania nerwowego. Tak, skarbie, ciężka noc... i dzień też!

- Teraz już wszystko z górki, co? - zapytał Doogie z kpiącym uśmiechem.

- Boże, zamordowałabym za kawę! - sapnęła Angie, a potem odświeżyła się odrobiną perfum za każdym uchem. Zerknęła na puste ręce Doogiego. - Nie pijesz, skarbie? No kurczę, nie mów mi, że zaczęli nam przysyłać abstynentów!

- Nie, to znaczy, tak proszę. Ale ten gość, Nick Martin, już mi zamówił piwo... chyba.

- Ach, więc poznałeś Szybkiego Nicky'ego. -W głosie Angie pojawił się złowroźbny ton. - Czy przypadkiem zapłacił za twoje piwo?

Doogie się zgarbił.

- Nie widziałem.

- W takim razie marne szanse, że je dostaniesz. Barmani znają już sztuczki Nicka Martina. Nie żartuję, skarbie, ma tu tyły większe niż cygaro starego Sama Merryweathera. - Skinęła głową Pablowi za barem, zrobiła gest, jakby podnosiła filiżankę ze spodkiem, a potem pokazała nalewanie piwa z nalewaka. - Jeśli chcesz mojej rady - ciągnęła, patrząc Doogiemu prosto w oczy - omijaj pana Martina szerokim łukiem. To same kłopoty.

- Dzięki, zapamiętam. Ale dlaczego firma w ogóle zatrudnia takiego typu? Z tego, co widziałem, niezbyt dobrze to wpływa na jej image.

- Bo jest cholernie dobry w swoim fachu. Po prostu. I niech cię nie zmyli to, jak on się tu zachowuje, jak węszy za ciziami, które właśnie przyleciały z Leeds-Bradford czy skądś tam. Kiedy mu to pasuje, potrafi być kulturalny i uprzejmy jak mało kto.

- Trudno to sobie wyobrazić. - Doogie zmarszczył czoło, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy, żeby zapłacić za drinki, które Pablo właśnie przyniósł do stolika.

Angie klepnęła go po rękę.

- Ja stawiam, młody. W tej firmie nie ma mowy o dyskryminacji płciowej, jeśli chodzi o stawianie drinków.

- Na zdrowie, Angie. - Doogie szeroko się uśmiechnął. - Za gładką jazdę z górki, dla nas obojga.

Podążył wzrokiem za spojrzeniem Angie w stronę wejścia, gdzie Nick Martin dotykał już tyłka pod minispódniczką klona Posh Spice. - Jak takiej mendzie się to udaje?

- Tutaj, żeby facetowi wyszedł taki numer, wystarczy, żeby miał kurtkę Mcrryweathera i puls. Tak, większość tych lasek, które przylatują tu na wakacje, zostawia swoje małe mózdzki w domu na lotnisku, moim zdaniem, razem z majtkami. - Angie podmuchała na kawę, a potem ostrożnie, z rozkoszą, upiła łyk parującego, czarnego płynu. - Ooooo, od razu lepiej. Nie masz pojęcia, od jak dawna każdy mój nerw się tego domagał.

Doogie przyglądał się jej uważnie, kiedy opadła na oparcie krzesła - głowa odchylona w tył, oczy zamknięte, ciało w wygodnym ubraniu sflaczało jak przekłuty materac. „Ładna twarz - pomyślał - ale ze śladami ciężkiego życia”. Angie miała około trzydziestki — plus mmus dwa lata - i tę zrezygnowaną, prawie przybitą postawę kogoś, kto zebrał od życia po tyłku i w końcu postanowił płynąć z prądem i korzystać z tego, co mu los przyniesie.

- To co powiesz o sobie, młody Doogie? - mruknęła, nie otwierając oczu. Doogie akurat zastanawiał się nad tym samym pytaniem do niej. - Masz szkockie imię, irlandzkie nazwisko i przyleciałeś z Manchesteru. Musi się za tym kryć jakaś historia.

- Odpowiadając najpierw na ostatnie pytanie, musiałem się dzisiaj - czy raczej wczoraj - zgłosić w biurze Merryweathera w Manchesterze na rozmowę o pracę, a oni wsadzili mnie w pierwszy samolot do Palma de Mallorca.

- Dobrze stare Merryweather Holidays, zawsze myślą przede wszystkim o pracownikach.

- To znaczyr

- Cóż, mogli cię wysłać do Benidorm!

- Ale ja chciałem lecieć do Kenii.

Angie otworzyła jedno oko i zamrugowała nim z niedowierzaniem.

- Do Kenii?

- No, do Kenii, Gambii, wszystko jedno, byle do Afryki. Myślałem, że będę mógł poobserwować dziką przyrodę i do tego jeszcze dostawać za to pieniądze.

Angie z powrotem zamknęła oko.

- Jeśli chcesz obserwować dziką przyrodę, trafiłeś w najlepsze miejsce na świecie, skarbie. - Zaśmiała się cicho. - Zaczekaj tylko, aż się zacznie Glasgow Fair¹. Za dwa tygodnie zobaczysz kawałek stąd, w Magalufie, więcej dzikich zwierząt, niż spotkałbyś w całej Afryce przez całe życie.

Doogie smętnie zajrzał do piwa.

- Chryste! - mruknął. - Nie mogę się doczekać.

¹ Glasgow Fair - święto miasta Glasgow, obchodzone przez dwa ostatnie tygodnie lipca. Wywodzi się od tradycyjnego terminu urządzania tam jarmarków, jeszcze w XII w. (przyp. tłum.).

— Ale, ale - ożywiła się nagle Angie. - Miałeś mi opowiedzieć dzieje Doogiego O'Mary. - Usiadła na krześle wyprostowana, z godnym pochwale udawanym zainteresowaniem. - No, opowiadaj, skąd masz takie egzotyczne imię i nazwisko.

— Właściwie nie bardzo jest co opowiadać. — Doogie wzruszył ramionami. - Mój tata miał tak na imię, to wszystko. — Zapadła chwila niezręcznej ciszy. - Pochodzimy z Arran, rozumiesz.

— To gdzieś w Irlandii, tak?

— Nie, myślisz o tych wyspach pisanych przez jedno „r”, gdzie robią pulowery. Ja jestem z tej przez dwa „r”, przy zachodnim wybrzeżu Szkocji, daleko w Firth of Glyde. To w sumie po drodze do Irlandii, więc...

— Czyli mamy tu szkockiego Doogiego, irlandzkiego O'Mare, który przyleciał aż na Majorcę z wyspy Arran przez Manchester, tak?

— Tak, mniej więcej.

Angie nie mogła nie zauważyć tęsknoty, która pojawiła się w oczach Doogiego. Na chwilę zostawiła go samego z jego myślami.

— Chociaż to dobre — powiedziała — że, pochodząc z wyspy, niedługo powinieneś się tu poczuć jak w domu. — Zobaczyła jego sceptyczną minę i dodała: - Daj sobie szansę, młody. Majorka to nie tylko lotnisko w Palmie i szyldy z coca-colą, wiesz? Poza tym wciąż mi nie powiedziałeś, dlaczego zacząłeś pracować w Merryweatherze.

— Zobaczyłem ich ogłoszenie w studenckiej gazecie i bęc, oto jestem!

- Nie podobało ci się studiowanie?

- Nie, bardzo mi się podobało. Tyle tylko... - Doogie, zdenerwowany, dotknął szklanki z piwem. - Tyle tylko, że...

Angie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Słuchaj, mi nie musisz wszystkiego tłumaczyć, skarbie. To me moja sprawa. Chciałam tylko porozmawiać, i tyle.

- Nie, to nic, naprawdę. To znaczy, może dobrze mi robi, jak o tym porozmawiam... oczywiście, o ile będzie ci się chciało posłuchać.

Angie opadła z powrotem na oparcie swojego krzesła i teatralnie uniosła filizankę.

- Dawaj, młody. Masz moją niepodzielną uwagę.

- Widzisz, zawsze chciałem być weterynarzem. Odkąd pamiętam. Odkąd zobaczyłem, jak mój tata odbiera poród cielaka. Miałem wtedy, ja wiem, cztery albo pięć lat. - Na to wspomnienie twarz Doogiego rozświetlił uśmiech. - Nie zliczyłbym, ile od tamtej pory widziałem rodzących się zwierząt, ale wciąż za każdym razem coś mi staje w gardle. Magia, to jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy, kiedy chcę to opisać. Czysta magia. Zwłaszcza z cielakami. Od razu wstaje taki na te niepewne nóżki, matka go obwąchuje, a potem zaczyna do niego mówić, tak cicho, opiekuńczo muczeć, dodaje mu otuchy, kiedy go wylizuje. I jest dumna. Czują jak każda matka. Mówię ci, Angie, to najwspanialszy widok, jaki można sobie wyobrazić. - Potrząsnął głową i zaśmiał się z zadowoleniem. - Tak, czysta magia.

— Czyli twój ojciec też był weterynarzem, tak? — spytała Angie.

Obcesowość jej pytania wyrwała Doogiego z rozmarzenia.

— Nie, nie - odparł. Nachylił się do przodu i spuścił wzrok, w zamyśleniu kreśląc palcami na stole niewidzialne wzory. — Nie był nawet prawdziwym rolnikiem, w znaczeniu pracy na pełny etat. Miał tylko parę hektarów pod wsią, to wszystko. W naszej części świata nazywają to *croft*. Dzisiaj nie da się z tego wyżyć, wiesz. To tylko sposób życia, który przechodzi z ojca na syna... czy raczej — przechodził.

Tym razem to Angie przyglądała się uważnie Doogiemu, w milczeniu popijając kawę, kiedy on przesiewał wspomnienia.

— Zeby związać koniec z końcem, pracował jako kierowca ciężarówki i autobusu, głównie latem. W sezonie pracował nawet za barem w miejscowym hotelu.

— Z ust Doogiego wyrwał się krótki śmiech. — W sezonie. Ten sezon to był właśnie ten sam Glasgow Fair, o którym mówiłaś. W swoim czasie miało się wrażenie, że w połowie lipca z promu Ardrossan wylewa się cała populacja Glasgow. Teraz pewnie wszyscy przylatują na Majorkę.

— Kiedyś tak, skarbie, ale dzisiaj dużo wybiera Bułgarię albo Chorwację. Tam jest taniej.

Doogie wciąż się do siebie uśmiechał, jakby me usłyszał tego, co powiedziała Angie.

— Każdego lata mama wynajmowała dom turystom - dwa miesiące, trzy, jeśli byli chętni - a my wszyscy

przenosiliśmy się do czegoś, co nazywaliśmy wakacyjną willą, a co było tak naprawdę wielką szopą na podwórku. Dużo rodzin w wioskach Arran tak robiło.

- Brzmi to trochę, no, desperacko, jeśli mogę tak powiedzieć. Zwłaszcza twojej mamie musiało być ciężko.

- Nie, nigdy się tym nie przejmowała. - Doogie się zaśmiał. Potem, jakby pierwszy raz przyszło mu to do głowy, powiedział: - A przynajmniej nigdy się nie skarżyła. Ale może masz rację. Może myślałem, że to normalne, dzieci tak robią...

Angie poklepała go po głowie i uśmiechnęła się pocieszająco.

- Niepotrzebnie ci to powiedziałam, skarbie. Wszyscy to czasami robimy - nie myślimy o naszych rodzicach. Muszę się przyznać, że sama czasami tak mam, a przecież w moim wieku powinnam być mądrzejsza.

- Oni też tu mieszkają?

- Nie, w domu, w Nottingham. Ale przez tę robotę prawie nie mam czasu ich odwiedzać. Chociaż co roku starają się przylecieć tu na tydzień czy dwa - jeśli tata ma siłę. Tak czy inaczej wiem, że zawsze mi pomogą, jeśli będę tego potrzebowała. I o to mi właśnie chodziło. - Angie szeroko się uśmiechnęła. - Bierzemy to za pewnik i nie myślimy o nich.

Doogie pokiwał głową i napił się piwa.

Wcześniejszy ścisk w barze zaczynał rzednąć. Barmani sprząтали stoliki, opuszczane przez grupki klientów, którzy udawali się być może do łóżek, a być może

— w przypadku kilku jeszcze niesparowanych osobników
— na optymistyczne łowy do kilku całonocnych klubów.
— Czyli jesteś weterynarzem, młody O'Maro? — zachęciła Angie, podchwytyjąc wątek gasnącej rozmowy. — Wyglądasz dość młodo na...

— Studiuję dopiero dwa lata — przerwał jej Doogie, nie potrafiąc ukryć poczucia winy malującego się na twarzy. Według Angie nadawało mu to wyglądu uczniaka przyłapanego na kradzieży jabłek.

— Co się stało? — spytała. — Nie uwierzę, że oblałeś egzaminy. Wyglądasz na takiego bystrzaka!

Doogie pokręcił głową.

— Nie, nie, sporo z nich zdałem celująco.

Nie chełpił się, ale zabrzmiało to, jakby zdawanie egzaminów bez wysiłku było w jego przypadku oczywistością.

Angie nie mogła uwierzyć własnym uszom.

— I rzuciłeś to, żeby zostać rezydentem Merryweathera? Chyba na głowę upadłeś! Na litość boską, co powiedzieli twoi starzy?

— No, ee... nic — wymamrotał Doogie, czerwieniąc się. — O to właśnie chodzi, w sumie... czy raczej między innymi o to.

— Wybacz, skarbie, ale zupełnie się pogubiłam! — Angie trochę się już zjeżyła. - Przecież twoi rodzice musieli się urobić po łokcie, żeby cię wysłać na studia, a ty to wszystko rzuciłeś i chcesz mi powiedzieć, że nawet się nie wkurzyli? Proszę cię!

Doogie pogładził się po wardze, mając nadzieję, że Angie nie zauważy drżenia jego brody.

- Nie, to nie tak - wymamrotał. - To nie takie proste...

Angie zobaczyła, że trafiła w czuły punkt, i zrobiło jej się przykro.

- Słuchaj, młody, nie chciałam cię zdenerwować. Przepraszam, naprawdę. To nie moja sprawa i niepotrzebnie tak pochopnie wyciągnęłam wnioski.

Doogie zdołał się uśmiechnąć.

- Nie, w porządku, naprawdę. Musiałem z kimś o tym porozmawiać, i po prostu... - Głos mu się załamał; zaśmiał się sztucznie. - I po prostu miałaś pecha, że znalazłaś się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, to wszystko.

Angie ścisnęła jego dłoń i współczująco puściła do niego oko.

- Właśnie, wyrzuć to z siebie, Doogie. O starej ciotce Angie wiele dobrego nie da się powiedzieć, ale przynajmniej umie słuchać.

„Oczywiście miała całkowitą rację” - przyznawał w duchu Doogie. Jego rodzice naprawdę urobili się po łokcie, żeby on i jego siostra Mo mieli dobry życiowy start. „Kwalifikacje, tego ci trzeba, żeby iść dalej - mawiał zawsze ojciec. - Kilka literek przed nazwiskiem, to cała tajemnica, jeśli me chcesz skończyć tak jak ja, tyrając całymi dniami, żeby pod koniec miesiąca mieć tylko obolałe plecy i zawsze jeden rachunek więcej, niż jest z czego zapłacić”.

Doogie wziął sobie słowa ojca do serca, przykładał się do nauki, w weekendy i ferie pracował u miejscowego weterynarza, dążąc do tego jednego celu.

A kiedy w końcu przyszła wiadomość, że dostał się do college'u weterynaryjnego w Edynburgu, jego rodzice nie posiadali się z radości. Wciąż ich widział, jak stoją dumnie wyprostowani na molo w Brodick, kiedy wyjeżdżał, machając, aż statek prawie zniknął im z oczu.

Doogie nigdy więcej nie widział ojca. Jego tata zmarł dwa miesiące później, przedwcześnie postarzały, w wieku pięćdziesięciu jeden lat.

— Tyle dla mnie zrobił — powiedział Doogie — a ja nawet tego nie zauważałem. Przez ten cały czas, kiedy pomagałem weterynarzowi, powinienem był pomagać jemu. I teraz tak sobie myślę, że gdybym nie był takim cholernym egoistą, to może on...

Urwał i niepokieszony zaczął wpatrywać się we własne ręce.

Angie ciężko westchnęła.

— Słuchaj, geniuszem nie jestem, ale wiem jedno: niesprawiedliwie się obwiniasz. Twój tata tak ciężko pracował, bo chciał jak najlepiej dla swoich dzieci. A jeśli takim był człowiekiem, to nic, naprawdę nic by tego nie zmieniło.

Zamyśliła się na chwilę, a potem powiedziała cicho, lecz stanowczo:

— Posłuchaj, skarbie, nie chcę być okrutna, ale zamiast myśleć tak o sobie, powinieneś pomyśleć o swojej mamie. Wciąż musisz jej odpłacić za wszystko, co dla ciebie zrobiła, wiesz, a najlepszy sposób to osiągnąć te wszystkie rzeczy, dla których tyrał twój tata... jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

Doogie nie odpowiedział. Nie musiał. Jego zdezorientowane, zagubione spojrzenie mówiło wszystko. Angie zaczęła wykręcać palce - zawstydzona, żałowała tego, co powiedziała, i nie wiedziała, co powiedzieć dalej.

- Przepraszam. Cholera, „przepraszam” nie wystarczy - wykrztusiła w końcu. - Boże, powinnam sobie powiesić przed oczami tabliczkę: „Uruchom mózg, zanim otworzysz tę głupią gębę!”.

- Pół roku po tacie - powiedział Doogie, wpatrzony przed siebie. - Była sama, Mo na studiach w Glasgow, ja w Edynburgu. Lekarz powiedział, że nie mogliśmy dla niej nic zrobić. - Umilkł na chwilę, a potem mruknął, tyleż do siebie, co do Angie: - Wciąż nikt nie wynalazł lekarstwa na złamane serce...

Zapadła pozornie niekończąca się cisza. Angie jeszcze bardziej niż dotąd nie wiedziała, co powiedzieć. Doogie wpatrywał się w swoje piwo, zagubiony w labiryncie własnych myśli.

- Kilka tygodni po pogrzebie mamy siedziałem w swoim pokoju - powiedział po jakimś czasie. - Na łóżku w obleśnej edynburskiej piwnicy, w deszczowe, niedzielne popołudnie. Byłem spłukany, miałem dość, musiałem przejrzeć górę notatek i bałem się pomyśleć, ile jeszcze takich koszmarnych niedziel będę musiał znieść, zanim w końcu zdobędę te kwalifikacje. - Zaśmiał się smutno. - Zabawne, deszcz przypomniiał mi jedyne rodzinne wakacje, na jakich byliśmy. To było tu, na Majorce. Chyba w Ca'n Pastilla. Wtedy byłem oczywiście za mały, żeby to docenić, ale rodzice mu-

sieli odejmować sobie od ust i oszczędzać latami, żeby kupić tę wycieczkę. I przez cały cholerny tydzień padało! — Z żalem potrząsnął głową. — Tak, a do tego ja bez przerwy narzekałem. Rany, ależ musiałem być męczący!

Zakręcił piwem w szklance.

— Szkoda, że do człowieka takie rzeczy docierają dopiero wtedy, kiedy jest już za późno, żeby przeprosić.

Najdelikatniej, jak umiała, Angie zasugerowała, że tylko bardzo nieczuli rodzice oczekivaliby od dziecka, że będzie przepraszało za każde swoje dziecinne zachowanie. Uważała, że to jedna z radości posiadania szkrabów.

Doogie z tęsknym uśmiechem odparł, że pewnie tak.

Angie wyczuła jednak, że nie był bynajmniej przekonany.

— Tak czy inaczej — ciągnął — wspomnienie tych wakacji sprawiło, że zacząłem rozmyślać nad swoim życiem i nad tym, co mnie mogło czekać. Owszem, poświęcenie rodziców dało mi lepszy start, niż mieli om sami. Ale mimo to zacząłem podejrzewać, że na końcu drogi czeka mnie takie samo bagno — może bardziej dochodowe, ale również bez wyjścia. Nagle wszystko wydało mi się za bardzo przesądzone, za bardzo nieodwołalne, łącznie z obietnicą partnerstwa u starego Hyslopa, weterynarza, z założeniem, że kiedyś przejmę jego praktykę.

Angie obcesowo zauważyła, że brzmi to raczej jak schody do nieba niż ścieżka na trzęsawisko.

- Boże, przecież większość młodych weterynarzy oddałaby oko za taką szansę!

- Och, oczywiście - zgodził się szybko Doogie - a ja najbardziej, uwierz mi. - Poruszył się niespokojnie na krześle. - Ale jest coś jeszcze. No, ktoś jeszcze. Komplikacja, której wcześniej należycie nie rozważyłem.

Angie mądrze pokiwała głową.

- Dziewczyna. Nieunikniona/emme *fatale*, tak?

- No, nie, niezupełnie. Tylko Margaret Hyslop.

- Nie mów mi, była jedyną córką starego weterynarza, tak?

- Zgadza się. To znaczy, Margaret i ja znaliśmy się całe życie. Od pierwszego dnia w podstawówce siedzieliśmy nawet w tej samej ławce. Później, kiedy cały czas pomagałem jej staruszkowi i w ogóle... no, można powiedzieć, że się zakumplowaliśmy.

- Aha, ale byliście kimś więcej niż kumplami, tak? Przynajmniej w jej oczach.

Brwi Doogiego zbiegły się w grymasie zdziwienia.

- Prawdę mówiąc nie pamiętam, żebym kiedykolwiek ją zachęcał, ale jej się ubzdurało, że któregoś dnia... To znaczy, zaczął to być ogólnie przyjęty pewnik, nawet u jej rodziców.

Angie nie zdołała się powstrzymać od złośliwego docinka.

- Dobrze, młody O'Maro, wreszcie dochodzimy do konkretów. Zatrudniłeś się w Merryweatherze, bo uciekasz - i to przed kobietą! O, nieładnie, nieładnie!

Ale Doogie tylko jeszcze bardziej zmarszczył brwi. W zamyśleniu przesunął palcem po brzegu szklanki,

która zadźwięczała smutno, jakby wtórując jego melancholii.

— Tak, ale ty nie znasz Margaret — wymamrotał, opadł do przodu i podparł brodę pięścią.

Angie psotnie zachichotała.

— Daj spokój, nie może być aż taka okropna! A poza tym ma w posagu przytulną praktykę weterynaryjną na malowniczej wyspie Arran. Uwierz mi na słowo, skarbie, w tej firmie spotkasz parę osób, które podpisały papiery z o wiele mniej przyjemnych powodów! Na przykład twoja rozmówczyni!

— Ale, widzisz, tu nie chodziło tylko o małżeństwo. Gdyby tylko. — Mina Doogiego zwiastowała nadchodzącą zagładę. — To znaczy, wicie gniazdka to jedno, ale skłonności Margaret do budowania imperium. .. No kurczę, to już zupełnie inna para kaloszy!

— Budowanie imperium na Arran? Go, chciała zostać szefową związku gwałcicieli owiec czy jak?

— Celuje trochę wyżej — poskarżył się Doogie. — Rozumiesz, studiuje medycynę.

— I co w tym złego, że tak spytam? Pomyśl tylko, młody - jeśli wszystko dobrze pójdzie, któregoś dnia zostanie miejscową lekarką, a ty miejscowym weterynarzem. Obstawicie wszystkie bramki. Muszę powiedzieć, że dla mnie to brzmi całkiem nieźle!

— Hm, być może, gdyby na tym się to kończyło. Ale ja znam Margaret. Naprawdę, nie minęłoby wiele czasu, a zaczęłaby mnie naciskać, żebym startował do rady gminy, potem chciałaby, żebym został przewodniczącym rady, potem posłem, potem sekretarzem sta-

nu. Mówię ci, Angie, me byłaby zadowolona, dopóki nie mogłaby zadzwonić do firmy przeprowadzkowej, żeby przewiozła nasze rzeczy pod numer 10²!

- Rozwiązanie tego problemu jest proste. - Angie wzruszyła ramionami. - Ty jej powiedz, jak ma być. Tupnij nogą. Postaw na swoim. Pokaż jej, kto nosi spodnie. Kobiety uwielbiają być dominowane, możesz mi wierzyć na słowo, młody.

- Tak, ale ty nie znasz Margaret - powtórzył żałośnie Doogie.

Angie stłumiła ziewnięcie.

- Chryste, spójrz, która godzina! Znów prawie trzecia rano, cholera. - Obejrzała się przez jedno ramię, potem przez drugie. - Co się, do cholery, stało z Ingrid? Mam dziecko, któremu muszę powiedzieć „dzień dobry”, zanim znów wyjdę do pracy za cztery godziny. Biedny łobuziak pewnie się zastanawia, kim jest ta obca kobieta, która co jakiś czas wpada na parę sekund do jego pokoju.

Doogiego zmroziło i natychmiast zaczął przeproszać. Pomyślał, że był samolubnym durniem, że kazał jej tu wysłuchiwać swoich żali, kiedy ona powinna być w domu ze swoją rodziną.

- Twój mąż się nie martwi, kiedy tak długo nie ma cię w domu? — spytał.

Angie tylko wzruszyła ramionami:

- Kiedyś może tak - powiedziała. - Ale ponieważ wziął permanentny urlop w dniu, kiedy się dowiedział,

² Chodzi o Downing Street 10, siedzibę premiera Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

że jestem w ciąży (a było to prawie pięć lat temu), dawno już musiałam pogodzić się z faktem, że łajdak chyba ma to gdzieś. To był typowy romans rezydenta - powiedziała niepytana i tym razem Doogie musiał znosić mękę wyrzutów sumienia, wywołanych spontanicznym brakiem taktu. - Byłam młodą angielską pięknoscią -przyznała - przyjechałam do Hiszpanii pełna marzeń i z włosami ufarbowanymi na blond. I odegrałam harlekina z pierwszym latynoskim kelnerem, który mi powiedział, że nie może się oprzeć kobiecie o tak klasycznej nordyckiej urodzie. Czego ta łajza przezornie nie powiedziała, to tego, że nie mógł się oprzeć żadnej kobiecie, a rzekoma klasyczność rzekomo nordyckiej rzekomej urody nie miała tu w ogóle żadnego znaczenia. Do jego celów nadawała się każda, najlepiej łatwowierna i głupia, wystarczyło, żeby chodziła i oddychała. Gdyby nie sąsiadka, stara Maria, pełniąca rolę zastępczej babci -ciągnęła Angie, smutno zwieszając głowę - ona i mały Pedrito już dawno poszliby na dno. Och, a chociaż go kochałam - powiedziała po namyśle - gdyby mały Pedrito kiedykolwiek zaczął zdradzać oznaki, że odziedziczył po ojcu jego wredny charakter, bez zastanowienia obciąłabym małemu draniowi *cojones*. Cholerni faceci!

- Ehem, mam nadzieję, że mogę spytać, ale kim właściwie jest ta Ingrid, na którą czekamy? - spytał Doogie, chcąc skierować rozmowę na nieco mniej drażliwy temat.

- O wilku mowa! - zawołała Angie, wskazując filizanką drzwi. - Doogie O'Maro, poznaj naszego głównego rezydenta na Majorce!

Doogie odwrócił się i ujrzał wysoką, gibką postać, hebanową skórę lśniącą zdrowiem, wysportowaną sylwetkę w nieskazitelnie czystym uniformie Merryweathera, idącą rytmicznie rozkołysanym krokiem przez prawie już pusty bar.

- Cześć, Doogie O'Maro! - zahuczała gibka postać basem, który sprawdziliby się w głównej roli w *Otellu*, i obnażyła jakiś hektar białej emalii w czymś, co można by eufemistycznie nazwać serdecznym uśmiechem. - Jestem Björn Bergman, dla przyjaciół Ingrid. Będziesz ze mną mieszkał, dopóki me znajdziesz sobie własnej chaty, słońce. Więc jak już wepchniesz sobie gałki oczne z powrotem w oczodoły, ruszamy do Ca'n Pastilla!

ROZDZIAŁ DRUGI

Na głęboka wode

Kiedy dojeżdżali na miejsce, Doogie powiedział:

- Deja vu.

— Co takiego, słońce?

— Ta ulica, ten hotel. Wszystko to już widziałem. Tutaj byliśmy na wakacjach jakieś dziesięć lat temu!

Z głębin piersi Ingrid dobył się basowy rechot.

— To właśnie Ga'n Pastilla. Raz je widziałeś, nigdy nie zapomnisz. — Zjechał do krawężnika. — Bierz torbę, Doog. Mieszkamy tam, w tamtym bloku.

Ingrid poszedł przodem do ponurego holu, w którym jedyną oznaką życia był na wpół zwiędły kauczukowiec w kamiennej donicy.

— Żadnych wieści to dobre wieści — wyszczerzył się szeroko, zajrzawszy przelotnie do jednej z rdzewiejących skrzynek pocztowych na ścianie. — Jedyne, co tam

znajduję, to jaszczurki i rachunki. No tak, i co roku kartkę na Boże Narodzenie od mojej babci z Jamajki.

Znów zarechotawszy, poprowadził Doogiego do windy.

- Tak, widziałem, że tu budują blok - powiedział Doogie, wysiadając za Ingrid na czwartym piętrze.

- Oszczędź mi szczegółów, człowieku. Lubię spać spokojnie we własnym łóżku.

Ale Doogie wciąż był w refleksyjnym nastroju.

- Był tu kogut, w warzywniku obok budynku, na dole.

- Dobrze powiedziane, był - zahuczał Ingrid. Przewrócił oczami i oblizał usta, otwierając kluczem drzwi. - Ale go zjadłem! Obciąłem mu głowę maczetą i wypilem ciepłą krew na sesji voodoo z kumplami, tu, w mojej kuchni!

Jego śmiech poniósł się echem po pustym, wyłożonym płytkami korytarzu jak jowialny grzmot.

- Wchodź, słońce. Witaj w mojej chacie.

Doogie nie wiedział, co ma myśleć o tym człowieku. Ingrid, Björnne, czy jak on się tam zwał, sprawiał wrażenie chodzącej zagadki, do tego zachowującej się jak jednoosobowa fiesta. Nawet półgodzinna jazda z Palma Nova jego starożytnym, małym seatem 600 była swego rodzaju wydarzeniem. Zamiast skorzystać z szybkiej i wygodnej obwodnicy Via de Cintura, Ingrid zdecydował się na pełen luzu przejazd z otwartymi oknami po obsadzonym palmami, skąpanym w pstrokatym blasku neonów bulwarze Paseo Maritimo, biegnącym wzdłuż brzegu zatoki. Każde zatrzy-

manie na czerwonych światłach było pretekstem, by wrzasnąć: *Bienvenido a Mallorca, amigos!* i wyrzucić z siebie strumień radosnej paplaniny w stronę zdziwionych grupiek nocnych imprezowiczów.

— Trzeba ich rozweselać, rozpogadzać ich smutne życiorysy — powiedział Doogiemu. — O to w tym wszystkim chodzi, stary. — A Doogie odniósł wrażenie, że Ingrid naprawdę w to wierzy.

Jednak to, co się w nim rzucało w oczy najbardziej, to fakt, że nie zamykały mu się usta. Tu żarcik o niedobrych owocach morza w tej restauracji, tam anegdota o marynarzach chadzających do tamtego baru, świński dowcip o nocnym portierze w tym hotelu i surowe ostrzeżenie przed *greaserami*, kręcącymi się po ulicy naprzeciwko pewnego nocnego klubu.

Do tego jego nazwisko, Björn Bergman.

— Nie brzmi jak typowy rastafarianin z Karaibów, co, stary? — zaśmiał się, szturchając Doogiego w żebra. - Ale zdradzę ci sekret: zmieniłem nazwisko, gdy tylko skończyłem osiemnaście lat. No, wiesz, jak by ci się podobało mieszkać trzynaście lat w Brixton z nazwiskiem Winston Satchmo Fats Montgomery Waller?

— Hm, jeśli tak to ująć — odparł Doogie, wybierając odpowiedź rozsądnie niezobowiązującą. - Rozumiem, dlaczego ciągnęło cię do prostszeo, skandynawskiego nazwiska.

Ingrid ryknął śmiechem, który poniósł się nad portem Palma jak zacięta syrena przeciwmgielna.

— Żebyś wiedział, stary! Skandynaw z najciemniejszą opalenizną na Majorce to ja!

Pierwszą rzeczą, która uderzyła Doogiego, gdy wszedł do mieszkania Ingrid, był przytłaczający aromat przypraw. Natychmiast sobie wyobraził egzotyczne zapachy kolorowych, karaibskich dań, przyrządzanych przez Bjórna w maleńkiej kuchence, oddzielonej od spartańsko urządzonego salonu wyspą zastawioną różnymi puszkami, butelkami, kubkami po kawie i stosem rzuconych byle jak pism i gazet.

- Może to nie jest pałac Buckingham, słońce, ale to mój dom.

- Tak, bardzo przytulny - skłamał Doogie, a potem podszedł do balkonowego okna. Jak instynktownie przeczuwał, wychodziło ono nie tylko na hotel, ale na ten sam pokój, w którym tkwił uwięziony dziesięć lat temu. Przez chwilę zastanawiał się, czy mała Cyganka wciąż przychodziła rano słać łóżka. Tak, pewnie tak, z tym swoim nieszczęsnym brakiem pomagających w karierze atrybutów. Mimo to dobrze było wiedzieć, że jest ktoś, kto ma w życiu jeszcze gorzej niż ty. A może i nie?

Doogiego przestraszyło jękliwe ziewnięcie tuż za mm. Obejrzał się gwałtownie i zobaczył drobną postać o kształtnych, oliwkowobrazowych nogach, wystających z króciutkiej, czerwonej, jedwabnej nocnej koszulki. Postać ta weszła zaspana do pokoju i przytuliła się do Ingrid, mrucząc mu do ucha po hiszpańsku jakieś sugestywne słowa i uwodzicielsko trzepocząc długimi, czarnymi rzęsami.

Ingrid odchrząknął i wskazał Doogiego.

- *Aqui Doogie O'Mara, representante nuevo de Merryweather.* - Potem odwrócił się do mego. - Słońce,

poznaj mojego kochanka, Fidela. Nie będę cię zanudzał jego innymi imionami. U Hiszpanów, jak na Karaibach, jest ich za dużo!

Doogiemu całkowicie odjęło mowę.

Na Fidelu nie zrobił większego wrażenia. Chłopak przyjrzał się nowemu gościowi Ingrid z serdecznością kogoś, kto właśnie zobaczył wielkiego balasa na dnie swojego basenu. Bez słowa wydał usta, obrażony, a potem ze spuszczoną głową poszedł tam, skąd przyszedł.

Ingrid rzucił Doogiemu pytające spojrzenie, z psotną iskierką w oku.

Doogie stał i bawił się paskami swojej torby Adidasa. W końcu wszystko zrozumiał — złośliwe uwagi Nicka Martina, że jest znajomym Ingrid i tak dalej. I przytyk Angie, że ucieka... przed kobietą. O rany, oni myśleli, że on jest jednym z tych!

Jego usta zaczęły mówić bez jego udziału.

— Wybacz mi, proszę, jeśli wyglądam na trochę zaskoczzonego, Ingrid... ehem, Björn, ale po prostu wydawałeś mi się tak jakby za bardzo... To znaczy, kiedy mówię „tak jakby”, nie mam na myśli...

Ingrid jeszcze przez kilka chwil rozkoszował się jego słownymi akrobacjami, w końcu rzucił mu linę ratunkową:

- Chcesz powiedzieć, że wydawałem się za bardzo samcem na „szprotkę w oleju”, tak?

- W oleju?

— Rymowany slang, stary. W oleju szprotka, wiesz. Ciotka!

Ingrid wyraźnie świetnie się bawił.

- Nie, me! Och, w żadnym wypadku! - zapewnił w panice Doogie. - To znaczy, me przeszło mi nawet przez myśl, że możesz być... że jesteś... - Zapędzony w kozi róg przez własne zawstydzenie, opuścił wzrok i ściszył głos. - W oleju.

Basowy wybuch śmiechu Ingrid z niepokojącą łatwością przeszedł w sopranowy chichot.

- Nie napinaj się tak na tę męskość, słońce -syknął, z jedną dłonią na biodrze, a drugą uniesioną i zwieszoną bezwładnie przy uchu. - Jak chcę, potrafię zrobić czajniczek, że aż gwizdże!

Doogie me wiedział, czy się śmiać, płakać czy raczej rzucić do wyjścia. Zanim jednak zdążył choćby rozpocząć proces podejmowania tej ważkiej decyzji, Ingrid oznajmił, że już dawno powinien być w łóżku.

- No to co powiesz, misiaczku? - wyszczerzył się. - Chcesz przez pierwszą noc spać pośrodku?

Wyjaśnienie Ingrid, że tylko żartował co do „przytulnego” spania razem, nie pomogło bynajmniej Doogiemu porządnie przespać tych kilku godzin, które pozostały do świtu. Jedyne okno jego pokoiku było niedużym prostokątem zasłoniętego żaluzjami szkła wysoko na ścianie. Sugerowało to Doogiemu, że pomieszczenie, w którym śpi, pierwotnie na planach budynku (o ile faktycznie takowe istniały) figurowało jako połączenie spiżarni i schowka na miotły. Tak czy inaczej obecnie dawało mu wybór pomiędzy powolnym uduszeniem się w przyprawiającej o klaustrofobię

duchocie, a zostawieniem drzwi uchylonych na tyle, by wpuścić umożliwiający oddychanie przewiew z korytarza dzielącego jego celę od jedynej sypialni mieszkania.

Wybrawszy przeżycie, Doogie musiał znieść kanonadę postękiwań, chichotów, poskrzypywań, a w końcu chrapania, niosącego się echem przez korytarzyk. Nawet wtedy jednak, za każdym razem, kiedy zaczynał zasypiać, podrywał się nagle, przekonany (mimo wcześniejszych solennych zapewnień Ingrid), że jeden lub obaj z jego gospodarzy idą złożyć mu niespodziewaną wizytę.

Jakby tego nie było dość, jego złąknione snu zmysły powitały pierwszy od dziesięciu lat majorkański świt przy wtórze piania nie jednego koguta, lecz całego chóru tych piekielnych stworzeń. Ich pobudkę wspomogło po chwili obłąkane ujadanie licznych czujnych, lecz zdezorientowanych psów, do których wkrótce dołączył charakterystyczny, hiszpański jazgot dwusuwowych motorowerów, mknących we wszystkich kierunkach. W końcu cały ten rwetes zagłuszył rozsadzający uszy ryk niekończącej się procesji odrzutowców, tuż nad dachem bloku schodzących do lądowania na pobliskim lotnisku w Palmie. Dobry Boże wszechmogący, zawilgła piwnica w sennym Edynburgu była w porównaniu z tym jak prezydencki apartament w cholernym Hiltonie!

- Samoloty? - O siódmej rano Ingrid podmuchał na śniadanie składające się z przypalonych grzanek i czarnej jak smoła kawy; przygotował je ostentacyj-

nie milczący Fidel, który stał teraz w koszuli nocnej na balkonie i ponuro wpatrywał się w przestrzeń. -Nie, po jakimś czasie przestaje się je zauważać, słońce. Zresztą to dlatego mieszkam właśnie tutaj. Rozumiesz, dobry dojazd do lotniska. Dostaję telefon od któregoś kumpla w biurze Merryweathera, że głuptak wylądował, i abrakadabra! Jestem tam w pięć minut. Dzięki temu mam więcej czasu na opalanie, stary - zaśmiał się.

Doogie nerwowo mu zawtórował.

- Tak, z nazwiskiem Ingrid Bergman musisz dużo wysiłku wkładać w podtrzymanie image'u opalonego Szweda - odparł, siląc się na lekki ton, i natychmiast tego pożałował. Ingrid żartujący z samego siebie to jedno, ale... - Eee, zauważyłem, że na wszystkie samoloty mówisz „głuptaki” - powiedział, szybko zmieniając temat.

- Ta, ale tylko na te z Merryweathera.

- Naprawdę? Czemu?

- No, wiesz, jak to mówili starzy żeglarze - roz-pruj głuptaka, a znajdziesz w środku wszystkie śmieci świata.

Zadzwoił telefon. Ingrid wstał, żeby go odebrać.

- Halo... tak... Cholera!... Dobra, śliczności, już lecę!

Złapał swój blezer i ruszył do drzwi.

- Przepraszam, słońce - zawołał do Doogiego. -Muszę pędzić. Dwóch następnych rezydentów złapało gripę. Tak czy inaczej, musisz szybko jechać do biura Merryweathera w Palmie. To na Płaza España, naprze-

ciwko dworca kolejowego. Tu za rogiem staje autobus. - Otworzył drzwi i przystanął w progu. - A tak, i jak już tam będziesz, pytaj o szefa, Manola. Powie ci, co i jak. *Adiós!*

Manolo był archetypicznie eleganckim, kontynentalnym Hiszpanem w średnim wieku. Był średniego wzrostu, miał delikatne rysy podkreślające jego mauryjskie pochodzenie, górną wargę ukrytą pod grubym, czarnym wąsem i piwne oczy o zaszczutym spojrzeniu, wiecznie czujne, ale rzadko się uśmiechające. Rozmawiał właśnie przez telefon; z ożywieniem trajkotał po hiszpańsku, gryzmoląc jednocześnie zamaszyste bazgroły w dużym zeszycie leżącym na samym środku jego schludnie zagraconego biurka.

Ładna Majorkanka, która przyprowadziła tu Doogiego, napisała w zeszycie coś, co Doogie wziął za swoje nazwisko, uśmiechnęła się nieśmiało i wyszła z powrotem na zewnątrz.

Manolo westchnął głęboko i ze zniecierpliwieniem, zakrył słuchawkę dłonią i powiedział obcesowo:

- Ma pan natychmiast jechać do Magalufu. Do hotelu Magaluf Park. Autokar pełen turystów ma jechać na wycieczkę do La Granja. Pan będzie pilotem.

Podjął przerwana rozmowę, zanim Doogie zdążył powstrzymać szczękę przed opadnięciem.

- Ale ja nie mam pojęcia, co robić - zaprotestował, kiedy tylko Manolo na chwilę przerwał swój potok wymowy. - Go to jest La Granja? To znaczy, kiedy mnie przyjmowali, mówili, że będę miał pełne szkolenie!

- Tak, a pan mówił, że chce jechać do Kenii - odparł Manolo angielskim równie precyzyjnym, co jego fryzura. - Teraz pracuje pan dla Merryweather Holidays, panie O'Mara, i lepiej mech się pan do tego przyzwyczajają.

Wcisnął guzik na biurku.

- Catalma pokaże panu, skąd wziąć służbowy uniform - ciągnął, kiedy Majorkanka znów weszła do gabinetu - a Angie będzie w hotelu Magaluf Park i wszystko panu objaśni.

W⁷rócił do swojej telefonicznej rozmowy, me zaszczycając Doogiego choćby wzruszeniem ramion.

Rząd błękitnych blezerów i beżowych spodni wisiał w garderobie naprzeciw identycznego rzędu damskich zakietów i spódnic; Doogiemu skojarzyły się z nieożywionymi wersjami posegregowanych płciowo szeregów, które kiedyś ustawiały się pod ścianami wiejskiej sali zabaw na początku sobotniej potańcówki na Arran. Przyszła mu do głowy mroczna myśl, że poprzedni właściciele tych ubrań na pewno popełnili samobójstwo albo po prostu uciekli, nie mówiąc nic nikomu. Sam czuł wielką pokusę, by zrobić to drugie.

Dziewczyna podała mu marynarkę i spodnie z wieszaka.

- Chyba będą na ciebie pasować - powiedziała. - Tam napotkasz w szufladzie białe koszule i krawaty Merryweathera. Proszę potwierdź ubranie na rozmiar, ale zrób szybko. Manolo dzisiaj nie uśmiechany, bo cztery rezydenci przyszło za mało przez chorobę.

„Czworo rezydentów *nie* przyszło, a numer piąty też z sekundy na sekundę czuł się coraz bardziej chory" - pomyślał Doogie. Ale wiedział, o co dziewczynie chodzi, więc się nie odezwał.

Parę chwil później zjawił się ponownie w głównym biurze, gdzie powitały go gwizdy i pohukiwania kilkunastu Brytyjek, do tej pory zbyt pochłoniętych swoimi komputerami i telefonami, by zauważyć w ogóle jego istnienie.

- Wow! Co to za ciacho w firmowym wdzianku? -krzyknęła jedna.

- Ile w twoim cenniku kosztuje łóżko ze śniadaniem, mięśniaku? - zawołała druga przy wtórze chóralnych śmiechów.

Catalma litościwie złagodziła zakłopotanie Doogiego, podchodząc i przypinając mu do blezera identyfikator Merryweathera z odręcznie wypisanym imieniem, które - według niego uroczo - zapisała z błędem jako „Dugi”.

Hiszpańskim zwyczajem cmoknęła go lekko w oba policzki.

- Teraz wszyscy są wiedzą, że jesteś serio - powiedziała cicho, a potem zaczerwieniona wróciła za biurko, wśród gradu docinków o miłości od pierwszego wejrzenia i niedelikatnych uwag na temat tego, co grzeczna dziewczyna z majorkańskiej wsi może znaleźć pod kiltem wielkiego, włochatego Szkota.

Jedna z mniej hałaśliwych członkiń ekipy administracyjnej pospiesznie przywołała Doogiego do drzwi. Podała mu kopertę i cienką książeczkę w miękkiej oprawie.

- Masz tu odpowiednik pięćdziesięciu funtów w euro, akonto twojej pierwszej wypłaty - pewnie jesteś splukany? - i przewodnik po Majorce. Znajdziesz tam gdzieś akapit o La Granja. Sugeruję, żebyś po drodze stąd do Magalufu wykuł go na pamięć.

Doogie me zdążył wymówić choćby jednego słowa z litami pytań, które piętrzyły mu się w głowie.

- Na zewnątrz czeka na ciebie taksówka, więc bierz swój mały szkocki tyłek w troki, zanim Manolo nie wyjdzie i nie zasadzi ci w nim kopniaka!

- Tu jesteś, skarbie - powiedziała Angie, popędzając Doogiego z taksówki do czekającego autokaru. - Przy okazji pierwszego podejścia do pilotowania wycieczek akurat przyda ci się twoje uniwersyteckie wykształcenie.

- Tak? - Serce Doogiego już biło jak oszalałe. -Jak na to wpadłaś?

- No, przez dwa lata na weterynarii musiałeś się czegoś nauczyć o dojeniu.

- To znaczy... ?

- To znaczy, że w tym autobusie będzie pięćdziesięciu turystów, którzy się spodziewają, że dzięki tobie i twojej wiedzy o Majorce będą pamiętali tę wycieczkę jeszcze długo po tym, jak skończy im się urlop.

- Fantastycznie! A ja o Majorce wiem mniej więcej tyle samo, co o ciemnej stronie Księżyca! - Stopy Doogiego wysyłały do mózgu wysokopriorytetowe sygnały, że czas dać spokój, Angie. Daj spokój Angie. Nie możesz mnie wsadzić do tej bandy i oczekiwać, że...

Angie była już na skraju wybuchu.

- Zdawało mi się, że Julie w biurze miała ci dać przewodnik, na litość boską!

- I dała.

- Noi?

- No i napisali tam tylko tyle, że La Granja to taka stara posiadłość i farma w górach, i jeszcze trochę o tym, że pochodzi z czasów rzymskich czy coś tam.

- No dobrze, to farma, ze zwierzętami i w ogóle. Będiesz w swoim żywiole, do roboty!

Złapała Doogiego za kark i wepchnęła go do autokaru, gdzie powitało ich me do końca przyjazne wykonanie *Och, czemuż czekamy?* na jakieś dwadzieścia głosów wycieczkowiczów, którzy już wsiedli.

- Dobra - krzyknęła Angie Doogiemu do ucha. -Masz tu listę pasażerów i spis hoteli, z których zabierasz resztę.

Podawała mu podkładkę z papierami, a potem ruchem głowy wskazała kierowcę, posepnego, spasionego typu z tłustymi, rzednącymi włosami i grubym niedopałkiem cygara w ustach.

- Garlos wie, gdzie jechać, ale poza tym jesteś zdany na siebie. Pomaganie rezydentom Merryweathe-ra interesuje go tylko wtedy, kiedy mają krótkie spódniczki i wielkie cycki.

Wzięła mikrofon i klasnęła w rękę, żeby zakończyć buntownicze śpiewy.

- Dzień dobry państwu jeszcze raz, proszę przyjąć nasze przeprosiny za tę krótką zwłokę. Jestem pewna, że me popsuje to państwu przyjemności wy-

cieczki do La Granja, jednego z moich ulubionych miejsc na całej Majorce. Niestety, dziś jednak z państwem nie pojedę. Mój szeroki uśmiech jest potrzebny na lotnisku, trudno. Ale moja strata to państwa zysk, ponieważ, w wyniku zmiany rozkładu w ostatniej chwili, państwa przewodnikiem będzie dzisiaj największy znawca Majorki pracujący w Merryweather Holidays, znawca historii tej wyspy, jej geografii, a przede wszystkim flory, fauny i cudownych wiejskich obyczajów i tradycji. Panie i panowie, mam wielką przyjemność przedstawić państwu... pana DOOGIEGO O'MARE!

— Wielkie dzięki, Angie — mruknął Doogie pod nosem, kiedy wybuchnął aplauz. — Świetna z ciebie koleżanka!

- Żebyś wiedział - odmruknęła Angie niczym brzuchomówca przez szeroki uśmiech, dołączając do wiwatów. — Blefuj, a jak uda ci się przetrwać tę wycieczkę tak, żeby cię nie wyrzucili z autokaru, możesz się uważać za członka zespołu!

Z tymi słowy wyskoczyła i pobiegła do czekającej taksówki.

Ku jego wielkiej uldze i jeszcze większemu zaskoczeniu, pierwotna, niemal niepowstrzymana panika Doogiego znacznie osłabła, kiedy autokar zatrzymał się przed czwartym i ostatnim hotelem na jego liście. Aż do tej chwili wystarczyło pozwolić Carlosowi prowadzić długi, ciężki autokar przez labirynt uliczek pełnych barów i sklepików, które składają się na centrum bliźniaczych kurortów Magaluf i Palma Nova. Doogie

musiał tylko na każdym przystanku wysiadać z autokaru, uśmiechać się, witać cierpliwie czekające grupki klientów, odhaczać ich nazwiska na liście pasażerów, kiedy wsiadali. No i potem jeszcze pomachać na pożegnanie hotelowemu portierowi, który nieodmiennie wyglądał z dyskretnie zaciekawioną miną z hotelowego foyer, gdy autokar odjeżdżał. Bułka z masłem!

Bańka uniesienia musiała jednak prędzej czy później prysnąć. Na murku przed hotelem Barracuda siedziały przycupnięte niewygodnie dwa znajome nylonowe dresy...

- Go tak długo, do cholery?! - sapnął Torvill Dean, wciągając swoje spocone cielsko po schodkach autokaru, jak prawdziwy dżentelmen, dwa kroki przed targającą bagaż żoną. - Pół godziny, pół godziny ja i ta tutaj siedzieliśmy na tej patelni! Jestem wykończony, cholera, i zamierzam zażądać pełnego zwrotu od twoich pracodawców, młody człowieku! - Zmarszczył brwi i przyjrzał się twarzy Doogiego. - Zaraz, ja cię znam, kolego! Gdzieżem cię wcześniej widział, e?

Doogiemu na moment przestało bić serce. Jego krótki romans z pilotowaniem wycieczek miał się właśnie upokarzająco zakończyć. Nagle zrozumiał, że albo musi ściemniać, albo polegnie.

- Ca'n Pastilla? - zaryzykował, odepchnięty akurat przez panią Dresową, która przecisnęła się obok niego i zakończyła amplitudę ruchu na siedzeniu tuż za Carlosem. - Był pan kiedyś na wakacjach z Merryweatherem w Ca'n Pastilla?

Torvill się rozpromienił.

- W dziesiątkę! - oznajmił. - Hotel Casa Blanca, Can Pastilla, dwa lata temu. Nigdy me zapominał twarzą, co to, to nie. - Zwalił się na fotel obok żony i tłustym palcem szturchnął jej torbę. - Kluseczko, daj no tego słodkiego rogalika, co je zwinęłaś z bufetu na śniadaniu, co? Od tego całego siedzenia na skwarze jakbym zgłodniał. A tak, i możesz mi od razu wyłowić piwko, jak już tam zaglądasz. Już się powinno ładnie nagrzać.

Kierowca zaklął po hiszpańsku i wyjechał na drogę. Dieslowski silnik na tyle autokaru ryczał posłusznie w odpowiedzi na każde naciśnięcie pedału gazu. Niedopałek cygara przesuwiał się magicznie z jednego kącika ust kierowcy w drugi w rytm obrotów kierownicą. Jak można było przewidzieć, Carlos trąbił wściekle podwójnym klaksonem na każdy pojazd czy pieszego, który choćby sugerował, że znajdzie się na jego drodze. Nie było wątpliwości, że im ów pojazd był mniejszy, a pieszy starszy i bardziej zniedołężony, z tym większą satysfakcją Carlos się szczyrzył.

Autokar minął ostatnie zabudowania Palma Nova i z rykiem potoczył się ku autostradzie oraz niewypowiedzianym rozkoszom majorkańskiej wsi. Co bardziej spontaniczny element wycieczki, z państwem Dresami na czele, zaśpiewał *Jedziemy, jedziemy, jedziemy!*

Doogie, który szybko się uczył, wykorzystał tę sposobność, skulił się na fotelu obok kierowcy i zaczął wściekle kartkować przewodnik. Niestety jednak, tak jak się obawiał, jedyne zdanie, które przeczytał w taksówce, stanowiło całość zawartych tam informacji o La

Granja. Zaczął już układać desperacki plan, by po dotarciu do budzącego grozę celu runąć na ziemię i odegrać atak padaczki z pianą z ust włącznie, gdy nagle ktoś uprzejmie stuknął go w ramię.

Odwrócił się i zobaczył twarz starszej pani. Pamiętał, jak wsiadała z podobną sobie koleżanką na przedostatnim postoju. Choć były ubrane stosownie do letnich majorkańskich upałów, obie zachowały w wyglądzie pewną tweedowość, która odróżniała je od odzianych w szorty i T-shirty towarzyszy podróży. Doogie przez bardzo krótką chwilę bawił się myślą, choć mało prawdopodobną, że to dwie emerytowane nauczycielki, które przyjechały tu w poszukiwaniu niezwykłych szaleństw w nocnych klubach Magalufu.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała kobieta z nieśmiałym uśmiechem. - Nazywam się Wood, panna Wood, i jestem tu z moją siostrą Amanda, panną Amanda, na krótkich wakacjach. Malujemy i studiujemy przyrodę.

Doogie miał ochotę zapytać ją, czy nie widzi, że on właśnie próbuje wywołać u siebie atak padaczki, ale przypomniał sobie o dobrych manierach, wstał i zaproponował jej swoje miejsce.

Panna Wood przeszła od razu do rzeczy:

- Choć nie chciałabym w żadnym razie się narzucać, poczułam się w obowiązku wspomnieć, że część lepiej wykształconych pasażerów, jak ja i panna Amanda (jesteśmy emerytowanymi nauczycielkami, gdyby to pana interesowało), uważa, iż wycieczka do La Granja jest doskonałą okazją, by dowiedzieć się

czegoś o mijanej okolicy od kogoś tak świetnie obeznanego z tematem jak pan. Choć ja i moja siostra regularnie odwiedzamy Majorkę od ponad trzydziestu lat i przeprowadziłyśmy (na swój amatorski sposób) dość obszerne studia nad rodzimą florą i fauną wyspy, tak świetnej okazji jak ta nie sposób przepuścić. Czy uznałby pan za natręctwo, gdybym poprosiła pana o komentowanie szczególnie interesujących obiektów przez system nagłaśniający autokaru? Na przykład, przez ostatnie pięć minut sama osobiście widziałam wilgę zwyczajną, przelatującą przez zagajnik dębów ostrolistnych, a także dudka siedzącego wśród gałęzi jakarandy. Jestem przekonana, że nawet — jak to ująć? — co bardziej beztroscy spośród pasażerów byłiby zachwyceni, gdyby pokazać im takie wspaniałości.

Doogie z przerażeniem spojrział na prędkościomierz na tablicy rozdzielczej przed Carlosem i spróbował oszacować, jakie ma szanse przeżycia skoku z autokaru jadącego ponad sto na godzinę. Żadnej. Nie miał gdzie uciec ani gdzie się schować! Musiał podjąć rękawicę i zacząć ściemniać jak mężczyzna.

— Interesujące, że to pani zaproponowała, panno Wood — wykrztusił — ponieważ zazwyczaj bardzo lubię czynić takie nieformalne pogadanki elementem tej właśnie wyprawy.

Panna Wood mądrze pokiwała głową.

— Niestety — ciągnął Doogie, a jego mózg rozpaczliwie szukał brzytwy, której mógłby się chwycić — dość, ehem, lekkomyślnie zostawiłem w biurze swoje okulary, a bez nich widzę ledwie palce własnej wyprosto-

wanej ręki. Krótkowzroczność, proszę pani. To u nas dziedziczne.

Dobroduszość panny Wood w jednej chwili zmieniła się w najwyższą irytację.

— Choć do tej pory wahałam się, czy o tym wspominać, teraz czuję się zmuszona przypomnieć panu, że podobnie jak inni, wybrałam się na wycieczkę, którą reklamowano jako „z przewodnikiem”. I skoro za taką zapłaciliśmy, takiej oczekujemy, a fakt, że pilot jest krótkowidzem i zgubił gdzieś swoje okulary, naprawdę nie jest naszym problemem. Po powrocie do Londynu zamierzam złożyć skargę samemu panu Merryweatherowi, dżentelmanowi o sprawdzonym poczuciu odpowiedzialności, który zawsze osobiście zajmował się wszelkimi skargami, które czułam się zmuszona złożyć przez te wszystkie lata. Z doświadczenia wiem, że pan Merryweather bardzo źle widzi wszelkie uchybienia, nieważne jak drobne, w traktowaniu klientów przez jego pracowników.

— Rzeczywiście, tak jest - zgodził się Doogie. - Nikt we wszystkich działach nie dba bardziej o jakość pracy swoich podwładnych niż pan Merryweather, a ja sam podzielał podejście swojego pracodawcy w stu procentach. Bardzo szczęśliwie się więc złożyło — ciągnął Doogie — że dwie miłośniczki i znawczynie majorkańskiej przyrody są w autokarze akurat tego dnia, kiedy potrzebna mi dodatkowa para (albo i dwie) oczu, jeśli wolno tak powiedzieć.

Panna Wood nadstawiła ucha.

- Chcę zasugerować, panno Wood, żeby pani i pani siostra wyświadczyły mi wielki zaszczyt i wystąpiły w roli gościnnych przewodniczek Merryweather Holidays.

Panna Wood sceptycznie zmrużyła oczy, a Doogie modlił się w duchu, by klimatyzacja zdołała usunąć smród wciskanego kitu, który - lękał się - musiał już przesycać całe wnętrze autokaru.

- Oczywiście otrzymałyby panie pełny zwrot kosztów dzisiejszej wycieczki - ciągnął. dzielnie usiłując znieść opór wrodzonej, szkockiej oszczędności, wyjął kopertę, którą wcześniej dała mu Julie, i kciukiem przetasował jej zawartość kilkanaście centymetrów od twarzy panny Wood. - Rozumie się samo przez się, że dorzuciłbym coś ekstra dla obu pań, jako drobny wyraz wdzięczności Merryweather Holidays za tak bardzo potrzebną pomoc.

Spojrzenie panny Wood przesunęło się z pieniędzy na mikrofon.

- Czyli panna Amanda i ja mogłybyśmy mówić do klasy - ee, to znaczy, do pasażerów - przez nagłośnienie?

- Oczywiście, po należyтым przedstawieniu się -zapewnił Doogie.

- AMANDA! - wrzasnęła panna Wood belferskim jazgotem w głąb autokaru. - CHODŹ TU NATYCHMIAST!

ROZDZIAŁ TRZECI

Wczesniejsza gwiazdka

*O, właśnie zjechałem tu z wysepki Arran,
I jest mi markotno, bo mi ukradli sporran.
Dougal, gdzie twoje spodnie?*

Kpiąca parodia starej piosenki Andy'ego Stewarta w wykonaniu Nicka Martina miała rozbawić dziewczyny w biurze i zawstydzić Doogiego. Ani jedno, ani drugie się nie udało.

— Niezły numer, Magiczna Karuzelo — ciągnął Nick, niezrażony tym niepowodzeniem. — Wszyscy inni faceci w tej robocie, których znam, musieli się opędzać od kobiet, które dawały im pieniądze. A potem przyjeżdżasz ty i pierwszego dnia nie tylko fundujesz dwóm starym rurom darmową wycieczkę do La Granja, ale jeszcze wciskasz im ekstra kasę za odwale-

nie twojej roboty! Ogarnij się, koleżko, nie jesteś już na Hebrydach!

- Przymknij się, Nick - przerwała mu jedna z dziewczyn. - Chłopak robił, co mógł.

- O tak, teraz wszyscy bronimy biednego Dougala, tak, dziewczyny? Świetnie się składa, bo będzie potrzebował obrony, kiedy Manolo dorwie go w swoje ręce za szastanie firmową forszą. - Odwrócił się w stronę Doogiego. - Gdyby to ode mnie zależało, potrąciłbym ci to z pensji, koleżko.

Choć jego samokontrola była testowana do granic możliwości, Doogie nie dał się sprowokować. Zauważył Catalinę, młodą Majorkankę, obsługującą ksero po drugiej stronie biura. Podniosła wzrok i rzuciła mu spojrzenie, uśmiechając się nieśmiało i przepaszająco wzruszając ramionami. Nie uszło to uwadze Nicka Martina.

Podszedł do kserokopiarki, sprawdził, czy Doogie patrzy, a potem objął Catalinę z tyłu w pasie i szepnął jej coś do ucha. Catalina zaczerwieniła się gwałtownie i wyrwała z jego uścisku.

Doogie był świadom, że to spoufalanie się Nicka ma na celu wyłącznie rozdrażnienie go, i, ku jego własnemu zaskoczeniu, tak właśnie się stało. Miał ochotę krzyknąć, żeby Nick trzymał swoje lepkie łapy przy sobie, ale się powstrzymał, wiedząc, że właśnie taką reakcją tamten próbuje wywołać.

Zadowolony, że jego zagrywka odniosła choć namiastkę zamierzonego efektu, Nick wyszedł z powrotem na środek biura.

— Czy uwierzyłybyście, moje panie — oznajmił — że ten tu Magiczna Karuzela machał z autokaru portierom na pożegnanie, kiedy ci biedacy stali i zachodzili w głowę, czemu nie dał im paru groszy za to, że wcisnęli turystom bilety na wycieczkę? — Zmusił się do kpiącego śmiechu. — Tak, Carlos, kierowca autokaru, wszystko mi opowiedział, kiedy wrócił wczoraj wieczorem. Do tego musiał sam sobie zorganizować zrzutkę w drodze powrotnej z La Granja! Pytam was, też uważacie, że ten tartanowy gamoń ma naturalny dar pilotowania wycieczek?

Doogie zaczął już widzieć na czerwono, a Nick doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

— Ale z drugiej strony pewnie u was kierowcom autokarów płaci się w haggisie, co? A może na Arran nie ma jeszcze autokarów? Wszyscy cały czas jeżdżą wozami zaprzężonymi w woły?

Reakcją na jego rehot było powszechne skrepowane milczenie.

Doogie policzył do dziesięciu.

— Coś ci powiem, *koleżko* — powiedział chłodno. — Studiowałem trochę weterynarię i myślałem, że widziałem już wszystkie aspekty popularnych elementów zwierzęcej anatomii. Ale widzę, że się myliłem.

Podszedł do Nicka i lekko poklepał go po policzku.

— Właśnie zobaczyłem coś, co uważałem za niemożliwe. Końska dupa z zębami!

Narastająca w biurze bańka napięcia natychmiast pękła i po pokoju przeszła fala chichotu. Nick Martin wziął swoją podkładkę z papierami z biurka dyżur-

nego i ruszył do drzwi z największą nonszalancją, na jaką był w stanie się zdobyć. Przystanął tam i rzucił Doogiemu spojrzenie niepozostawiające chłopakowi wątpliwości, że przyjdzie mu zapłacić za tę zniewagę.

- *Olei Viva* Doogie O'Mara! - zawołała kasjerka Julie, kiedy tylko drzwi się zamknęły. - Temu draniowi od lat się to należało!

Przy wtórze chichotania „końska dupa z zębami” krążyła w tę i z powrotem. Ale ten wybuch wesołości nagle się urwał, kiedy z gabinetu Manola wyszła An-gie, wyraźnie zdołowana.

- Teraz ty, skarbie - mruknęła do Doogiego, wskazując za siebie ruchem głowy. - Twoja kolej, by wejść do jaskini lwa.

Chociaż Doogie wciąż nie dostrzegał uśmiechu na twarzy Manola, pomyślał, że ogólna postawa szefa wydaje się o wiele bardziej przystępna niż poprzednim razem.

- Mam nadzieję, że przyjmie pan moje przeprosiny za wczoraj - powiedział Manolo, ściskając dłoń Doogiego i wskazując mu miejsce. - To przez te niespodziewane braki kadrowe, o których panu wiadomo. Oprócz tego musiałem także poradzić sobie z brakiem rezerwacji miejsc w hotelach. Gdyby natychmiast ich nie załatwić, oznaczałyby, że ponad setka naszych klientów, którzy przylecieli wczoraj wieczorem, nie miałaby gdzie spać.

Wszedł za swoje biurko i usiadł.

- Ale to są właśnie uroki branży turystycznej, panie O'Mara. I naszym zadaniem jest dopilnować, by

płacący klienci nie cierpieli z powodu naszych drobnych trudności. „Twoje szczęście naszą zapłatą” — tak w końcu brzmi motto Merryweathera.

Doogie zaczął już podejrzewać, że ostentacyjna przyjacielskość Manola jest tylko kulturalnym sposobem zmiękczenia go przed solidnym opeerem. Podejrzenie to zostało jeszcze wzmocnione przez złowieszcze ściągnięcie ust pod wąsem kierownika, kiedy ten sięgnął po kartkę papieru na biurku. Manolo odchylił się w tył na fotelu i w milczeniu przeczytał odręcznie napisaną wiadomość, z twarzą pozbawioną wyrazu, nie licząc nerwowego tiku, który od czasu do czasu ściągał mu lewą brew. Doogie miał już zaproponować, że oszczędzi firmie czasu i kłopotu i od razu poprosi o zwolnienie, kiedy Manolo podniósł wzrok i postukał w kartkę grzbietami palców.

- Angie dostała to od gościa hotelu Antillas dziś z samego rana. Kopia została podobno wysłana do pana Merryweathera w Londynie. To list od jednej z naszych klientek - jednej z naszych najbardziej cenionych klientek — która była z panem wczoraj na wycieczce do La Granja. - Znów postukał w kartkę. — Czy domyśla się pan, czego może dotyczyć, panie O'Mara?

Doogie nerwowo zaczął wykręcać identyfikator Merryweathera na kłapie.

- No, domyślam się dość dobrze i zanim przejdzie pan dalej, chciałbym powiedzieć...

- Spokojnie, spokojnie! — przerwał mu Manolo ze zniecierpliwieniem. — Nie zamierzam jeszcze kazać

panu oddawać odznaki. Proszę mi wierzyć, nie jestem bezdusznym łotrem, jak być może panu mówiono.

- Nie jest pan? To znaczy, oczywiście, że pan nie jest. - Doogie zaczynał się gubić. Może jednak powinien się wstrzymać jeszcze chwilę z wygłoszeniem mowy o rezygnacji.

- Czyli, ehem, w tym liście nie napisano tego, co myślę?

Od jednego do drugiego końca wąsów Manola przemknął lekki uśmieszek.

- Nie mam pojęcia, co pan myśli, ale wiem, co tam napisano. To jedna z najbardziej pochwalnych opinii, jakie kiedykolwiek dostaliśmy od naszych klientów na temat tej czy innych pilotowanych wycieczek. I wygląda na to, że to pana zasługa.

- Ee, ale ja chyba nie rozumiem - zaczął Doogie. - Widzi pan, tak naprawdę podziękowania należą się panie Wood, no i jej siostrze Amandzie...

- Ale to właśnie napisała panna Wood. - Manolo podał Doogiemu kartkę. - Proszę, niech pan sam przeczyta.

Doogie nic nie rozumiał. List panny Wood przypominał szkolne świadectwo, o jakim marzy każde dziecko, ale mało które takie dostaje...

„Pan O'Mara był uosobieniem kultury i zrozumienia, nie obrażał swoich słuchaczy recytowaną, bezmyślną papką, jak większość przewodników wycieczek. Zamiast tego umiejętnie namówił co bardziej oświeconych spośród pasażerów, by podzielili się własną wiedzą z gorzej poinformowanymi towarzyszami. Pogratulować starań! Świetnie!

Podpisano, mgr Maude Wood (panna)."

— Z drugiej strony jest dopisek, który także powinien pan przeczytać — powiedział Manolo z nieodgad-nioną miną.

Doogie odwrócił kartkę i przeczytał z rosnącym niedowierzaniem schludne, odręczne pismo panny Wood:

„Załączam sumę siedemdziesięciu pięciu euro w gotówce i byłabym wdzięczna za przekazanie jej panu O'Marze jako darowizny na cel zakupu zapasowej pary okularów. Moja siostra Amanda i ja mamy szczerą nadzieję, że pan O'Mara przyjmie ją w duchu takim, w jakim została ofiarowana.”

Doogie nie zdołał się powstrzymać od głupawego śmiechu.

— Ja... nie wiem, co powiedzieć...

— Nie musi pan nic mówić, już przekazałem pannie Wood podziękowania od firmy, więc możemy uznać ten krótki rozdział za zamknięty. — Manolo zerknął na zegarek i nagle w jego głosie pojawił się bardziej nagły ton. — O dziesiątej odbierze pan z Angie lot z Birmingham. Następne dwa tygodnie będzie pan pracował z nią i uczył się, a potem przejmie jej obowiązki w całości. Angie wszystko panu wytłumaczy. A teraz, panie O'Mara, czy raczej Doogie, skoro jesteś już członkiem zespołu, musisz mi wybaczyć. — Wziął do ręki telefon. — Mam wiele innych pilnych spraw do załatwienia.

Doogie zdołał wykrztusić z siebie jedynie oszołomione: „Rany!”. Wymamrotał: „Dziękuję” i był już prawie przy drzwiach, kiedy Manolo zawołał za nim:

- *Oiga!* Nie zapomnij pieniędzy od panny Wood. - Podniósł plik banknotów. - To interesujące, me sądzisz, że dokładnie taką samą sumę poleciłem Julie dać ci jako zaliczkę pierwszej wypłaty wczoraj rano?

Doogie przełknął ślinę i poczuł, że się czerwiem. Manolo wręczył mu pieniądze, a w cieniu jego wąsów znów przemknął ten dziwny uśmieszek.

- Na twoim miejscu, Doogie, od dzisiaj uważałbym siedemdziesiąt pięć za swoją szczęśliwą liczbę.

Doogie wcisnął się na miejsce pasażera starego renault 5, należącego do Angie.

- Go taka jesteś ponura? - spytał ją. - Umówmy się, awans to dobra wiadomość chyba dla każdego.

Angie wbiła się małym samochodzikiem na prawy pas zatłoczonej Avenue Alexandre Roselló, kwitując fanfarę klaksonów zamaszystym pokazaniem środkowego palca we wstecznym lusterku i wiązką wykrzyczanych przekleństw po hiszpańsku.

- Och, nie zrozum mnie źle, skarbie - powiedziała w końcu. - Jestem wniebowzięta przez ten awans. Większe pieniądze też się przydadzą. Tak, i me myśl sobie, że mnie wkurza, że bierzesz moją posadę po dwóch tygodniach pracy. Nie, me, bardzo się cieszę, naprawdę.

Doogie wzruszył ramionami.

- No to w czym problem?

- Problem w tym, skarbie, że awans oznacza wyjazd z wyspy. Zostałam mianowana dyrektorem przedstawicielstwa Merryweathera na Ibizie.

Doogie zamknął oczy i skrzywił się, kiedy Angie przejechała na czerwonym świetle i w końcu wrzuciła trójkę przy sześćdziesięciu na godzinę.

- Wybacz, że na chwilę zmienię temat, Angie, ale czy to diesel?

- O ile wiem, nie. A co?

- Bo gada trochę jak diesel. - Doogie obejrzał się na chmurę sinego dymu, wciąż wiszącą nad miejscem ostatniej zmiany biegów. - I dymi też jak diesel.

- Nie, na pewno benzyniak.

- Kiedy ostatni raz robiłaś przegląd, na litość boską?

- Kiedy go kupiłam, pięć lat temu. No, tamten facet powiedział, że go serwisował... chyba.

- Angie, nie chciałbym cię niepokoić...

- To bardzo miło z twojej strony, skarbie.

ale czeka cię kapitalny remont tego silnika, i to niedługo.

- Wiesz co, młody, on sobie wystarczająco odpocznie, jak mnie wywiozą na Ibizę.

- A tak, Ibiza - powiedział Doogie, uświadamiając sobie, że Angie ma własne priorytety. - Dyrektorka i tak dalej. Gratulacje, Angie. To super!

- Hm, może. - Angie pokręciła głową i westchnęła, na pozór w ogóle nieprzejęta tym, że o włos uniknęli zmiżdżenia przez olbrzymią ciężarówkę, kiedy skręcała na *autopista* prowadzącą na lotnisko.

- Chyba się nie rozmyślisz, co? - spytał Doogie. - To znaczy, taka szansa może się prędko nie powtórzyć.

- Mnie się już nigdy nie trafi, dlatego muszę ją wykorzystać teraz. - Angie otarła łzę z kącika oka, jednocześnie wymieniając obraźliwe gesty z kierowcą wyprzedzającej ich ciężarówki. - Rozumiesz, chodzi o małego Pedrita. Będę musiała go tu zostawić ze starą Marią, dopóki nie zorganizuję tam dla nas przyzwoitego mieszkania, czyli przynajmniej do końca sezonu. Będzie cztery miesiące! Jezu, już tęsknię za tym małym łobuzem.

Reszta krótkiej drogi na lotnisko upłynęła w relatywnej ciszy. Doogie rozmyślał o tym, jak bardzo był samolubny i jak małostkowe wydawały się teraz jego problemy w porównaniu z sytuacją Angie. Ona zaś pociągała nosem i mamrotała coś niezrozumiale do siebie.

- Oczywiście będę musiała wynająć swoje mieszkanie tutaj, jeśli ma mnie być stać na wynajem odpowiedniego mieszkania na Ibizie - powiedziała w końcu na głos, tyleż do siebie, co do Doogiego. Nagle, dotknięta iskrą weny, dodała z ożywieniem: - Hej, skarbie, a może wyrwałbyś się z luksusów noclegowni Ingrid i przeprowadził do mnie, co?

Doogie poczuł się, jakby na Majorce gwiazdka przyszła wcześniej niż do reszty świata.

- Nabierasz mnie!

- Ani trochę, młody. I policzę ci najniższy możliwy czynsz. Ale dostaniesz to mieszkanie tylko pod warunkiem, że będziesz o nie dbał jak o dziecko. Żadnych podnajmów innym rezydentom: wiem, jak to jest. Żadnych dzikich imprez, stara Maria mieszka za ścianą. I żadnego gżenia się w moim łóżku. Zgoda?

— Umowa stoi!

Angie zamyśliła się na chwilę, odbierając bilet z automatu przy wjeździe na parking lotniska.

— Znasz się może przypadkiem na silnikach benzynowych?

— Nie da się wychować na farmie i nie dowiedzieć tego i owego o każdej maszynie, która pomaga w pracy.

Angie zatrzymała krztuszącą się renówkę na najbliższym wolnym miejscu.

— Dobra — powiedziała. — Poskładaj tego kaszlaka do kupy, i będziesz mógł go używać, kiedy mnie nie będzie. Pod warunkiem, że będziesz o niego dbał i płacił wszystkie opłaty, z mandatami włącznie. A, i żadnego gżenia się na tylnym fotelu. To nie kombiak! Zgoda?

Wyraz zachwyty na twarzy Doogiego był jedyną odpowiedzią, jakiej Angie potrzebowała. I co z tego, że temperatura przekraczała trzydzieści w cieniu? Gwiazdka dla Doogiego naprawdę przyszła wcześniej.

Angie popędziła go w stronę terminalu.

— Dobrze, młody O'Maro - powiedziała z uśmiechem - chyba wisisz mi kawę!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Doogie-Boogie

Doogie odkrył, że nawet kiedy nikogo z rezydentów nie brakowało, codzienny rozkład zadań do wykonania wymagał pewnego przyzwyczajenia. Nie to, że obca była mu ciężka praca, bo w końcu robił to całe życie - ale to zajęcie było czymś wyjątkowym.

Na początek upał: nieustanny, wilgotny, palący skwar odbierający siły, wyczerpujący cierpliwość, budzący irytację i wywołujący szczypanie oczu od potu. To był upał, który sprawiał, że Doogie tęsknił za nudnymi, letnimi dniami na Arran, z orzeźwiającym zachodnim wietrzykiem znad Atlantyku i szczytem góry Goat Feli sterczącym ponad mgłę jak wyspa wśród chmur.

Potem godziny pracy. W teorii roboczy tydzień był podzielony na równe ośmiogodzinne bloki, ale

w praktyce oznaczał niekończące się dni i bezsenne noce. Do tego ideałem byłoby, gdyby Doogie mógł znaleźć się w kilku miejscach wyspy naraz, gdy jeden opóźniony lot gonił drugi. Życie Doogiego wypełniło transportowanie kolejnych stad rozentuzjasmowanych albo zbolałych pasażerów z lotniska do hoteli; pogodne odmawianie (przy ryzyku utraty kilku zębów) piw, którymi częstowali „chłopaki” w autokarze; delikatne przestawianie starych państwa Smithów na koniec kolejki do odprawy do Edynburga po tym, jak stali prawie godzinę w kolejce do East Midlands; uprzejme informowanie państwa Smithów, gdzie mają wyrzucić śmierdzący kłęb zużytych pieluch i co mają zrobić ze składaną spacerówką; pomaganie dopiero co przybyłej i rozhisteryzowanej wdowie Smith w ustaleniu, na które z dwudziestu kilku lotnisk w całej Europie trafił jej bagaż; na koniec zaś odpieranie zalotów wszechobecnej pani Smith poprzez wyraźne danie do zrozumienia (ale tak, by jej nie urazić), że nie kręci cię łapanie za tyłek przez śmierdzącą dzinem starą torbę z fryzurą przypominającą perukę zrobioną z tlenionych zmywaków do naczyń.

Wszystko to jednak, jak powiedział Manolo, były uroki pracy w branży turystycznej; pod okiem Angie Doogie szybko się uczył i powoli przyzwyczajał do życia w stanie nieustannego fizycznego i umysłowego wyczerpania. Plusem sytuacji było to, że długie godziny pracy zostawiały mało czasu na sen, co z kolei oznaczało krótsze pobyty w dusznym schowku w mieszkaniu Ingrid pod lotniskiem. To znów odsuwa-

ło konieczność przełamania lodów z ostentacyjnie nietowarzyskim i być może (choć Doogiego przerażała ta myśl) zazdrosnym Fidelem. Ingrid pojawiał się rzadko i na krótko, choć nigdy nie omieszkał rzucić Doogiemu kilku słów zachęty i dobrych rad za każdym razem, kiedy na siebie wpadali. Jamajczyk był enigmatycznym połączeniem ojcowskiej troski z niemal egzotyczną tajemnicą; nieodgadnioną osobowością, wobec której Doogie mógł czuć tylko lekki nabożny podziw. Ale go lubił. Był przekonany, że Ingrid jest w porządku.

Co do Nicka Martina - to kiedy zbliżał się do Doogiego na odległość skinięcia głową na lotnisku, zachowywał się chłodno i milcząco, co Doogiemu pasowało. Chłopak i tak postanowił wziąć sobie do serca poradę Angie i omijać go szerokim łukiem. W jego opinii Nick Martin był zwykłym debilem i nie warto było nawet o nim myśleć. Mimo to instynktownie wiedział, że jeszcze doświadczy jego złośliwości. Upokorzenie, jakie Doogie zgotował mu przed dziewczynami w biurze Merryweathera, nie mogło tak szybko pójść w niepamięć.

Wigilia wyjazdu Angie na Ibizę wypadła w niedzielę, na kilka dni przed rozpoczęciem lipcowej inwazji zmasowanych wycieczkowiczów z północy, pod koniec tego, co bardziej doświadczeni rezydenci Merryweathera uważali za ciszę przed burzą.

Powodowany czymś, co Angie uznała za dziwny dla mego przyptyw współczucia, Manolo dał i jej, i Doogiemu dzień wolny - dla Doogiego pierwszy,

odkąd przyjechał na wyspę, dla niej pierwszy, jak twierdziła, od Bóg wie jak dawna. Tak czy siak, była to pierwsza i jedyna okazja, by pokazać chłopakowi mieszkanie i wyjaśnić, co i jak, kiedy i gdzie płacić podatki, rachunki za telefon i prąd oraz składki na fundusz remontowy budynku.

Calle Rosas Bermeso znajduje się w mieszkalnej dzielnicy Palma Nova. To stosunkowo spokojna uliczka, przy której w cieniu sosnowego zagajnika stoją dostojne wille i bloki, zaledwie kilka ulic od morza i niewielkiej przystani dla jachtów. Doogiemu od razu się tam spodobało. Jak można się było spodziewać, blok Angie, choć mały i skromny, wyglądał na przytulny i ciepły. Otaczał go zadbane ogród z ładną palmą przy wejściu; z kilku małych balkonów zwieszały się kaskady geranium. Nie było windy, więc Doogie zarzucił torbę na ramię i wszedł za Angie po zewnętrznych schodach na trzecie piętro.

- I co powiesz, młody? Nadawałoby się na artykuł w „Hello!”, co?

- Go najmniej na rozkładówkę — powiedział zachwycony Doogie, zastanawiając się, kiedy skończą się te cuda. Spodziewał się kiczu, bibelotów i meblościanki. Czegoś pasującego do, no czegoś pasującego do... Angie.

- To nie mój gust, skarbie - powiedziała, jakby czytała w jego myślach. - Poprzednim właścicielem był emerytowany prawnik czy ktoś taki z Barcelony. To było jego wakacyjne mieszkanie. Kiedy kopnął w kalendarz, kupiłam je z całym umeblowaniem. Dla mnie

to wszystko jest za bardzo staroświeckie i, no wiesz, macho. Jak będzie mnie stać, przerobię to wszystko na nowoczesny styl - wiesz, modny, elegancki i sexy.

- Poklepała się po obfitym biodrze i puściła oko. - Tak jak ja, nie?

Doogie, z wielkimi oczami, ledwie skinął głową, żywiąc w duchu nadzieję, że Angie nieprędko stanie finansowo na nogi. Nie żeby me życzył jej jak najlepiej, oczywiście. Nie - po prostu w najśmielszych snach nie potrafił sobie wyobrazić doskonalej urządzonego mieszkania dla kawalera. W każdym detalu była to miniatura archetypicznego, hiszpańskiego domostwa

- podłogi wyłożone terakotą o stonowanych kolorach, ciemne, drewniane meble z tymi drobnymi, wystającymi panelikami i żelaznymi okuciami, miękkie fotele, przycupnięte na rzeźbionych, drewnianych nogach, z obowiązkowymi mtarsjami na poręczach, i chłodne, białe ściany, na których wisiały antyczne mapy i ryciny w złotych ramach, przedstawiające średniowieczne scenki łowieckie.

- Próbowałam to wszystko trochę rozweselić paroma meksykańskimi dywanikami, kolorowymi kwiatami i tak dalej - powiedziała Angie niemal przeproszającym tonem - ale wiem, że tak naprawdę trzeba najpierw wywalić wszystkie te ponure, hiszpańskie starocie. Normalnie ciarki mnie od nich przechodzą.

- To daj mi znać, jak będziesz to wyrzucała. Dla mnie to coś wspaniałego.

- Tak, tak myślałam. Wszystkie te obrazki zabitych zwierząt i w ogóle.

Doogie już się czuł jak w domu.

— Jak często mam podlewać kwiatki, Angie?

— Ani mi się waź! Wszystkie są sztuczne, ale dobrej jakości. Kupiłam je za grosze, kiedy parę lat temu zamykali pięciogwiazdkowy hotel. Prawdziwe są tylko te gerania, czy jak to się tam zwie, w skrzynkach na balkonie. — Zaprowadziła Doogiego do przeszklonych, podwójnych drzwi. — Ale tymi zajmuje się stara Maria, więc możesz sobie odpuścić wszystkie swoje ogrodnicze zapędy.

Doogie z każdą chwilą był pod coraz większym wrażeniem. Balkon, jak całe mieszkanie, był mały — mieściły się na mm akurat leżak do opalania i okrągły, metalowy stolik z czterema krzesłami. Ale za to wychodził na południe i oferował widok nad czubkami drzew na małą przystań. Na prawo ciągnął się łuk zatoki Palma Nova; tamtejsze hotele i wille z tej odległości wyglądały jak zabawkowe miasteczko na tle porośniętych sosnami gór.

— Musi ci być okropnie żal stąd wyjeżdżać, Angie - powiedział Doogie. - To znaczy, masz tutaj swój mały kawałeczek raj.

Angie zrobiła zamyśloną minę.

— Och, będzie mi tego brakowało, pewnie, ale najbardziej mnie boli, że muszę zostawić małego Pedrita. Mieszkanie — wiesz, ostatecznie to tylko cegły, zaprawa i widok, a to można znaleźć wszędzie. Ale Pedrito...

— A gdzie on jest? — spytał Doogie, starając się zachować jak najpogodniejszy nastrój. — Nie mogę się doczekać, żeby poznać tego malucha.

- Jest obok, u starej Mani... jak zwykle. - Angie westchnęła.
- Biedny łobuz nie mógł uwierzyć, że będę dzisiaj cały dzień w domu. Rano wziął swoje płatki owsiane i poleciał do Marii. Tak. - Znów westchnęła. - To chyba siła przyzwyczajenia.

Doogie zrozumiał, że wszelkie próby utrzymania wesołej atmosfery są skazane na niepowodzenie.

- Na pewno okropnie mu smutno, że jutro wyjeżdżasz - powiedział, wybierając podejście realistyczne. Poszedł za Angie do kuchni.

- To właśnie najgorsze - mruknęła żałośnie - bo, szczerze mówiąc, chyba w ogóle się me przejął, mały drań. A widuje mnie codziennie, nawet jeśli czasami przez parę minut. To co będzie, do cholery, jak będzie mnie widział raz na dwa czy trzy tygodnie?

- Nie możesz wracać częściej? Przecież Ibiza jest dwadzieścia minut lotu stąd, prawda?

- Tak, ale to wszystko loty kursowe. Głuptaki Merryweathera nie latają między wyspami, więc będę musiała płacić pełną stawkę. Przelot raz czy dwa w miesiącu już mi będzie nadwierał budżet do maksimum, uwierz mi. Jak na to spojrzeć w ten sposób, nie ma sensu przyjmować awansu, skoro cała podwyżka ma iść na bilety, nie?

Doogie stał w milczeniu i słuchał, kiedy Angie coraz bardziej przybitym głosem wyjaśniała mu działanie różnych kuchennych sprzętów.

- I me zapomnij - zakończyła ponuro - że musisz codziennie wynosić śmieci do kontenera na ulicy, bo inaczej zaraz cała kuchnia się zaroi od *cucarachas*.

Doogie podrapał się w głowę i zrobił przesadnie głupią minę.

- *Cucarachas?* To ta południowoamerykańska grupa taneczna, tak?

Angie obróciła się gwałtownie, gotowa na niego na-wrzeszczyć za to, że jest taki tępy. Kiedy jednak zobaczyła iskierki w jego oczach, wybuchnęła na wpół śmiechem, na wpół płaczem i palnęła go w ramię.

- To pieprzone karaluchy, ty tępy szkocki matole! - zahuczała, a potem zerwała z rolki na ścianie kawałek papierowego ręcznika i głośno wysmarkała nos. -To są pierwsze i ostatnie łzy, jakie u mnie zobaczysz.

Chwyciła Doogiego za ramię i powlokła go do drzwi.

- Chodź, młody, zajrzemy do Marii i Pedrita. Tak, me ma co tu siedzieć i chlipać. Idziemy wszyscy na niedzielny obiad. I pieprzyć koszt, ja stawiam. Ale ty, młody Doogie O'Maro, będziesz prowadził, boja, twoja stara ciotka Angie, zamierzam się solidnie urznąć.

Mimo bardzo realnej możliwości, że małe renault 5 Angie w każdej chwili wyzionie ducha, półgodzinna jazda do Sant Elm była doświadczeniem, które sprawiło Doogiemu wielką radość. Nie licząc traumatycznej wycieczki do La Granja, podczas której był za bardzo zdenerwowany, by podziwiać widoki, to była dla niego pierwsza okazja, by opuścić rejon swojej pracy - rozrastający się kompleks turystyczny, pokrywający wybrzeże po obu stronach miasta Palma. Rozkoszował się teraz ucieczką w stosunkowo dziewicze zakąt-

ki prawdziwej Majorki. I wkrótce odkrył, że nieważne, jak były pochlebne, żaden z opisów w przewodnikach, które wkuwał na pamięć od chwili przylotu na wyspę, nie oddaje sprawiedliwości oszałamiającemu pięknu tego miejsca.

Doogiego zachwycił szorstki splendor gór, lasy sosen i ostrolistnych dębów porastające łagodne wzgórza i wyciągające swoje zielone palce ku najwyższym szczytom. Pochłonał go widok drzew, które jakimś cudem trzymały się olbrzymich, spękanych skał, jakby zapuściły korzenie w samym kamieniu. Zapach mirtu, tymianku i tysiące innych odurzających aromatów niosły się w nieruchomym powietrzu, a ptasie trele konkurowały z cykaniem koników polnych, które wygrzewały się w kępach suchej trawy na poboczach krętych, wiejskich dróg. Za ogrodzeniem szosy widać było rosnące dziko karłowate palmy, niestarzejące się rożkowce i pokryte szkarłatnym kwieciem granatowce. A wspaniałe majorkańskie słońce malowało wszystko ostrymi kontrastami światła i cienia.

Stara Maria, której angielskie słownictwo ograniczało się najwyraźniej do „OK” oraz „dobrze, tak?”, postanowiła usiąść z przodu, obok Doogiego. Były ku temu prawdopodobnie dwa powody. Po pierwsze wiedziała, że Angie chce spędzić jak najwięcej czasu w towarzystwie Pedrita. Po drugie najpewniej zdawała sobie sprawę, może nawet wyraźniej, że próba przepchnięcia swojej niskiej, ale idealnie okrągłej osoby przez jedno z dwojga drzwi małego samochodu na tylny fotel mogłaby zakończyć się koniecznością wzy-

wania straży pożarnej z palnikami. Swoją nieustającą, pogodną komentarz mijanych widoków przetykała regularnie okrzykami „*Hombrel*” oraz „*Mądre miał*”. Dzięki owej pełnej entuzjazmu narracji, prowadzonej dziecinnym falsetem typowym dla wielu majorkańskich matron, Doogie mógł nie myśleć o charczeniu i krztuszeniu się udreżonego silnika samochodu, który prowadził po niekończących się wstęgach krętych, wąskich dróg.

— *Miral* - skrzeczała Maria. - Patrz! Widzicie ten dom, ten z żółtymi okiennicami? To tam stary Grimalt zabił żonę w noc fiesty Sant Pere w 1964!

Maria знаła każdy szczegół tego skandalu, bo to w końcu ona i jej zmarły mąż Bartolome sprzedali temu niegodziwemu, staremu kozłowi truciekę na szczury w swoim sklepie przy drodze w Andratx. A tam, w tej *cisterna* na wodę przy strumieniu, to tam najmłodsza córka kowala Serry utopiła noworodka w noc przed tym, jak uciekła do Palmy i została zakonnicą. A ojcem dziecka był jej własny ojciec!

— *Madre ima!* — Maria się przeżegnała. — Oby Matka Boska oddała dar dziewictwa tej nieszczęsnej dziewczynie!

A tu wioska S'Arraco.

— Tu — ciągnęła — niemieccy hipisi urządzili w 1975 sabat czarownic i rzucili czar, od którego wszystkie uprawy ziemniaków w dolinie zniszczyła susza. I pomidory też! A to wszystko tylko dlatego, że wioskowy sklepikarz nie chciał sprowadzić bratwurstu i kiszonej kapusty. *Hombre!*

Nastąpiło gorączkowe macanie krucyfiks i mamrotanie pod nosem inwokacji; później Mana wzięła głębszy oddech i szeroko uśmiechnięta rozpoczęła kolejny cykl upiornych opowieści o nieszczęściu, zarazach i śmierci.

Przez cały ten czas Angie trajkotała z Pedntem na tylnym siedzeniu, nie zwracając uwagi na gadanie Mani, skupiona tylko na tym, by nadrobić choć trochę czasu, który miała stracić. Doogie od czasu do czasu zerkał na nich w lusterku; na roześmianą twarz i smutne oczy Angie, na jej ręce tulące Pednta, odgarniające mu z czoła burzę czarnych włosów, ścierające nieistniejące plamy z jego koszulki. A potem spuszczała wzrok, kładła ręce na kolanach i nerwowo je wykręcała, kiedy Pednto zadawał jakieś niewinne pytanie o coś, co zobaczył na zewnątrz. Pytał po hiszpańsku i zwracał się wyłącznie do Marii.

Ostatni kilometr do Sant Elm jechali cały czas z górki. Droga wiła się wąwozem ocienionym nawisłymi sosnami. Po jednej stronie grunt opadał w dolinkę wy żłobioną przez wyschnięty teraz strumień. Doogie jednak zauważył, że w spłachetkach żyznej ziemi pozostało po zimie dość wilgoci, by wyrosły na nich kolonie bambusów, a nawet maleńki warzywnik czy dwa. Choć oba te miejsca tak wiele różniło, ta idylliczna scenka przypomniała mu o skromnej farmie, która była kiedyś jego rodzinnym domem.

- Jedź prosto główną ulicą - poleciła Angie, kiedy minęli ostatni zakręt. - Lokal, do którego jedziemy, jest na samym końcu.

Doogie odciął się od wesołego strumienia jadu, który Maria wylała na drugą żonę kuzyna męża kobiety - zapijaczonyj dziwki - dawnej właścicielki tego baru, o tu. Zamiast tego skupił się na najnowszym cudzie, który odkryła przed nim Majorka. Bo choć Sant Elm nie jest całkiem wolne od turystycznej zarazy, pozostało ostoją relatywnego umiaru. Miasteczko rozciąga się na brzegu zatoki, zapierającej dech w piersiach swoim pięknem. Z drugiej strony osłonięte jest górskim grzbietem, który wybiega cyplem w morze i kończy się pionowym urwiskiem.

Zgodnie ze wskazówkami Angie, Doogie przejechał przez całą główną ulicę i zaparkował w sennej, bocznej uliczce, gdzie jedynymi oznakami życia były dwa wrednie wyglądające koty, prychające na siebie nad rozwłó-czoną zawartością foliowego worka na śmieci. Powietrze przesycił mocny aromat niedzielno pieczonego kurczaka.

-Jest jeszcze wcześniej - powiedziała Angie do Doogiego. - Dopiero pierwsza. Jeszcze godzina i będzie tu taki tłok, że w porównaniu z tym Notting Hill w karnawale będzie przypominało odpust na Arran. Skoczmy za róg i zajmiemy dobry stolik, póki się da.

Założywszy słomiany kapelusz z podwiniętym z przodu rondem, w którym wyglądała jak przerośnię-ty miś Paddington w damskich ciuszkach, stara Maria poszła przodem. Potok jej słów dotyczył teraz szczegółowych dziejów (prawdziwych lub nie) wyspy Dragonera, rozległej, porośniętej krzakami bryły beżowego

kamienia, która zajmowała dużą część horyzontu za zatoką Sant Elm.

Ponieważ Doogie nie musiał już myśleć o trudach prowadzenia samochodu, uznał, że to doskonała okazja, by poćwiczyć swój hiszpański.

— W zatoce Lamlash przy Arran, skąd pochodzę, jest bardzo podobna wyspa — wydukał, mając nadzieję skierować rozmowę na temat interesujący dla obu stron. — W Wielkiej Brytanii nazywają ją Świętą Wyspą — *La Isla Santa*.

— Ach, ale Dragonera też jest święta — wytknęła Maria, pokazując Doógiemu maleńki budynek na jej szczycie. Był to słynny klasztor na Dragonerze i święci mężowie mieszkali tam na długo, zanim *Las Islas Britanicas* zostały w ogóle odkryte przez rzymskich marynarzy, którzy przypadkiem wpadli tam na *pipi*.

— *Pipi* — wyjaśniła Doógiemu Angie — znaczy sikać. Koniec rozmowy.

Restaurante El Pescador nie mogła nosić bardziej adekwatnej nazwy, ponieważ mieściła się na parterze starej rybackiej chaty i tuliła się do podobnie zaadaptowanej Restaurante Vistamar. Te dwie skromne, małe jadłodajnie oferują jeden z najwspanialszych widoków na malowniczy, południowo-wschodni kraniec Majorki. Jedyne, co dzieli dwa kamienne domki od morza, to zadaszony taras, który obie restauracje wykorzystują jako ogródek uzupełniający niewielkie sale jadalne wewnątrz.

Doogie podszedł do kamiennej barierki i wyjrzał na niedużą keję oraz kilka drewnianych, drabiniastych

pochylni, łączących małe szopy na łodzie z kamienistym brzegiem. Po drugiej stronie zatoki kilkanaście jachtów o wysokich masztach kołysało się leniwie na cumach; ich kadłuby lśniły w słońcu bielą, a czerwono-złote bandery na rufach zwisały w nieruchomym, gorącym powietrzu.

- Siądziemy w środku - zawołała Angie do Doogiego. — Uwierz mi, skarbie, nie chcesz siadać na zewnątrz.

- Dlaczego? Pod tym daszkiem nie jest gorąco, a widok jest niesamowity.

- Nie o upale mówię, a ten sam widok masz przez okno, więc chodź tu i nie dyskutuj!

Maria mądrze pokiwała głową.

- Jest OK, Boogie. Jest dobrze.

Doogie nie próbował prostować swojego imienia. Przynajmniej było bliższe prawdziwemu niż Magiczna Karuzela!

- Boogie, jakie śmieszne imię - skomentował Pedrito doskonałym angielskim, siadając obok Doogiego przy stole i przyglądając mu się z palcem wskazującym wetkniętym po drugi kłykieć do nosa.

- Tak, wiesz, to szkockie imię - odparł po prostu Doogie, nie chcąc komplikować spraw. - Wszyscy tam mamy śmieszne imiona.

- To Doogie, Pedrito, nie Boogie - wtrąciła Angie. - Doogie, przez D, nie przez B, tak?

Pedrito przetrwał to przez kilka chwil.

- Będiesz moim nowym tatusiem, Boogie? - spytał w końcu.

- Nie! Na pewno me! - wykrztusił Doogie, wzięty całkowicie z zaskoczenia. Potem, nie chcąc obrażać Angie, która usiłowała zasłonić dłonią uśmiech, dodał szybko: - To znaczy, byłoby bardzo fajnie i w ogóle, Pedrito, ale... ale, ehem, nie.

- No to dlaczego mama powiedziała, że będziesz mieszkał w moim domu?

Doogie zaśmiał się krótko i już miał wyjaśnić, kiedy przerwała mu Angie, wyraźnie zakłopotana.

- O, patrz, Pedrito! Idzie kelnerka z chlebkiem, oliwkami, winem i wodą. *Fabulosol* Rozumiem, że lubisz oliwki, Doogie, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, Angie rozpoczęła z kelnerką ożywioną rozmowę po hiszpańsku, a potem powiedziała do Doogiego:

- Jakbyś wszystkiego nie zrozumiał, dzisiaj bardzo polecają sardynki. - Ukradkiem wskazała kelnerkę. - Według jej męża świeże jak pocałunek dziewicy. Musi mieć cholernie dobrą pamięć, co? - Zmusiła się do nerwowego chichotu. - W każdym razie mówi, że złowili je dziś rano, więc...

Doogie wzruszył ramionami.

- Dobrze, dla mnie może być. Niech będą sardynki.

Pedrito, mimo łajania starej Marii, był już zbyt zajęty wpychaniem sobie do ust jak największej ilości chleba, żeby myśleć o odpowiedzi na pytanie zadane Doogiemu. Doogie z kolei podejrzewał, że wie, dlaczego Angie nie pozwoliła mu odpowiedzieć.

Spojrzał na nią karcąco nad stołem.

— Jeszcze nawet małemu nie powiedziałaś, prawda? — spytał teatralnym szeptem.

Angie zmarszczyła brwi i przyłożyła palec do ust.

Doogie też zmarszczył brwi. W co, do cholery, ona się bawiła? Przecież lepiej byłoby dać dzieciakowi jak najwięcej czasu na pogodzenie się z myślą, że jego matka wyjeżdża. W końcu miała dwa tygodnie, żeby mu o tym powiedzieć. Ale teraz... No, powiedział sobie, nie będzie się wtrącał. Nalał sobie szklankę wody, a potem stuknął mą w kieliszek Angie, do którego nalała już sobie czerwonego wina.

— Zdrowie, Angie. Za wiesz kogo, wiesz gdzie!

— *Salud*, młody. - Angie popiła winem łyż. - I jeśli powiesz dzisiaj chociaż jedno słowo więcej o wiesz czym, osobiście cię...

Jej pogroźkę przerwał pisk Pedrita. Chłopiec wyciągał pełną chleba piąstkę w stronę morza, gdzie zza cypla wypłynął statek wycieczkowy, wyładowany po brzegi ponad setką śpiewających i tańczących wczasowiczów. Zmierzał szybko w ich stronę.

— Jumbo Jeden! - krzyknął Pedrito.

— A to, młody Doogie O'Maro — oznajmiła Angie, wyraźnie wdzięczna za ten niespodziewany pretekst do zmiany tematu — dopiero połowa powodu, dla którego jemy w środku!

— Połowa? - spytał Doogie.

Angie wskazała zbliżający się statek.

— Zanim się obejrzysz, za tym przyplynie następny pływający głuptak wypakowany wrzeszczącymi, nachlanymi sangrią turystami. - Mądrze pokiwała głową.

- Słyszę, jak pytasz: „A co takie ładne miejsce jak Sant Elm zrobiło, żeby na to zasłużyć?” Cóż, jak to mówi nasz wielki dobroczyńca, Sam Merryweather, to uroki branży turystycznej, synu. — Angie naląła sobie jeszcze wina. — I tyle!

Jej ocena sytuacji okazała się trafiona. Kiedy kelnerka przyniosła im wielką tacę ze stosem grillowanych sardynek, do pomostu faktycznie przybiły statki Jumbo Jeden i Jumbo Dwa. Ich ludzki ładunek wgramolił się po schodach niczym horda plądrujących korsarzy i zajął wszystkie wolne stoliki pod dwoma małymi restauracjami. Wtedy, jak za sprawą czarów, do samotnej kelnerki dołączyło kilka innych, biegających non stop z jedzeniem i napojami między restauracją a tarasem.

— Boże wszechmogący! — jęknął Doogie. — A ja myślałem, że molo Brodick na Arran na początku Glasgow Fair było straszne!

Angie wzruszyła ramionami.

— Mówiłam ci, że poczujesz się tu jak w domu.

Gdzieś dźwięcznie zagrała gitara, a aksamitny baryton zahuczał jeszcze raz: *Viva Espana*, którą pasażerowie obu statków chóralnie ryczeli, podpływając do pomostu Sant Elm. Nad szczytem wału pojawiła się ocieniona sombreroem, czarna twarz, a żłopiające wino i obżerające się rzesze wzniosły szaleńczy wiwat.

— *OLE, BJÖRNO-0-01* - wrzasnęli. Doogie omal nie udławił się ością sardynki.

— Chryste! — wykrztusił. — To Ingrid!

— Co on tu robi, do cholery? — Angie zatkało. — Miał być za mnie na lotnisku!

Ingrid w jaskrawej hawajskiej koszuli i bermudach chodził wokół stolików, pogrywając na gitarze flamenco, szczyrzył się, śpiewał i zachęcał swoją publiczność do wtórowania, czy ich usta były pełne, czy też nie. Za nim podrygiwał rytmicznie odziany w różową tunikę Fidel, potrząsając tamburynem, z przekrzywioną zawadiacko na głowie marynarską czapką opatrzoną napisem „Szybko daj buziaka”.

Angie zrobiła wielkie oczy.

— O rany! Słyszałam już o powszechnej mobilizacji, ale to jakiś absurd! Cholera, Manolo dostałby ataku, gdyby się dowiedział, że Ingrid wciągnął do roboty dla Merryweathera tego zafajdanego cukiereczka!

— Następne ofiary grypy, kochana — wyjaśnił Ingrid, zaglądając przez otwarte drzwi, gdy przez okno mignęła mu oszołomiona twarz Angie. — Zachorowali na nią muzykanci, którzy się tym normalnie zajmują, więc...

Angie rozdziawiła usta.

— Ale lotnisko! To znaczy, głuptaki z Newcastle i Luton i w ogóle. Myślałam, że masz być...

— Hej, niech no ci się ta różowa makówka nic a nic nie kłopotczy, panienko Angie — odparł Ingrid udawanym jamajskim slangiem. — Wielki pan Manolo zajął się tym za nas.

— Manolo? Aha, akurat, już ci wierzę — rzuciła Angie. Ale Ingrid tylko wzruszył ramionami.

— Daj spokój — powiedziała. — Manolo nie musi harować na lotnisku od dwudziestu lat! To znaczy, w końcu to kierownik! On me pracuje!

— Ja też od lat nie musiałem odstawiać Śpiewającego Kapitana, skarbenku — skontrował sucho Ingrid, już bez śladu wszelkiej wesołości. — Ale jak trzeba, to trzeba, a ty i młody Doogie dziękujcie losowi, że wam też nie zabrali tego dnia wolnego. — Wyczuł, że Doogie chce wyrazić wdzięczność i dodał szybko: — I nie oszukuj się, słońce, też bylibyście w robocie, gdyby udało się nam złapać was na czas. - Porozumiewawczo puścił oko do O'Mary. - To teraz korzystajcie, ile wlezie, dobrze?

Tymczasem mały Pedrito wspiał się Doogiemu na kolana, żeby mieć lepszy dostęp do wspólnej tacy z sardynkami, które obierał z ości, jak Doogie zauważył, ze zręcznością aberdeedńskiej handlarki rybami.

Ingrid z rozbawieniem palnął go w plecy.

— Stary, masz podejście do dzieci! Doogie uśmiechnął się na to ze wstydem. Zachwycony Ingrid ryknął śmiechem.

— To mi nasuwa pewien pomysł, słońce. O rany, żebyś wiedział!

— Tak? - odparł Doogie ostrożnie, bojąc się nawet zastanawiać, o co może chodzić.

Pedrito wskazał sardynką Fidela, który stał przy drzwiach, przesuając palcami po dzwoneczkach i wstążkach swojego tamburynu.

— Czemu ten pan ma sukienkę? - spytał. - Tylko *maricas* noszą sukienki — zauważył. Jego raczkująca dwujęzyczność niewinnie zastąpiła słowo „pędzie” jego hiszpańskim odpowiednikiem.

— Jest za młody, żeby mu to tłumaczyć — powiedział Ingrid z grzmiącym śmiechem. Jego szybka reak-

cja rozbroiła potencjalnie niebezpieczną sytuację, choć nie zapobiegła napadowi chichotu u starej Marii, która — być może dzięki temu jednemu hiszpańskiemu słowu — dobrze rozumiała sens uwagi Pedrita. Ingrid nie zdołał także powstrzymać Fidela, który oddalił się pospiesznie z najwyższym oburzeniem.

Jamajczyk wyjrzał na taras, gdzie jego hałaśliwi podopieczni pochłaniali wszelkie jadlo i napitek, jakie im donoszono.

- No cóż - westchnął. - Lepiej już pójdę i zabawię melomanów Merryweathera następną hiszpańską ludową piosenką.

Roztropnie nie wspominając o rychłym wyjeździe Angie na Ibizę, kwieciście się z nimi pożegnał i wyskoczył na taras, śpiewając refren *Hej, hej, będzie wielka orgia!*

— Co to jest orgia, Boogie? — spytał Pedrito.

- Chyba twoja mama potrafi na to odpowiedzieć lepiej niż ja — odparł Doogie, złośliwie puszczając oko do Angie, by poprawić jej coraz bardziej ponury nastrój.

— Chciałabym mieć takiego farta — mruknęła, a potem przybita uzupełniła sobie kieliszek szybko znikającą zawartością dzbanka z winem. — Ostatnie doświadczenia najbardziej zbliżone do seksu mam z pudełkiem tamponów.

Wybuch śmiechu Doogiego z początku wystraszył Pedrita, ale potem chłopiec też zaczął chichotać, nie potrafiąc się oprzeć wesołości dorosłych. Stara Maria też nie była odporna na radosną atmosferę,

choć nie wiedziała, z czego się śmieje, tak samo jak Pedrito.

— Wystarczy — chlipnęła w końcu Angie, a potem wstała i pociągnęła zdezorientowanego Doogiego na nogi. — Chodź, młody — wybełkotała, uśmiechając się przez łzy. Zza otwartych drzwi dobiegały pulsujące brzmienia gitary Ingrid. — Pokażemy tym głuptaczym odchodom, co to naprawdę jest boogie!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pan Słoneczko

Doogie w końcu się nie dowiedział, czy Angie zebrała się na dość odwagi, by powiedzieć Pedntowi o jej wyjeździe na Ibizę. Podczas swoich regularnych porannych wizyt maluch nigdy o tym nie wspominał. Wydawał się zadowolony, mogąc codziennie porozmawiać z matką przez telefon i żył jak dawniej w towarzystwie starej Marii, tak, jak już zdążył się przyzwyczaić. Doogiego bardzo to cieszyło, choć dobro dziecka było ostatnią rzeczą, którą chciałby zawracać sobie głowę, gdy późnym wieczorem wpełzał ledwie żywy do swojego tymczasowego, nowego domu... a raczej wczesnym rankiem.

— Sam Merryweather postanowił to nazwać „Klubem Pana Słoneczko” — powiedział mu Ingrid, przepuszczając go przez obrotowe drzwi hotelu Tiempo

Alegre w Magalufie rankiem po pożegnalnej imprezie Angie w Sant Elm. - To okręt flagowy Merryweathera na tej wyspie, dlatego właśnie tu szef Sam chce wprowadzić w życie swój najnowszy świetny pomysł, *comprende!*

Doogiego, który szedł za Ingrid po marmurowej posadzce westybulu, dopadły straszliwe złe przeczucia.

— Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

— To, kumplu, że to właśnie ty będziesz Panem Słoneczko!

I w ten właśnie sposób — kiedy zatrudniony animator zabaw dla dzieci wycofał się tuż przed wylotem z Anglii poprzedniego ranka — Doogie O'Mara, student weterynarii i początkujący rezydent biura podróży, nagle znalazł się w przebraniu klauna. Zanim do końca zdał sobie sprawę, co się dzieje, robił, co w jego niewystarczającej mocy, by rozerwać — a także często uratować przed utonięciem — dwadzieścioro kilkoro rozwrzeszczanych bachorów taplających się w basenie. Owi członkowie-założyciele „Klubu Pana Słoneczko” byli mu dostarczani codziennie w godzinach poobiedniego upału, kiedy to rozsądni miejscowi właśnie przesypiali sjęstę, a rodzice tych dzieci, jeśli nie grali w bingo w barze, też byli w łózkach, spędzając czas na spaniu lub dobrej zabawie.

— Zawsze mogło być gorzej — powiedział sobie Doogie podczas pierwszego krepującego spotkania z przebraniem klauna Koko. — Mogłem mieć poranną zmianę na lotnisku, albo nawet przydzieloną grupę samobójców o trzeciej nad ranem.

I jakby na złość już następnego dnia przydzielono mu jedno i drugie, i to jako dodatek do etatu masowej opiekunki dla dzieci. W końcu w oczach kierownictwa Merryweather Holidays jego popołudniowa fucha „Pana Słoneczko” była zaledwie rekreacyjną przerwą w normalnym rozkładzie dnia.

— Spójrz na to z innej strony, słońce - wyszczerzył się do niego Ingrid pod koniec tygodnia. - Pomyśl tylko, stary: wszystkie te młode mamuśki w hotelu gapią się na ciebie, kiedy przyprowadzają ci po południu swoje berbecie. Tak, dla takiego młodego przystojniaka jak ty ta fucha to paszport do szparkowego raju!

Doogie popatrzył smutno na półmetrowe czuby klaunowskich butów, sterczące spod sięgających mu do pół łydki tartanowych gaci.

— Hmm, owszem, było duże zapotrzebowanie na takiego ogiera jak ja — mruknął. — Widziałeś tę kobietę z szóstką dzieci i białą laską, prawda?

Ingrid ryknął tym swoim śmiechem, przypominającym gulgot wody w odpływie.

— Nieważne, słońce — powiedział radośnie. — Załatwiłem ci asystentkę. Jutro zaczyna. I jest niezła, uwierz mi!

Młoda Catalina z biura Merryweathera brała udział w kursie szkoleniowym do zawodu rezydenta, a przynajmniej autentycznie w to wierzyła. Według korporacyjnej propagandy Merryweathera była to część polityki firmy — oferowanie zatrudnienia młodym miejscowym — ale w rzeczywistości chodziło

tylko o to, by naiwni, młodzi bezrobotni wykonywali najgorsze prace za psie pieniądze. Sam Merryweather nauczył się zalet takich rzekomo zmniejszających bezrobocie przekrętów od kolejnych brytyjskich rządów i wdrażał ten system, gdzie tylko mógł, w swoim zamorskim turystycznym imperium.

Doogie był właśnie w basenowej pompowni, służącej mu za przebieralnię, kiedy Catalina przyszła pierwszy raz pracować jako pomocniczka Pana Słoneczko.

— Już uczyłam się robienie herbaty po angielsku i obsługiwanie *mdquinas fotocopia* i faks — zwierzyła mu się z entuzjazmem. Z dumą dotknęła klapy swojego nowego merryweatherowskiego blezera. — Teraz mam *oportunidad* bycia prawdziwa rezydent, nie? I poprawę swojego angielskiego w rozmowach z *clientes*, tak?

— Odpowiem: tak i me na oba pytania — odparł Doogie, starając się zachować powagę podczas wkładania rudej peruki z łysiną na zmierzwioną fryzurę — ale niekoniecznie w tej kolejności.

— *Que?* — spytała Catalina, uśmiechając się z nadzieją. — Ja nie rozumiem.

Dotknęła jego przypominającej mop peruki i zachichotała.

Doogie poczuł, że się rumieni pod warstwą białego makijażu. „Musi mnie mieć za kompletnego pajaca” — pomyślał, a potem niechętnie przyczepił sobie czerwony nos i sprawdził obrotową muszkę.

— Chodzi o to... jak by to ująć? — zastanowił się. — Jak na rezydenta, praca przy „Klubie Pana Słoneczko” jest trochę, no wiesz, specyficzna. *No ortodoxo, si?*

— *No ortodoxo?*

Wbrew sobie Doogie czuł, że pociąga go naiwne spojrzenie wielkich, piwnych oczu Cataliny, czekającej na odpowiedź, którą mogłaby zrozumieć. Był jednak całkowicie pewny, że w regulaminie Merryweathera łączenie pracy z przyjemnością było zakazane, uśmiechnął się więc najbardziej wymuszonym uśmiechem, w lustrze na jaki było go stać. Gatalina znów zachichotała. Rzut oka w lustrze na makijaż wokół własnych ust pozwolił Doogiemu zrozumieć, dlaczego.

- Sama zobaczysz. - Wzruszył ramionami, nieświadom, że gest ten, przy przesadnie wypchanych ramionach jego marynarki, podkreśla tylko komizm jego wyglądu. — A język... — ciągnął dzielnie. — Tak, cóż, tutejsi klienci mówią po angielsku... w pewnym sensie. Ale pozostaje kwestią sporną, czy to angielski, którego naprawdę chciałabyś się nauczyć.

— Sporna? Que jest... sporna?

Doogie zrozumiał, że nie wygra. Jedną ręką ujął Catalinę za łokieć, drugą podniósł poobijany magnetofon i ruszył do drzwi.

- Nauczysz się wszystkiego na bieżąco - zapewnił dziewczynę, a potem wypchnął ją na prażące słońce.

— Hej! Go to za sexy laska? — zawołał z drugiej strony basenu siedmioletni londyńczyk. Doogie zdążył go już nazwać w duchu Cwaniakiem. Chłopak kuczał właśnie przy dmuchanym zamku, który nazwano Domem Słoneczka, pozbawiając swoich mniej zręcznych kolegów kieszonkowego podczas gry w monety.

- Pokazywałaś jej w tej szopie swój haggis, co?

Dzieciak zarechotał niewiarygodnie plugawym śmiechem, jak na kogoś o tak dziecinnej buzi.

— Widzisz, o co mi chodziło, kiedy mówiłem o jakości używanego tu angielskiego? — spytał Doogie nagle spłoszoną Catalinę. Ścisnął jej ramię, dodając w ten sposób otuchy. — Nie martw się, nie wszystkie dzieci są tak okropne jak ten mały... pomyślmy, jak go nazwać?

— Pieprzony dupek? — zasugerowała z entuzjazmem Catalina, bez trudu odnajdując się w zawilościach anglosaskiej wymowy, do tego z uśmiechem tak niewinnym, jakby recytowała *Ave Maria* papieżowi.

Doogie dotknął swojego czerwonego nosa.

— Ee, tak, chyba tak też można — powiedział, starając się nie roześmiać. Oczywiście dziewczyny w biurze nauczyły Catalinę posługiwania się takimi angielskimi kolokwializmami, więc uznał, że prościej będzie tak ten temat zostawić, przynajmniej na razie.

— HEEEEJAAA HOOOOO! - wrzasnął do zbieraniny dzieciaków wokół dmuchanego zamku.

— HEEEEJAAA HOOOOO! - odwzajemniły dzieciaki okrzyk-sygnal, wymyślony przez samego Sama Merryweathera.

— ZAMKNIJCIE JADACZKI! - zagrzmiął jakiś głos przez otwarte drzwi balkonowe na pierwszym piętrze tuż nad nimi. - CHRYSTE PANIE, PRÓBUJEMY SIĘ TU PRZEKIMAĆ, DO CHOLERY!

— Przekimać? — powtórzyła z wahaniem Catalina. — Jadaczki?

Doogie rzucił jej dodający otuchy uśmiech i wcisnął guzik odtwarzania na magnetofonie. Rozbrzmiała

piosenka „Klubu Pana Słoneczko”, o banalnym tekście, również napisanym przez Sama Merryweathera i zaśpiewanym przez fałszującą wiedźmę (podobno jego żonę), która usiłowała naśladować pięcioletnią dziewczynkę.

Doogie ruszył swoimi ogromnymi buciorami i poszurał w stronę „Klubu Pana Słoneczko”.

— HEEEEJA HOOOO, Promyczki! - zawołał. -W co się dzisiaj będziemy bawić?

— MOŻĘ W OPALANIE NA DNIE ZAJAŻDA-NEGO BASENU? — ryknął z góry głos pozbawionego snu dżentelmena.

— Fajnie by było, jak bym mógł — mruknął do siebie Doogie, zerkając na wpatrzone w siebie, pełne nadziei twarze. Dosłownie wyzywały go, żeby spróbował je rozbawić. — Popatrzcie tylko, Promyczki — wyszczerzył się, teatralnym gestem wskazując Gatalmę. — To nasza nowa pani z „Klubu Pana Słoneczko”. No i wszyscy, razem, powiedzmy głośno „cześć” pani... GATALINIEEEEE!

Optymistycznie wiwatował, kiedy grupa dzieci powoli, ciężko wyrecytowała „Dzień-do-bry-pa-m”.

— Pokaz balony, pani Słoneczko! — wrzasnął mały londyńczyk i zachichotał. Reszta dzieci mu zawtórowała.

Nieświadoma przyczyny tej wesołości, Catalma zaśmiała się razem z nimi.

Doogie poszurał do przykucniętego prowodyra tych komedii i odciągnął go na bok.

— Jeszcze raz, Cwaniaku, i przypucuję twój szwin-delek z grą w monety, rozumiemy się?

Chłopak popatrzył na Doogiego z wyzywającą mma, również zadającą kłam jego wiekowi.

— Nie mam pojęcia, o czym pan gadasz — uśmiechnął się pod nosem.

— Dwie monety, jedna z dwoma orłami, jedna z dwoma reszkami, tak? Już to widziałem, synku.

Dzieciak zachichotał do siebie, nie tracąc ani krzty zawadiackiej pewności siebie.

— Akurat, chyba śniesz, koleżko.

— Jak sobie chcesz, spryciarzu, ale jak zobaczę, że wycygałeś jeszcze choćby pensa od tych dzieciaków, zadzwonię po *Guardia Civil!*

— Po co?

— Po miejscowe gliny, psy, kapujesz? Jak chcesz, mogę im powiedzieć już teraz i popatrzymy sobie, jak opróżniasz kieszenie przed swoimi nowymi kumplami, co?

Uśmiezek zniknął z twarzy chłopca w mgnieniu oka.

— Wredny szkocki drań! — mruknął, a potem schował się w tłumie.

Po tym mało obiecującym początku reszta popołudnia minęła stosunkowo gładko — stosunkowo, czyli w porównaniu z chaosem, który panował, kiedy Doogie próbował radzić sobie sam. Zaletą obecności Catalmy było to, że wszystkie małe dziewczynki w grupie, a także kilku małych chłopców natychmiast zaczęło się do mej kleić i słuchać jej bajek i rymowanek. Dzięki temu Doogie mógł się skoncentrować na bardziej rozrabiających członkach klubu, ewidentnie

niezainteresowanych takimi zabawami dla małych dzieci. Zamiast tego urwisy rozkoszowały się daniem upustu swoim chuligańskim skłonnościom, poddając testom wytrzymałości ściany dmuchanego zamku przez rzucanie w niego leżakami do opalania i wszystkim, co nie zostało przymocowane do podłoża.

Drugą nieocenioną zaletą obecności Gataliny było to, że dziewczyna zajęła się toaletowymi potrzebami młodszych Promyczków płci żeńskiej. Było to niełatwe zadanie, które Doogie wcześniej roztropnie zlecał jednej czy dwóm starszym dziewczynkom - starszym, to znaczy około siedmioletnim. Jak można było przewidzieć, dość często efekt był taki, że jakiś żaloszny maluch musiał pod opieką matki opuścić klub dużo wcześniej z zalaną łzami twarzą i zalanymi czym innym spodniami... albo i gorzej. I odwrotnie — Doogie zauważył już pierwszego dnia, że żaden z chłopców nigdy nie chciał iść do toalety. Wysnuł z tego logiczny wniosek, że po prostu sikali do wody podczas chlapania się w płytszej części basenu. *Viva chlor!*

- Ale nie przypuszczasz mnie pan tak naprawdę z tymi monetami, co? — spytał nadzwyczaj wyciszony Cwaniak, kiedy reszta klubowiczów wróciła do rodziców późnym popołudniem.

- To zależy, czy będziesz grzeczny. — Doogie wzruszył ramionami. - Wszystko zależy od ciebie, mały.

Chłopiec poruszył się niespokojnie.

- Tylko że... no, to znaczy... stary by mnie zabił, pan rozumie?

Doogie uśmiechnął się kpiąco na widok autentycznego strachu wykrzywającego rysy małego chuligana.

— Masz szczęście, że twój tata ma zasady — powiedział i zmierzwił Cwaniakowi włosy. — Najlepiej bierz z niego przykład.

Chłopiec spuścił wzrok i potrząsnął głową.

— Nie, pan mnie nie rozumiesz — jęknął. — Widzisz pan, ja używałem lewych moniaków ojca. A jego by krew zalała, jak by się dowiedział, że to ja mu je zwinąłem.

Z tymi słowy odwrócił się i ponuro odmaszerował, a Doogie został i kontemplował rzeczywistość po tak brutalnej utracie wiary w ludzi.

— „Proszę pani, proszę pani” — tak ciągle mówią do mnie małe dzieci. — Catalina uśmiechnęła się do Doogiego, kiedy bezpiecznie odprowadziła już ostatnie swoje podopieczne. — „Pani” — tak mówią do swojej nauczycielki w Anglii, me?

— Tak też — chrząknął Doogie i opadł wyczerpany na krzesło pod parasolem z reklamówką piwa Carling.

— A inaczej? — spytała z zainteresowaniem Catalina.

Doogie zamknął oczy, odchylił głowę w tył i zwiesił ręce luźno wzdłuż boków.

— Uwierz mi, nie chcesz wiedzieć — wymamrotał, ziewając. — Rany, ale jestem zrąbany!

— Zrąbany?

Doogie otworzył jedno oko i zobaczył, że Catalina przechyliła głowę w ten swój uwodzicielsko pytający sposób.

— Zrąbany? — powtórzyła, marszcząc z z troskaniem czoło. — To znaczenie, że jesteś *enfermo*, me?

— *Enfermo*!

— *Si*, ee... - zamyśliła się, szukając angielskiego słowa. — *Si* — zaryzykowała w końcu — szpitalność.

Doogie zaśmiał się do siebie i usiadł prosto.

— Nie, nie, nie jestem chory, tylko zmęczony. *Can-sado*, rozumiesz?

Catalina się rozpromieniła.

— Ach, czyli „zrąbany” to „zmęczony”, tak? Doogie nie mógł się me roześmiać.

— Tak. Ale „zrąbany”, cóż, to nie jest słowo, którego powinna używać taka miła młoda dama jak ty, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Catalina wstrzymała oddech.

„Teraz albo nigdy” - pomyślał Doogie. Uniósł brew.

— I to samo dotyczy „pieprzony” i „dupek”, obawiam się.

Catalina nie wiedziała, co zrobić z oczami.

— Ale dziewczyny w *oficina*... — zająknęła się i gwałtownie zaczerwieniła — nauczyły mnie, że „pie...”

Zakryła usta dłonią, a szok w jej oczach stopniowo ustąpił miejsca rozbawieniu, gdy powoli zaczęła rozumieć. Zaśmiała się z zawstydzeniem, a potem wyrzuciła z siebie błyskawiczną serię hiszpańskich słów, które, jak domyślił się Doogie, nie oznaczały bynajmniej podziękowania dla jej menterek w biurze Merryweathera.

„Pora zostawić temat” — pomyślał. Ściągnął perukę klauna i przeczesał dłonią zlepione od potu włosy.

— Nie powinienem publicznie zdejmować przebrania — zwierzył się — ale jeśli będę to miał na głowie jeszcze choć chwilę, to odbije mi szajba.

Catalina uśmiechnęła się w zamyśleniu.

— Szajba — mruknęła. — Mam do nauczenia jeszcze tyle pięknych słów z angielskiego.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, każde pograżone we własnych myślach.

Kiedy Doogie w końcu przerwał ciszę, był tylko trochę zaskoczony, że z trudem dobiera słowa.

— Było, ee... no, bardzo dobrze było cię tu dziś mieć, wiesz? To znaczy, jak się nad tym zastanowić, nie wiem, jak... no, jak sobie radziłem z tym całym Słoneczkiem bez ciebie, to znaczy, przed dzisiejszym dniem, rozumiesz.

Catalina spuściła głowę.

— Tę pracę bardzo lubię — powiedziała i dodała nieśmiało — *Si*, i bardzo dobrze było ciebie mieć dzisiaj też.

Doogie odchrząknął i spojrzał na zegarek, by zyskać na czasie.

— Rany, dziesięć po piątej, uwierzyłabyś?! Mam wolne, dopóki o północy nie będę musiał jechać na lotnisko! — Zawahał się przelotnie. — A ty, Catalina? Pracujesz dzisiaj wieczorem?

Wciąż nie podnosząc wzroku, dziewczyna pokręciła głowę.

— Nie pracuję aż do *mañana*. A potem o dziewiątej o rano idę znowu do *oficina*.

Doogie znów się zawahał, intensywnie rozmyśla-

jąc nad merryweatherowskim zakazem łączenia pracy z przyjemnościami.

— Słuchaj — powiedział w końcu, dochodząc do wniosku, że to jego sprawa, co robi w wolnym czasie — pewnie nie chciałabyś... to znaczy, co byś powiedziała...?

— Chciałbyś idziesz ze mną? — przerwała Catalina, nagle podnosząc głowę i spoglądając na mego z nadzieją. — Jesteś *veterinario*, nie?

— No, tak... nie, jeszcze niezupełnie jestem weterynarzem. Ale, tak...

— *Bueno* — uśmiechnęła się — czyli chcesz idziesz ze mną do mojego domu, na farmę moich *padres*, moich rodziców, *si!* — Potrząsnęła głową. — Niedaleko stąd jest.

Doogiego trochę zaskoczyła jej otwartość.

— Twoi... twoi rodzice mają farmę?

— *Si*, farmę — powiedziała z entuzjazmem i błyskiem w oku. — Mamy farmę, dużo *animales* i dużo migdałowców. Bardzo piękna. *Si*, a dla ciebie moja *mądre* będzie robienie jedzenie, nie?

Doogie przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

— No, tak... dziękuję — odparł w końcu, nie potrafiąc ukryć zadowolenia, że ktoś ugotuje mu coś porządneho do zjedzenia po tak długim żywieniu się wyłącznie styropianowymi kanapkami z lotniska i pizzą z mikrofalą po nocach. — To by było, no... świetnie!

Potem spojrzał na swój cudaczny kostium „Pana Słoneczko” i mina mu zrzędała.

— Ale to przebranie... to znaczy, ubranie zostawię w pompowni, ale potem będę musiał pojechać do domu. No wiesz, wykąpać się i w ogóle.

- *Muy bien.* - Catalina uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. — To dla mnie jest *no problema*.

Głos kobiety, rozprawiającej wesoło z Doogiem, kiedy ten mocował się z kluczami do mieszkania, w mgnieniu oka wywabił na korytarz starą Marię, z czujnym radarem podejrzeń. Ale kiedy już miała urządzić chłopakowi awanturę, w jej oczach coś zamigotało i szeroko rozdziawiła usta.

- Cati! - zapiszczała i przycisnęła równie zdumioną Catalinę do obfitej piersi. - *Mi pequeñal* - zawołała, całując ją w oba policzki. - Moja mała Cati! Co za *fan-tdstica* niespodzianka!

Staruszka odsunęła dziewczynę na długość ramienia i przyjrzała się jej z rozczeniem. W oczach miała łzy radości.

- *Jesus, Maria y Josel* - sapnęła.

Wytarła oczy fartuchem i zagdakała z radosnym zaskoczeniem starej, tłustej kwoki, która właśnie zniosła wyjątkowo okazałe jajko.

Maria wyjaśniła Doogiemu, że ona i rodzina Cataliny byli sąsiadami na wsi. Oczywiście to było przed śmiercią jej męża, po której przeniosła się do *aparta-mento* w mieście. Bardzo dawno się nie widziały, Cati i ona - chyba z dziesięć lat albo więcej, Cati miała wtedy może osiem, dziewięć lat - była niezdarna, chuda i właśnie rosły jej przednie stałe zęby.

- *Madre mia* - ciągnęła, ledwie łapiąc oddech - jaka z niej wyrosła piękna młoda *princesa!* — I dodała — *Dios mio*, łakomy kąsek dla każdego młodego *caballero!*

Potem puściła oko do Doogiego.

- *Si* - zapewniła go - dziewczyna na pewno urodziłaby wielu silnych synów.

Gatalma ukryła zawstydzenie, odwzajemniając uścisk starej Marii.

Doogie zajął się otwieraniem drzwi.

Tymczasem z mieszkania starej Marii wyłonił się mały Pedrito i popatrzył wnikliwie na Catalinę.

- To będzie pani Boogie, Boogie?

- Eee, nie, Pedrito - wymamrotał zawstydzony Doogie, podnosząc z podłogi za drzwiami kopertę. - My tylko razem pracujemy.

Gatalma pochyliła się, żeby uścisnąć dłoń Pednta.

- Nazywam się Gati - powiedziała z uśmiechem. - Ale - ciągnęła poufale po hiszpańsku - nawet jeśli me będę panią Boogie, możesz na mnie mówić pani Słoneczko, jeśli chcesz.

Doogie udawał, że nie zrozumiał, co powiedziała do chłopca, ale mimo to pozwolił sobie w duchu na uśmiezek zadowolenia. Zrobił jednak ponurą minę, kiedy otworzył kopertę i przeczytał znajdujący się w mej list. Pochodził on od Margaret Hyslop, córki starego weterynarza z Arran, która miała swoje zamiary wobec Doogiego i ambitne plany co do ich wspólnej przyszłości. A teraz - akurat teraz! - przylatywała na Majorkę!

- Cholera! - warknął.

Stara Maria cmoknęła karcąco. Młody Pedrito zachichotał.

- Są złe wiadomości? - spytała Catalina, marszcząc czoło z zatroskaniem.

- Tak, złe jak diabli! - parsknął Doogie, wpychając list do koperty, a potem szybko sprostował. - To znaczy me, me, me takie znów złe. Po prostu coś, czego się nie spodziewałem i tyle.

Zmusił się do pogodnego uśmiechu i gestem zaprosił wszystkich do środka.

- Ktoś się czegoś napije?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jak w domu

Towarzystwo małego Pedrita na majorkańskiej wsi nie było tym, o czym Doogie marzył, biorąc prysznic. Ale chłopiec, jak się okazało, spytał Gatalinę w swój swobodny, bezpośredni sposób, czy może jechać z nimi, a ona bez wahania się zgodziła.

— To byłaby wielka atrakcja dla *niño* — zasugerowała Doogiemu, kiedy ten wyszedł z łazienki — a poza tym *señora* Maria mogłaby w końcu odpocząć od opiekowania się maluchem.

— Dla mnie może być — powiedział Doogie, myśląc sobie, że mogło być gorzej. Stara Maria mogła też chcieć z nimi jechać!

— Jest OK, Boogie — wyszczerzyła się staruszka, kiedy żegnała ich na schodach. Widać było wyraźnie, że się rozkoszuje widokiem nowo powstałej, trzyoso-

bowej namiastki rodzinnej sielanki. - Jest dobrze! Ale maluch musi wrócić najpóźniej o dziesiątej - zawołała za nimi ze schodów. – *Hombre!* Dla czterolatka to i tak późno!

Kaszlak, wierny renault 5 Angie, jeździł jak marzenie - oczywiście jak na swój wiek. Interwencja Doogiego w postaci wymiany oleju, styków i świec zapłonowych cudownie polepszyła pracę zaniedbywanego od lat silnika. Samochodzik warczał wesoło po biegnącej na zachód *autopista* z Palma Nova w stronę popołudniowego słońca, z otwartymi oknami i szyberdachem. Jego radio wygrywało dziwne, arabskie przeboje z „Głosu Algieru”, czy innej północno-afrykańskiej stacji, na którą było nastawione - albo raczej, na której się zacięło. Doogie zapamiętał sobie, że to kolejna drobna naprawa, którą musiał się w przyszłości zająć. Z drugiej strony, im dłużej tego słuchał, tym bardziej mu się podobała hipnotyzująco monotonna muzyka. Abstrahując od nowoczesnych, elektrycznych gitar, przywoływała obrazy kolonizacji Hiszpanii przez Maurów wiele wieków temu. Dla Doogiego, przynajmniej w tej chwili, idealnie pasowała do scenerii - egzotyczna, żywa, tajemnicza, śródziemnomorska.

Gatalinie też chyba nie przeszkadzały dźwięki dobywające się z radia. Siedziała obok Doogiego, wystukiwała rytm palcami na kolanach i wpatrywała się w przestwór morza po lewej, a pęd powietrza rozwiewał jej ciemne włosy.

Nagle Doogie pomyślał o Arran: o srebrno-złotych zachodach słońca nad Firth of Clyde; o letnich dolinach, gdzie roztańczone komary przelatywały żarłocznymi rojami w nieruchomym, wieczornym powietrzu; o chłodnych cieniach spływających z purpurowych gór. Myślami powędrował do domu.

Tak, do domu... i do Margaret Hyslop.

Szlag by to trafił, ten list od niej był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował! Och, nie w tym rzecz, że nie chciał Margaret znów zobaczyć. Ale może nie tak prędko. Może najpierw poukładałby sobie we własnej głowie swoją przyszłość. Może akurat nie tutaj! Może nie teraz. Najgorsze było to „teraz”, bo nie napisała nawet, kiedy przyjeżdża, tyle tylko, że jest na wycieczce z plecakiem w kontynentalnej części Hiszpanii i że przy pierwszej sposobności wyskoczy na Majorkę, żeby się z nim spotkać. Boże, mogła się pojawić u progu jego mieszkania w każdej chwili! I co miał z nią wtedy zrobić? To była cała Margaret — nie pomyślała nawet o tym, że harował jak wół po osiemnaście godzin dziennie. O zgrozo, a gdyby pojawiła się któregoś popołudnia w hotelu Tiempo Alegre i zobaczyła, jak odgrywa opiekunkę do dzieci w tym idiotycznym przebraniu klauna? Jej ojciec na pewno byłby zachwycony! Cholera, po co Doogie wysłał jej tę pocztówkę ze swoim nowym adresem. Ale z drugiej strony, nawet gdyby nie wysłał, wyłudziłaby go od jego siostry Mo i spadła na niego jak tona cegieł.

Doogie przeciągle westchnął.

— Dlaczego, Margaret? — jęknął pod nosem. — Dlaczego akurat teraz, Margaret?

Z tych niewesołych rozmyślań wyrwała go Catalina, która dotknęła jego ramienia i pokazała, że powinni skręcić.

- To droga do Capdella, mojej wsi - powiedziała, spoglądając na niego jednocześnie z dumą i obawą. - Mam nadzieję, że ci zapodoba.

- Och, myślę, że tak - odparł Doogie, kiwając z przekonaniem głową.

Rozejrzył się po ładnej okolicy, w którą zagłębili się po zjechaniu z jednostajnej, asfaltowej wstęgi *autopista*. Teren był tu łagodnie pofałdowany, pokrywały go otoczone niskimi murkami poletka oraz gaje drzew migdałowych i oliwnych, porastające zbocza niskich wzgórków barwy ochry. W ich skąpym cieniu kryły się chude, zdyszane owce. Panował tu ponadczasowy spokój, tak różny od wielopiętrowych pułapek na turystów, w których Doogie spędzał teraz większość swojego dnia pracy.

- Właściwie wiem nawet na pewno, że spodoba mi się twoja wieś - powiedział z szerokim uśmiechem. - Jak ktoś się na wsi urodził, to na wsi zostanie, jeśli wiesz, o czym mówię.

Catalina wiedziała, nawet jeśli nie zrozumiała, co powiedział.

Doogie zerknął we wsteczne lusterko i zobaczył, że mały Pedrito, który przez wcześniejszą część podróży wylewał z siebie nieustanny potok pytań, w końcu uległ monotonnemu warkotowi silnika i wieczornemu upałowi. Spał w wątpliwie bezpiecznych objęciach źle ułożonego pasa, z kciukiem w ustach i palcem wska-

zującym w nosie. Doogie pokazał Gatalinie, żeby obejrzała się przez ramię i oboje cicho się zaśmiali, widząc beztrudnie rozluźnioną pozę malucha. Tak rozluźnioną, że śpiący Pedrito mimowolnie wypuścił zawartość pęcherza w dzinsy i na sporą część tylnego fotela.

„Trudno, nie trzeba było głupio dawać mu pić w mieszkaniu!” - pomyślał Doogie.

Kiedy zbliżyli się do Gapdelli, droga zaczęła wiać się pod górę, po porośniętym sosnami zboczu nad małą dolinką, w której wyrastały beżowe, kamienne domy. Przy kilku z nich wciąż leżały porozrzucone stare narzędzia rolnicze, świadectwa pracowitego życia ich mieszkańców. Jednak inne domy, bez wątplenia należące teraz do bogatych cudzoziemców, zostały rozbudowane; ich pierwotne, proste formy obrosły w wyniosłe, kamienne łuki. Obok jednego elegancki basen mieścił się na całutkim tarasie, na którym kiedyś rosły uprawy pozwalające wyżyć całej rodzinie. Obok innego stało błyszczące bmw, na wypucowanym podwórku, które dawniej było błotnistym rajem ryjących prosiaków. Postęp.

Podobny styl budownictwa reprezentowały domy w Gapdelli, niewielkiej wiosce u podnóża gór Tramuntana. Na pierwszy rzut oka były tam zaledwie dwa małe sklepiki, poczta i bar, zaspokajające potrzeby ludzi mieszkających w domkach o sennych okiennicach wzdłuż dwóch przecinających się ulic. Miejscowość miała jednak swój prosty, sielski urok i Doogie uśmiechnął się z aprobatą, kiedy Catalina pokazała mu, by skręcił w lewo na skrzyżowaniu przed nimi.

- Pojedziemy górską drogą na Andratx - powiedziała. Potem, wyczuwając niepokój Doogiego na myśl o konfrontacji małego renault z wyniosłymi górami, które przed nimi wyrosły, dodała szybko. - Ale *no problemu*. Farma moich rodziców jest nie już daleko.

Za wioską droga znów zaczęła wic się pod górę; pola uprawne pięły się tarasami w górę, aż po poszarpane urwiska, bursztynowo mieniące się w wieczornym słońcu. Finca Sa Grua - tak brzmiała nazwa wypalona w pobielającym, drewnianym szyldzie u wjazdu na ścieżkę, w którą Gatalma kazała Doogiemu skrócić. Oznaczało to „Gospodarstwo Grua”. Dziewczyna zaraz wyjaśniła, że nazwa pochodzi od góry, u której podnóża leżało. Nie bez znaczenia było także to, że góra Sa Grua chroniła pola jej ojca przed zimnymi, północnymi wiatrami w zimie.

Z tej wysokości Doogie zaczął w końcu rozumieć, czemu Catalina była tak dumna ze swojej rodzinnej wioski. Kiedy przez nią przejeżdżali, zrobiła na nim wrażenie dość przyjemnej, choć pospolitej. Jednak oglądana stąd wyglądała jak żywa widokówka: skupisko domków krytych dachówką i małych gospodarskich zabudowań, cytrusowych gajów na podwórkach i porośniętych bugenwillą pergoli, stłoczone razem na środku doliny o zapierającej dech w piersiach malowniczości. A wszystko to na tle majestatycznych, wyniosłych gór.

Catalina zauważyła zachwyty na twarzy Doogiego.

- Jak na Arran, nie? - spytała.

- Tak, chyba tak - zażartował - tyle że mamy tam u siebie parę ładniejszych palm!

- Lepszych niż ta? - spytała dziewczyna z figlarnym błyskiem w oku, wskazując wspaniałą, piętnastometrowy okaz wznoszący się nad bramą prowadzącą, jak wyjaśniła, do siedziby rodziny Ensenyat.

Doogiemu opadła szczeka.

- No nie, ta może trochę przyćmiewać te z Arran. Zatrzymał się na podwórzu i wysiadł, żeby poczuć

atmosferę tego miejsca, pełnego, jak już zobaczył, charakteru i uroku. Stary dom wzniesiono w tradycyjnym, prostym majorkańskim stylu - prostokątne dwie kondygnacje z kamienia w kolorze słomy, zwieńczone lekko spadzistym dachem krytym beżowymi dachówkami. Od frontu grube, drewniane belki podpierały otwartą werandę, inaczej *porche*, która, sądząc po obecności dwóch starych foteli i przenośnego telewizora, stanowiła schronienie dla rodziców Gataliny w upalne, letnie wieczory. Prężący dumnie pierś kogucik oraz kury grzebały w ziemi i dziobały ziarno na podwórku, gdzie spływający z gór żywiczny zapach sosen mieszał się z ciepłym, ostrym zapachem hodowlanych zwierząt, tak znajomym Doogiemu. To był - uznał chłopak - majorkański odpowiednik małej, bezpretensjonalnej farmy, na której się wychował.

Jeśli matka Gataliny, która wyszła z kuchni, żeby ich przywitać, była zaniepokojona widokiem swojej córki, przybywającej bez zapowiedzi z jasnowłosym obcokrajowcem i zasikanyim dzieckiem, udało się jej zamaskować swoje uczucia nadzwyczaj dobrze. Powitała gości tak wylewnie, że Doogie poczuł się od razu jak w domu. Jak można było się spodziewać, obudzo-

ny Pedrito był bardziej wycofany niż zwykle. Dyplomatyczna propozycja *señory* Ensenyat, że zmieni jego „powypadkowe” dzinsy na stare szorty z dzieciństwa Gataliny, przywróciła mu jednak trochę pewności siebie.

- To i tak spodenki dla chłopców - zapewnił Doogiego przy pierwszej sposobności po przebraniu.

- Spodenki dla dziewczynek inaczej pachną.

Doogie poklepał go po ramieniu.

- Na pewno, Pedrito - powiedział z odpowiednią powagą. - Tak, to na pewno spodenki dla chłopców.

Szeroki uśmiech i zadowolone westchnienie wskazywały, że męska samoocena Pedrita została odbudowana.

Gatalina cały ten czas trajkotała z matką w *mallo-rauin*, a choć Doogie niewiele rozumiał z miejscowego języka, wychwycił dość, by zrozumieć, że on, jego kaszlak, Pedrito, Angie, stara Maria i ich wzajemne stosunki - wszystko to zostało jasno zdefiniowane.

Uśmiech *señory* Ensenyat zasugerował Doogiemu pewną ulgę. Tak czy inaczej poinformowała go w „standardowym”, kastylijskim hiszpańskim, że, kiedy Cati będzie oprowadzała jego i Pedrita po farmie, ona sama przygotowuje im porządną, tradycyjną majorkańską wiejską kolację.

- Ostatecznie - dodała, puszczając do niego oko

- młody człowiek, który przebiera się za klauna, musi być potem bardzo głodny.

Słońce zniżało się już ku wierzchołkowi góry Sa Grua, kiedy Catalina poprowadziła Doogiego i Pedri-

ta z powrotem w stronę gospodarstwa. Przechodzili przez kolejne otoczone murkami pola, gdzie między rosnącymi w regularnych odstępach rzędami migdałowców niedawno zebrano owies. Mijane zwiślouche kozy patrzyły na nich ze zdziwieniem, pobrzękując dzwoneczkami na szyjach i pasąc się na kępach trawy, które wyszukiwały w rżysku.

Nie licząc odpowiedzi na pytania Pedrita, co jest czym i dlaczego, podczas spaceru niewiele rozmawiali. Doogie i Gatalina w milczeniu cieszyli się dobrym nastrojem, w który wprawiła ich ta mała farma. Uczucie to było tym cenniejsze, że oboje wiedzieli, iż opuszczając domy w poszukiwaniu „lepszego” losu, przyłożyli się, nieważne jak niechętnie, do pożegnania się z odwiecznym stylem życia ich rodzin. Fikuśne przeróbki domów i lśniące bmw miały w końcu zadusić także Finca Sa Grua. Postęp.

Catalina wskazała zaniedbany dom kilka pól niżej w dolinie.

- To *finca señory* Marii, twojej sąsiadki z Palma Nova - poinformowała Doogiego, dodając, że dom stoi pusty, odkąd dziesięć lat temu zmarł mąż starej Marii. Ojciec Gataliny uprawiał teraz jej ziemię i dbał o migdałowce. Ale, ponieważ Maria nie miała rodziny, całe jej gospodarstwo miało w końcu się zawalić i zostać opuszczone, jak wiele innych małych farm.

- Dlaczego go nie sprzeda? - spytał Doogie. - Przecież twojemu ojcu na pewno przydałaby się dodatkowa ziemia na stałe. - Zamaszystym gestem zatoczył ręką dookoła. - A z takim widokiem bez żadnego

problemu sprzedałaby dom jakiemuś nadzianemu cudzoziemcowi.

Gatalina z rezygnacją wzruszyła ramionami. Odpowiedź na pytanie Doogiego była podwójnie skomplikowana. Po pierwsze, ojca Gataliny nie było stać na kupno tej ziemi, a po drugie, stara Maria i tak nie potrzebowała tych pieniędzy. Sprzedaż sklepu żelaznego w Andratx oraz oszczędności, które wraz z mężem odłożyła przez lata, zapewniły jej dość pieniędzy, by dożyła swoich dni w dostatku. Los farmy starej Marii był przypieczętowany. Miała umrzeć razem z nią.

Doogie potrząsnął głową z frustracją, przypominając sobie, że jego rodzinne gospodarstwo na Arran, wydzierzawione od miejscowego potentata ziemskiego, po śmierci jego rodziców wróciło do właściciela. Oczywiście oznaczało to jednego rolnika mniej, ale przynajmniej ziemia nie leżała odłogiem.

- Gati! Cati! - zawołał głos z gospodarstwa Finca Sa Grua. Ciemnowłosa mężczyzna po trzydziestce, w roboczym ubraniu, biegł właśnie z jednego z zabudowań gospodarczych w stronę domu, kiedy zauważył Catalinę. Wykrzyczał do niej jakieś polecenie w *mallo-rquin*, a potem zniknął z powrotem w budynku.

Najwyraźniej przejęta tym, co nieznajomy powiedział, Catalina sama pobiegła w stronę domu.

- Przepraszam proszę - zawołała do Doogiego. -Muszę szybko telefon.

- *Que pasa?* - spytał Pedrito z szeroko otwartymi oczami.
— Co się dzieje?

- Nie mam pojęcia, kolego. - Doogie wzruszył ramionami.
— Ale cokolwiek to jest, musi być bardzo pilne.

Wziął Pedrita za rękę i ruszyli w stronę stodoły, która wydawała się być powodem całego zamieszania. Kiedy się zbliżyli, z otwartych wrót dobiegł ich jęk. Słysząc też było ożywione męskie głosy. Z Pedritem uczepionym nogawki spodni Doogie ostrożnie wszedł do środka. W półmroku z trudem wypatrzył sylwetki dwóch mężczyzn, którzy kucali nad zwierzęciem leżącym na boku na słomie. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył, że zajmują się krową, młodą jałówką, i że biedne zwierzę ewidentnie cierpi. Jałówka jęknęła, unosząc łeb. Jej boki ciężko podnosiły się i opadały.

— Założę się, że to pierwszy poród — mruknął do siebie Doogie.

W tym momencie do stodoły wpadła Gatalina. Zdyszana i jeszcze bardziej zmartwiona niż przedtem zatrajkotała coś po hiszpańsku do mężczyzn. Doogie z trudem zrozumiał, że weterynarz nie przyjedzie przez co najmniej godzinę, bo przeprowadza jakąś nagłą operację na psie.

- *Mierda!* - zaklął starszy z dwóch. - *Hijo de puta!* „Nie ma sensu bawić się w ceremoniałę w nagłym wypadku” — pomyślał Doogie.

— Cześć, jestem Doogie — oznajmił, a potem ruszył do działania, ściągając koszulę. - W porządku, jestem weterynarzem — powiedział do starszego mężczyzny, którego zatkało. - *Veterinario*, OK?

Odwrócił się do Gataliny.

— Przynieś proszę wiadro ciepłej wody i trochę mydła. Najszybciej, jak możesz, dobrze?

Nie tracąc czasu, ocenił sytuację. Przesunął dłońmi po ciele jałówki, szepcząc do niej łagodnie. Krowa zamuczała błagalnie, patrząc na niego z nierozumiałym dla niej cierpieniem.

— Wszystko będzie dobrze, mała - mruknął. - Zaraz wyciągniemy z ciebie tego łobuza, nie bój nic.

Odwrócił się do starszego mężczyzny.

— Jak długo to trwa? - spytał. Spostrzegłszy puste spojrzenie tamtego, powtórzył pytanie łamanym hiszpańskim.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— *Dos hor as* — odparł niemal przepaszająco.

— Dwie godziny! To o dwie godziny za długo — mruknął Doogie pod nosem. — Mam tylko nadzieję, że ten mały drań jeszcze tam żyje.

Catalina przybiegła z mydłem i wodą; kilka kroków za nią biegła jej matka.

— Dobrze — powiedział Doogie do dwóch mężczyzn, namydając rękę - przytrzymajcie ją, żeby nie wstała.

Potem, uświadamiając sobie, że żaden z nich nie rozumie najpewniej ani słowa po angielsku, wskazał swoją rękę, wydał odgłos chrupnięcia i pokazał, że jałówka ma być trzymana w obecnej pozycji.

Nerwowo wymamrotane: „*si, si*” i „*no problema*” wskazywały, że jego pomocnicy zrozumieli. Nie, żeby to robiło wielką różnicę. Gdyby zwierzę postanowiło

wykonać niewłaściwy ruch, kiedy on tkwiłby po pachę w jego drogach rodnych, niewiele mogliby na to poradzić. Ale skoro się powiedziało A...

Położył się na ziemi obok jałówki, podał młodszemu mężczyźnie koniec jej ogona i pokazał mu, żeby trzymał się w bezpiecznej odległości. Jak Doogie się spodziewał, przerażone zwierzę opróżniło mu na gołą pierś zawartość jelit, co było zrozumiałą reakcją na obcesowe wtargnięcie ludzkiej ręki.

— Fu! — zawołał gdzieś w tle Pedrito. — Brudna krowa!

Macające palce Doogiego dotknęły przednich racic cielaka.

— Dobrze — rzekł. — Przynajmniej obróciłeś się jak trzeba.

Wepchnął rękę jeszcze głębiej. Oczy już go szczypały od potu.

— No dobrze, cielaczku, a gdzie się podział twój nos, co? Cholera! - sapnął. - Tego nam akurat potrzeba!

Nawet jeśli nie zrozumieli, co mówił, mina Doogiego powiedziała przejętym widzom, że mają problem. I to duży.

— Głowa cielaka jest obrócona w tył — oznajmił Doogie. — W ten sposób go nigdy nie wyciągniemy.

Jałówka zamuczała żałośnie, jakby chciała dać do zrozumienia, że mogła mu o tym powiedzieć bez tych wszystkich upokorzeń.

Doogie stężał, kiedy poczuł, że biodra zwierzęcia się poruszają.

- Spokojnie, mała. Leż spokojnie - powiedział, siląc się na jak najspokojniejszy ton. - Wystarczy, że utkwiał ci tam cielak, nie potrzebujesz jeszcze zwisającego ci z tyłka studenta weterynarii ze złamaną ręką.

W stodole zapadła cisza wstrzymywanych oddechów.

Catalina uklękła obok Doogiego i otarła mu pot z czoła.

- Jeszcze żywe krowa dziecko? - spytała szeptem.

- Może, nie wiem. Ale nawet jeśli żyje, to już niedługo.

Doogie ostrożnie przesunął się po klepisku, żeby dać macającym palcom jeszcze parę centymetrów. Podziałało.

- Mam cię! - sapnął, chwytając cielaka za śliski pysk. - A teraz chodź, mały - zachęcił - obróćmy ci tę łepetynę do wyjścia.

W tym momencie brzuch jałówki zaczął pracować; próbowała pozbyć się źródła całego tego cierpienia.

- Jezusie, jeszcze nie, kochana - poprosił Doogie, czując, jak siła skurczów jałówki miażdży mu rękę. Obawiał się, że straci niepewny uchwyt na nosie cielaka. - Wytrzymaj jeszcze chwilkę... dobra dziewczynka.

W tej właśnie chwili mięśnie jałówki na chwilę się rozluźniły; Doogie wykorzystał tę szansę i mocno pociągnął cielaka za głowę.

- Już - sapnął - udało się go odwrócić w dobrą stronę!

Wyciągnął rękę i klepnął jałówkę w zad.

- Dobrze, skarbie, a teraz najtrudniejsze! Znów odwrócił się do Gataliny.

- Będzie potrzebowała trochę pomocy. Widzisz, cielak jest duży. Ma szeroki kłęb. Potrzebna nam jakaś linka. Może być sznurek do prania.

Gatalina popatrzyła na niego bez zrozumienia.

- Przepraszam, *no comprendo*.

- Eee, sznurek... *cuerta* - powiedział Doogie, gorączkowo szukając hiszpańskich słów. - Tak, *cuerta* do... - Wskazał koszulę leżącą na ziemi. - *Cuerta* do prania. Szybko!

Kiedy Gatalina wybiegła, zalany potem Doogie wstał i zaczął wycierać garścią słomy zapaskudzoną pierś.

Starszy z dwóch mężczyzn podszedł do niego i podał mu do połowy pełną butelkę wody.

- Jestem *padre* Gati — uśmiechnął się. - Jej ojciec, si? - Wskazał swojego towarzysza. - A to Rafael, mój sąsiad.

-Doogie... Doogie O'Mara - odparł Doogie, z wdzięcznością przyjmując butelkę, a potem wypijając orzeźwiający, duży łyk.

- Ach, magia... dzięki!

Zerknął na swoją wyświnioną osobę i przepaszająco wzruszył ramionami.

- Panowie wybaczą, że nie podaję ręki.

Gatalina przybiegła ze zwojem sznurka do prania, który Doogie chwycił i szybko zawiązał oba końce w pętli. Nie tracąc ani chwili namyślił prawą rękę jeszcze raz i ułożył się z powrotem płasko przy zadzie jałówki.

— Dobra — mruknął — i znów w wyłom, przyjaciele! Zarzucenie pętli na przednie kostki cielaka było

stosunkowo łatwe, w porównaniu z poprawianiem ułożenia głowy. Mimo to wciąż przypominało nawlekanie zatłuszczonej igły po ciemku, jak często narzekał stary Hyslop, zmagając się z tym samym zadaniem na mokrych podłogach obór na Arran. Co myślały o tym rodzące mamuśki, nietrudno było zgadnąć; Doogie słyszał coraz cięższy oddech krowy i domyślał się, że ta długo już nie wytrzyma. Musieli szybko wyciągnąć cielaka, żywego lub martwego, jeśli chcieli uratować jałówkę.

Podniósł się z powrotem na nogi, potem podał ojcu Gataliny i Rafaelowi jeden koniec sznurka, a sam chwycił drugi, i zawołał do pomocy Gatalinę.

Jałówka zamuczała cicho, a jej tylne nogi zadygotały mimowolnie, kiedy zaczęła się nateżać w ostatniej, jak się obawiał Doogie, próbie rodzenia.

— Razem! — zawołał do pomocników. — Teraz! Ciągnąć, kiedy ona prze! CIĄGNAĆ!

Jałówka zaryczała z bólu, a matka Gataliny uklękła i położyła sobie łeb udreźzonego zwierzęcia na kolanach.

— Nie poddawaj się, mała — błagał Doogie. — Dalej, jeszcze raz!

Mijały pozornie niekończące się minuty zgranego parcia i ciągnięcia, ale bez skutku. A potem, kiedy Doogie już miał się przyznać do porażki, pojawił się czubek jednej raciczki cielaka, potem drugiej, potem różowy pyszczek. W nozdrzu urosła i pękła bańka śluzu.

— On żyje! — wyszczerzył się Doogie. — Mały drań mimo wszystko żyje!

Zapędził swoich pomocników do jeszcze jednego wyężonego pociągnięcia. Jałówka zareagowała i głowa cielaka wyskoczyła na zewnątrz. Narastająca euforia Doogiego nagle się jednak urwała, kiedy zobaczył, że język cielaka jest siny i zwisa złowrogo w kąciku jego pyska.

- Szybko! - krzyknął, zdwajając wysiłki i ponaglając pozostałych, żeby zrobili to samo. — Stracimy go, jeśli go szybko nie wyciągniemy. A teraz CIĄGNĄC!

Jakby wyczuwając, że jej męka zaraz się skończy, wyczerpana jałówka spięła się jeszcze raz, mucząc z bólu w fartuch *señory* Ensenyat. Kiedy oblepione błoną ciało cielaka w końcu wysunęło się na podłogę, rozległ się wiwat małego Pedrita, który oglądał ten prymitywnie wspomagany cud natury z odpowiednio bezpiecznej odległości.

— Jupiii! — wrzasnął. — Krówka właśnie zrobiła kupę z małą krową!

Doogie jednak był aż za bardzo świadom, że za wcześnie na świętowanie. Przykucnął nad cielakiem, otworzył mu pysk, żeby oczyścić go ze śluzu, a potem źdźbłem słomy zrobił to samo z nozdrzami.

- No dalej, mała - prosił. - Oddychaj, do cholery, oddychaj!

Mijały długie chwile, a nieruchome zwierzę nie dawało żadnych oznak życia. Doogie energicznie masował mu żebra, starając się pobudzić oddychanie, lecz bez skutku.

— Nie żyje dziecko? — spytała Catalina, błagając wzrokiem, by coś zrobił, cokolwiek.

Doogie wiedział, że szanse na przeżycie cielaka są z każdą sekundą coraz mniejsze. Narastała w nim desperacja. Pochylił się, chwycił bezwładny pysk zwierzęcia w dłonie, rozchylił mu szczęki, przyłożył do nich usta i dmuchnął potężnie w jego gardło. Potem jeszcze raz, i jeszcze. Wciąż mc.

Poczuł czyjąś rękę na ramieniu. Obejrzał się i zobaczył smutne oblicze ojca Cataliny.

— Chodź — powiedział cicho *señor* Ensenyat ze zrezygnowanym uśmiechem. — Już nic nie zrobisz, *amigo*.

Pedrito tymczasem ośmielił się podejść bliżej i stał teraz obok Cataliny, z nabożnym podziwem patrząc na nowo narodzonego cielaka.

— Patrz, Boogie! — szepnął, jakby stał nad śpiącym dzieckiem. — Mała krówka... budzi się!

Doogie szybko spojrział na cielę, nie śmiejąc mieć nadziei, że Pedrito ma rację. Ale tak, jedno wielkie brązowe oko zamrugało i się otworzyło, potem drugie. Cielak prychnął cicho, zakaszłał, a potem wziął pierwszy cudowny oddech w swoim życiu, sam spłoszony głośnym „muuuuu”, które wyrwało mu się z pyska.

Jałówka odruchowo odwróciła się w stronę źródła dźwięku i odwzajemniła jego wołanie dodającym otuchy, matczynym pomrukiem.

Doogie nie próbował nawet ukrywać swojego zachwytu. Schylił się i wziął wciąż kichające, mrugające oczami cielę na ręce.

— Dobra, mała — mruknął — pokażmy twojej mamie, jak wygląda powód tego całego zamieszania, co?

— *Gracias, amigo! Muchismas gracias!* — promieniał *señor* Ensenyat, a potem objął Doogiego ramieniem, nie zważając na niezbyt przyjemną maź, którą ten był usmarowany. Wskazał ciele, stojące na długich, chwiejnych nogach tam, gdzie chłopak je postawił, przy łbie matki. — To mała krowa, si?

— Tak, tyci jałówka, i to krzepka — odparł odruchowo Doogie, jakby był w domu na Arran i dzielił się zachwytem, który budzą narodziny nowego członka stada płci żeńskiej w każdym rolniku na całym świecie.

— Krzepka... tyci... jałówka? — spytała Catahna, zaskoczona obco brzmiącymi słowami.

— Zgadza się — odparł szeroko uśmiechnięty Doogie. — I to niezła tyci laska!

Wieczorny posiłek, który przygotowała *señora* Ensenyat mimo zamieszania wywołanego kryzysem w stodole, okazał się prosty, ale pożywny, z rodzaju tych, jakimi Doogie rozkoszował się ostatni raz, kiedy mieszkał z rodzicami. Poza tym wokół dużego, drewnianego stołu, przyniesionego z kuchni i ustawionego we względnym chłodzie *porche*, panowała wyraźnie odświętna atmosfera. Doogiemu pochlebiał, choć zarazem też go zawstydział, podziw należny bohaterowi, z którym wszyscy go traktowali. To znaczy wszyscy z wyjątkiem Rafaela.

Choć przystojny sąsiad Ensenyatów również napracował się ciężko przy odbieraniu porodu jałówki,

odkąd usiadł z nimi do kolacji, był w wyjątkowo ponurym nastroju. Kilka razy, podnosząc głowę znad talerza, Doogie zobaczył, że Rafael patrzy na niego z niechęcią, ale przyłapany na tym — szybko odwraca wzrok. Poza tym nie sposób było nie dostrzec pełnych uwielbienia zerknięć rzucanych przez niego w kierunku Gataliny — zerknięć, których Catalina, jak Doogie zauważył, nie odwzajemniała. Ta dyskretna mowa ciała nie uszła też uwadze jej rodziców, którzy dyskretnie wymieniali wtedy spojrzenia nad stołem.

„Nie trzeba geniusza, żeby zrozumieć, co tu się dzieje” — pomyślał Doogie. Zresztą, kiedy zerknął na zegarek, uświadomił sobie, że ma na głowie pilniejsze sprawy. Było już długo po wyznaczonej przez starą Marię godzinie powrotu Pedrita.

— Jedziesz do domu spać? — spytała matka Gataliny, widząc, jak Doogie zasłania ziewnięcie, dziękując jej za gościnę.

— Nie — odparł chłopak z aż nadto wyraźnym żalem — teraz jadę na lotnisko do pracy!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bolesna zemsta

Mimo całej pierwotnej niechęci do roli Pana Słoneczko, Doogie musiał przyznać, że poczuł ukłucie smutku, gdy z Anglii przyleciało małżeństwo zawodowych animatorów, zatrudnionych na stałe na stanowisko, które sam nazywał codziennym pilnowaniem zoo w hotelu Tiempo Alegre. Po pierwsze, „Klub Pana Słoneczko” był przyjemną, choć męczącą, odmianą wobec popołudniowych, nudnych obowiązków rezydenta. Po drugie, pozwalał mu trochę lepiej poznać Catalmę. Choć istniała pewna nieprzekraczalna granica tego, jak dobrze można było kogoś poznać w towarzystwie trzy-dzieścioro rozbrykanych, małych Promyczków.

Ulżyło mu natomiast, że nie ryzykuje pokazaniem się Margaret Hyslop w sytuacji, którą na pewno uznałaby za poniżającą dla kogoś, kto w przyszłości

miał zostać filarem społeczności mieszkańców Arran. Nieważne bowiem, jak bardzo się przed tym bronił, Doogie wciąż nie mógł się pozbyć dziwnego wrażenia podporządkowania, które Margaret udawało się w nim wzbudzić, nawet na odległość. Pamiętał aż za dobrze, jaka była przerażona jego decyzją, by zrobić sobie rok wolnego na uczelni i pracować jako rezydent biura podróży. Dlatego wołał nawet nie myśleć o jej reakcji na jego codzienne przebieranie się za klauna.

Ponieważ Doogie był jedynym Szkotem w majorkańskim zespole Merryweathera, kierownik Manolo wyznaczył mu specjalne obowiązki na początku Glasgow Fair w połowie lipca - obowiązki obejmujące między innymi odebranie wszystkich czterech lotów z Glasgow w pierwszą niedzielę. A Doogie szybko zrozumiał, że to, co Angie mówiła o „dzikim” aspekcie tych konkretnych dwóch tygodni nie było bynajmniej przesadą. W porządku, napatrzył się na fenomen masowego, dorocznego exodusu z największego miasta Szkocji jeszcze na Arran. Ale stan entuzjazmu i (w niektórych przypadkach) alkoholowego upojenia hord wylewających się ze statku na nabrzeże Brodick był jak przyjazd niedzielnej szkółki w porównaniu z tym, co napotkał na lotnisku w Palmie.

Nie w tym rzecz, że wszyscy turyści z Glasgow byli wyjątkowo agresywni, czy że co do jednego musieli chociaż spróbować czegoś mocniejszego podczas podróży na południe. Bynajmniej. Pierwszy samolot tego dnia przywiózł około trzystu pasażerów, z których dumna byłaby każda szanująca się metropolia:

najróżniejszego sortu familie, od wyraźnie nadzianych, po dużo mniej zamożne.

Punkt karny został przyznany jedynie drobniutkiemu, bojącemu się latania dziadkowi, który przed startem wypił dla kurazu odrobinę za dużo i zgubił swoją sztuczną szczękę w samolotowym kiblu, kiedy „wołał przez wielki biały telefon do Ralfa i Hughiego”, jak dosadnie wyjaśniła Doogiemu drobna, nieco nadmiernie owłosiona żona staruszka. Potem spytała go (na próżno!), czy mógłby namówić „kóroś z konduktorek, żeby tam pojszła i wyłowila zemby mojego starego z kibelka”.

Jednak z każdym następnym lotem przylatywało coraz więcej młodych singli, paradoksalnie w grupach, a większość z nich głośno dawała wyraz swojemu zamiarowi, by cholernie dobrze się bawić od samego początku urlopu. Ich entuzjazm nie przeszkadzał zanadto ich dojrzałym i zazwyczaj mniej energicznym towarzyszom podróży. Przynajmniej aż do ostatniego lotu tego dnia.

— Lepiej ty niż ja, człowieku — powiedziała Doogiemu jedna ze stewardes, wychodząc z terminalu Przylotów Międzynarodowych z miną kogoś, kto właśnie uciekł z klatki lwa. — Mieliśmy w głuptaku taką gromadę czubków, że kapitan był o włos od powrotu do Glasgow, me żartuję!

— Jak rozumiem, spili się? — spytał retorycznie Doogie.

— Też. Tak czy inaczej, świrują. A ich język!

— Szkoda, że w ogóle wpuściliście ich do samolotu.

— Nie, naprawdę, kiedy wchodzili na pokład, nie byli tacy źli. No, dobra, widać było, że walnęli po kilka głębszych, ale nic ponad normę.

Doogie się zgarbił.

— To dlaczego podawaliście im gorzałę podczas lotu?

Stewardesa pokręciła głową.

— W tym sęk, nie podawaliśmy. A przynajmniej nie więcej, niż po jedno, dwa piwa na głowę.

Doogie pokiwał głową.

— Prochy — powiedział. — Tak, pewnie łykali wesołe pigułki i popijali je piwem.

Stewardesa wzdrygnęła się, kiedy od strony punktu odbioru bagażu dobiegł ich jazgot dud.

— W twoje ręce, stary — powiedziała — i powodzenia!

Z tymi słowy czmychnęła w ślad za swoimi koleżankami, które rozsądnie uciekły już najbliższym wyjściem z budynku.

Choć do punktu odbioru bagażu wstęp mają zasadniczo tylko pasażerowie, Doogie uznał, że to wyjątkowo dobrze uzasadniona okazja, by złamać zasady. Zachęcony kiwnięciem głowy dyżurnego, prześliznął się przez bramki odpraw. Potem, podążając za wyciem dud, minął zdezorientowane legiony nowo przybyłych Niemców i Skandynawów oraz gromadki czekających na swoje bagaże cmokających francuskich matron, prosto w grupę rozkrzyczanych skinheadów, którzy właśnie wysiedli z samolotu z Luton. Sytuacja wyglądała — i brzmiała — poważnie!

— Wysłać tych pajaców z dudami z powrotem do haggisowa! — krzyknął brzuchaty skin z Union Jackiem wytatuowanym na czole. — Zastrane bydlaki!

— Tak! — wrzasnął któryś z jego kumpli, któremu właśnie została w rękę zawleczone do otwierania puszki Carlsberga. — Może by tak ktoś nauczył tych wieśniaków trochę kultury!

— Ej! Zamknąć ryje! — ryknął trzeci w kierunku dud, podczas gdy morze wielonarodowych twarzy przyglądało mu się w oszołomionej ciszy. — Tu są muzycyjni ludzie, na Boga!

Nastąpił wybuch hałaśliwej, skinheadzkiej wesołości.

— Będą kłopoty — mruknął do siebie Doogie, któremu zaczynało się przewracać w żołądku. Tak, gdzie jest *Guardia Civil*, kiedy są najbardziej potrzebni? Ani jednego policjanta w zasięgu wzroku!

— Szykuj się, O'Mara — mruknął, próbując wypatrzeć w bandzie z Luton najbardziej przyzwoicie wyglądającego bandytę, by do niego podejść. — I jeszcze raz, w jeszcze jeden wyłom, przyjaciele — mrucał dalej — chociaż zdecydowanie wolę wsadzać rękę w krowi tyłek, niż nos w ten bałagan!

— Gdzie jest zastrany autobus, chłopcze? — beknął Doogiemu w twarz nagi od pasa w górę skinhead. Jednocześnie niechcący, choć zupełnie się tym nie przejmując, wyrzucił go w piszczel pełną brzęczących butelek torbą. — Ja i moi kumple jedziemy do...

Skrzywił się niespodziewanie, a potem odwrócił do reszty bandy.

— Ej! Gdzie my właściwie, kurwa, jedziemy, chłopaki?

— Chyba gdzieś do Hiszpanii — zaryzykował jego kumpel, jednocześnie ostentacyjnie obrzucając wzrokiem przechodzącą obok i zupełnie tym niezachwyconą frau z lotu z Frankfurtu. — Auf Wiener Schnitzel, mała! — ryknął za nią. — Tak, co powiesz na dziewięć cali cumberlandzkiej parowy, Marlm Ditrik?

Doogie wziął głęboki oddech. Pora zdusić tę potencjalnie niebezpieczną sytuację w zarodku.

— Wszystko pod kontrolą, panowie — oznajmił głośno bandzie skinów z całą pewnością siebie, na jaką było go stać. — Panów transport już czeka. Proszę się pospieszyć! — Wskazał najbliższe wyjście. — Wszyscy pasażerowie z Luton tędy. Najszybciej jak się da, proszę. Państwa autobus zaraz odjedzie.

— Co tak szybko, kumplu? — warknął wytatuowany Union Jackiem. — Nie słyszałeś nigdy o syndromie *mañana*?

— Ta, właśnie! — przytaknął jeden z jego towarzyszy, łapiąc się za wydatny brzuch i gorączkowo się rozglądając. - Zanim w ogóle gdzieś pójde, muszę postawić kloca, gdzie jest, kurwa, męski sracz?

Doogie zrozumiał, że nieprędko cokolwiek z nimi wskóra. Postanowiwszy wypróbować podejście delikatne, położył dłoń na łokciu skina z tatuażem na twarzy, a potem szybko ją cofnął, kiedy klasyczne rysy zaginionego ogniwa ewolucji ściągnęła mina pod tytułem „zabieraj to pedalskie łapsko, bo ci wyrwę wątrobę”.

— Oczywiście to zależy od panów — powiedział Doogie, siląc się na obojętność — ale wiedzą panowie, jest Fiesta San Miguela.

Ponure spojrzenie gościa z flagą przeszło w grymas ostrożnego optymizmu.

— San Miguela? To takie piwo, nie? Doogie zmusił się do ironicznego śmiechu.

— Do tego właśnie zmierzam.

— Ze co?

— Fiesta San Miguela, proszę nie mylić z piwem nazwanym od tego świętego patrona, to jedyny bezalkoholowy dzień w hiszpańskim kalendarzu — skłamał bezczelnie Doogie.

Flaga na czole zmarszczyła się w grymas niezrozumienia.

— To znaczy?

Doogie wskazał zegar na ścianie.

— To znaczy, że za godzinę, o drugiej - przy okazji, to godzina narodzin świętego — zamykają wszystkie bary. — Spochmurniał. — Tak, przez następne dwanaście godzin nikomu nie wolno tknąć ani kropelki. W całej Hiszpanii tak jest.

— Cholera — zaklął Union Jack. Rozczarowanie ściągnęło w dół kolczyki w jego dolnej wardze. — Gdybyśmy wiedzieli, to byśmy polecieeli, kurwa, do Torre-molinos!

Obrócił się na pięcie, by zebrać swoje wojsko.

— Dobra, chłopaki — warknął — zapierdzielamy do tego zasranego autobusu.

— A co z tymi wieśniakami? — spytał jego kompan.

— Do cholery z nimi! Mało ich tam jest?

Twarz skina o nadgorliwych jelitach wykrzywiła się w panice.

— A co ze sraczem? — zapytał błagalnie.

— Wsadź se korek, synek! Musimy wyrobić normę w picciu, a czasu mało!

Brygada z Luton radośnie podążyła za swoim wodzem przez wskazane wyjście, rycząc ksenofobiczne, piłkarskie przyśpiewki.

Doogie odetchnął przeciągle z ulgą.

— Dobra, tych się pozbyliśmy. Teraz niebezpieczna część!

— W takich chwilach człowiek jest dumny, że jest Brytyjczykiem — skomentował cynicznie starszy pan w panamie na głowie, wskazując wychodzących skinheadów, a potem taśmociąg bagażowy lotu z Glasgow. Zza plastikowej zasłony, wśród waliz i golfowych toreb, wyjechała nieprzytomna postać w kilcie, z rozrzuconymi rękami i zadartymi nogami, z wystawionymi na widok publiczny genitaliami oraz świeżą plamą wymiocin na koszulce z napisem: „Kwiat Szkocji”.

Zachwyceni przyjaciele mężczyzny ryknęli śmiechem i docinkami, a matki obronnym gestem zasłaniały dzieciom oczy. Grupka nastolatków wymieniała komentarze, skrywając usta w dłoniach. Z chichotem zerkały na to, co czyni z mężczyzny prawdziwego Szkota.

Doogie przecisnął się przez zbiegowisko pasażerów z Glasgow, pchających się po swoje bagaże. Musiał uskakiwać przed pchanymi na oślep wózkami oraz go-

rażkowo rzuconymi w tył walizami, aż dotarł do grupki awanturników w kiltach. Dwóch z nich bez przekonania wypatrywało swoich bagaży na taśmociągu. Inni klaskali i wyrzaskiwali słowa zachęty do reszty klanu, który wykonywał dziką improwizację *eightsome reela* do akompaniamentu dud. Mimo przerażającego hałasu, jaki robili, było ich tylko dziesięciu, jak ocenił Doogie. Najwyżej dwunastu.

- Jeden przeciw dwunastu - mruknął pod nosem, czując, jak wali mu serce. - Dobra, pożegnaj się z zębami, O'Mara.

Przygotował się, a potem postukał w ramię najbliższego klaszczącego.

- Przepraszam, przyjacielu — krzyknął mu do ucha - ale będziesz musiał uspokoić kolegów. Widzisz, były skargi i...

Chłopak obrócił się, przyjrzał twarzy Doogiego i wykrzywił z niedowierzaniem.

- Jezu Chryste! - zawołał. - Co ty tu robisz, O'Mara? Myślałem, że jesteś gdzieś w Afryce, studiujesz techniki kopulacyjne jeżozwierzy czy coś równie głupiego!

- Jimmy Brown! — sapnął Doogie, w końcu rozpoznając pomalowaną na biało i niebiesko twarz jednego ze swoich kolegów ze studiów w Edynburgu. - Co cię sprowadzana...?

- A co to za ciuszki? - przerwał mu Jimmy, z kpiącym uśmiechem dotykając klapy błękitnego blezera Doogiego. Spojrzał na identyfikator. - Merryweather Holidays? O co tu w ogóle chodzi, co?

Doogie mógłby zapytać Jimmy'ego, dlaczego ten ma twarz pomalowaną w barwy szkockiej flagi, ale nie były to ani pora, ani miejsce na studenckie docinki.

— Teraz to nieważne — powiedział sucho. — To długa historia. — Ruchem głowy wskazał roztańczonych kumpli Jimmy'ego. — Ale radzę ci szybko ogarnąć tę bandę, albo wszyscy spędzicie noc w miejscowym pierdlu!

Twarz Jimmy'ego wykrzywił głupkowaty uśmiezek.

— Eee tam, to tylko zwykli studenci medycyny z Edynburga. Świry i czuby co do jednego. — Szturchnął Doogiego w żebra i puścił oko. — Głupi, ale niegroźni, ha, ha!

— Słuchaj — warknął Doogie — *Guardia Civil* nie będzie pytała, czy uczycie się na lekarzy, czy na śmieciarzy. Dla nich wszyscy będziecie kibolami, a... — Przerwał, kiedy zauważył u Jimmy'ego coś dziwnego. — Twoje oczy — powiedział, wpatrując się w pusto uśmiechniętą twarz. — Twoje źrenice. Popatrz tylko na nie. Boże, wyglądają jak dziurki wysikane na śniegu! Coś ty brał, człowieku?

Jimmy wzruszył ramionami.

— Eee, tylko parę eksów.

— Ecstasy?

— No, a przynajmniej coś w tym rodzaju. — Jimmy wskazał ruchem głowy swoich kumpli z medycyny. — Ci goście mają dojdzie do różnych rzeczy. Mniej idzie na wódę.

Doogie się wzdrygnął i rozejrzał, czy ktoś nie podsłuchiwał tej rozmowy.

- No, mam cholerną nadzieję, że żaden z was me przywiózł tego ze sobą. Mówię ci, Jimmy, hiszpańska policja...

Jimmy uspokajająco położył mu rękę na ramieniu.

- Może jesteśmy nienormalni, O'Mara, ale me jesteśmy, kurwa, debilami! — Chytrze puścił oko. — Zresztą, skoro się tu obracasz, na pewno pokażesz nam, gdzie można kupić małą działeczkę, co?

Niektórzy z bardziej liberalnych pasażerów ucieszyli się głośno, kiedy dwaj zdejmujący bagaże koledzy Jimmy'ego w końcu ściągnęli nieprzytomnego gościa z taśmociągu — tylko po to, by upuścić go na marmurową podłogę, gdzie przetoczył się znów do poprzedniej nieskromnej pozycji. Był nieprzytomny i było mu z tym dobrze.

Doogie zauważył, że przy jednym z wyjść stoi dwóch policjantów w zielonych mundurach. Zimnym wzrokiem obserwowali tę pantomimę, z rękami położonymi groźnie na kaburach pistoletów. Doogiego okropnie kusilo, żeby sobie pójść i pozwolić, by stało się to, co nieuniknione. Może noc w celi była właśnie tym, czego ta banda samolubnych wariatów potrzebowała. Z drugiej strony, do cholery, w końcu sam był studentem.

Wepchnął się między tańczących.

- Dobra, panowie, wystarczy! - wrzasnął, a potem podszedł do dudziarza i wyrwał mu ustnik.

- Hej! - wrzasnął dudziarz, kiedy instrument z jękiem upadł obok niego na ziemię. — Mogłeś mi, kurwa, powybić zęby!

Jeden z potrąconych tancerzy podszedł z groźną miną do Doogiego.

— Tak, w kulki lecisz, dupku? — warknął, a jego koledzy zwarli szeregi. — Myślisz, że taki jesteś twardy, co?

— Nie, ale oni tak — odparował Doogie. Wskazał dwóch funkcjonariuszy *Guardia Civil*, którzy właśnie szli ku nim z rewolwerami w pogotowiu.

Dudziarz zbladł.

— O cholera! — jęknął. — Psy!

— Tak — powiedział Doogie — ci goście nie będą się z wami cackać jak ci w Edynburgu w sobotę wieczorem.

Jimmy Brown, jako jedyny, szybko się orientował.

— Lepiej go posłuchajcie, chłopaki — poradził gorączkowo. — To jeden z nas i chyba wie, co tu się dzieje!

— Zgadza się — potwierdził Doogie, czując, że wzrasta jego pewność siebie. — A dzieje się to, że wy, głąby, jeśli się natychmiast me ogarniecie, wróćcie do domu z połamanymi kośćmi, wszami, dyzenterią, szkorbutem i rozepchanym dupskiem po kilku miesiącach w towarzystwie ludzkich szumowin, które tu trzymają na dołku!

Dwóch policjantów tymczasem stanęło kilka kroków od nich. Z typowymi pokerowymi minami przyglądali się rozwojowi sytuacji, ostentacyjnie ignorując prośby niektórych poirytowanych pasażerów tego samego lotu, którzy domagali się, żeby „wsadzić tych półgłówków do więzienia”, albo przeciwnie „wypierdo-lić tych chamów z wyspy!”.

— To wasze Merryweather Holidays! — zapiszczała zdenerwowana mieszkanka Glasgow do Doogiego,

kiedy odnalazła już swój bagaż. — Dziadostwo! Takiego chamstwa z Edynburga do samolotu glasgowczycy by nie wpuścili!

Wśród studentów w kiltach zapanowała ponura cisza.

— Dobra, chłopaki, nie podoba mi się to — powiedział Jimmy Brown, zerkając to na jedno wyjście, to na drugie. Wszystkie były strzeżone przez dwójki uzbrojonych policjantów.

— Pilot dał znać przez radio — stwierdził Doogie rzecz oczywistą. — Dlatego jeszcze jeden wygłup i wpadliście po uszy.

Mina Jimmy'ego robiła się z każdą chwilą coraz bardziej skruszona.

— Co proponujesz, Doogie, kumplu? — spytał.

— Proponuję, żebyście zabrali swoje rzeczy z taśmociągu, zebrali naćpanego kumpla z podłogi i wsadzili na wózek, a potem cichutko poszli do wyjścia A, o tam. Aha, i nie zaszkodzi, jak po drodze przeprosicie tylu ludzi, ilu się wam uda.

Ruszył do wyjścia.

— Do zobaczenia w hali przylotów, tam zobaczymy, co dalej.

Stłoczony klan nagle chóralnie odchrząknął. Doogie poczuł dłoń na ramieniu, odwrócił się i zobaczył powód ich nagłego niepokoju.

— *Lo siento, señor, pero estos chicos no pueden salir.* Nawet jeśli ktoś nie znał hiszpańskiego, ton i mina

policjanta *Guardia Civil* nie zostawiały wątpliwości, że nie przyszedł tu się bawić w żadne gierki.

— Mówi, że nie możecie stąd wyjść — przełożył ponuro Doogie. Powiódł wzrokiem po przybitej grupce studentów. - Któryś mówi po hiszpańsku?

Zgodny chór wymamrotał, że nie. Zrozpaczony Doogie spojrział na zegarek.

— No i świetnie - warknął. - Teraz będę musiał was niańczyć podczas przesłuchania przez policję, zamiast zbierać resztę pasażerów i wysyłać ich do hoteli. Co za upierdliwość!

— Nie musisz na nich czekać — powiedział mu po hiszpańsku jeden z policjantów. On i jego kolega znali angielski wystarczająco dobrze, żeby solidnie nastraszyć tę bandę młodych *lundticos*. Potrzebował jedynie, by Doogie potwierdził ich adres zamieszkania na wyspie. Poza tym paszporty chłopaków - oraz ich dudy! - musiały zostać oddane policji na czas pobytu.

- Obawiam się, że musicie sobie radzić sami, chłopaki - oznajmił Doogie swoim smutnym krajanom. - Okazuje się, że moja obecność nie będzie jednak potrzebna.

- Proponuję, żebyśmy zażądali widzenia z brytyjskim konsulem - rzucił jeden z chłopaków, z wyglądu najbardziej nadęty.

- Na waszym miejscu - odparował Doogie - trzymałbym gębę na kłódkę, dopóki ktoś was o coś nie spyta. — Z kpiącym uśmiechem powiódł wzrokiem po żalosnej zbieraninie. - W obecnej sytuacji nie bardzo macie prawo, by czegokolwiek żądać, prawda?

Znów spojrział na zegarek.

— A teraz przepraszam, muszę się zająć całym samolotem waszych współpasażerów.

— Wielkie dzięki, że się za nami wstawiłeś, kumplu! — krzyknął za nim jeden z niedoszłych medyków. — Mam nadzieję, że będę miał okazję ci się odwdzięczyć, jeśli kiedyś ty będziesz miał przerabane!

Nie zwalniając kroku, Doogie pomachał mu przez ramię.

— To było samookaleczenie, lekarzu. Więc wylecz się sam!

Pulsujący gwarem bar U Papiego o trzeciej nad ranem me był najodpowiedniejszym miejscem dla kogoś, kto od rana był na nogach. Zdrowy rozsądek podpowiadał Doogiemu, że powinien znaleźć się jak najszybciej w łóżku. Ale po awanturach z poirytowanymi pasażerami ostatniego lotu z Glasgow, których najpierw trzeba było uspokoić, a potem rozwieźć po hotelach, zdrowy rozsądek nie miał nic do powiedzenia. Dla Doogiego liczyło się tylko wypite w spokoju, duże, zimne piwo.

— To przecież nasza Magiczna Karuzela! Gały czas robisz za klauna, co, kolego?

Nick Martin był ostatnią osobą, na którą Doogie miał ochotę teraz wpaść.

— Tylko, kiedy mi płacą - odgryzł się, jednocześnie próbując podchwycić spojrzenie barmana.

Nick puścił to mimo uszu i pstryknął palcami.

— Ej, Juan! Drinka dla kolegi. Ja stawiam.

— *Una caña, por favor*, Juan — powiedział Doogie, zamawiając piwo z nalewaka. Z zaskoczeniem ujrzał,

że Nick sięga do kieszeni na piersi i wyciąga zwitek euro, który musiał mieć równowartość pięciuset funtów w przeliczeniu na starą walutę.

- Oooo, *una cañal* - zakpił Nick. - Nagle śmigamy po hiszpańsku, co? No tak, oczywiście takie są korzyści ze zbliżeń z majorkańską dupcią, co? Szybki numerek pod pomarańczowym drzewkiem w ramach lekcji języka, co? No, nieźle!

Teraz przyszła kolej Doogiego, by puścić to mimo uszu. Podniósł szklanę.

- Zdrowie, Nick. Dziękuję za piwo.

Nick nie odpowiedział, tylko ostentacyjnie odwinął dwa banknoty ze zwitka i rzucił je na ladę.

- Ej, Juan! - krzyknął znów do barmana. - Po jednym dla ciebie i twoich kumpli, dobra? Ja stawiam!

- Mamy dzisiaj dobry nastrój, co, kolego? - przyciął Doogie z kamienną twarzą.

Nick się skrzywił.

- No wiesz, pieniądze są po to, żeby je wydawać, Magiczna Karuzelo.

O co chodzi z tą nagłą szczodrością? - zastanawiał się Doogie, przypominając sobie, co Angie powiedziała ledwie parę tygodni wcześniej na temat opinii Nicka w tym barze.

- Tak, śliczna Gatalina Ensenyat - mruknął Nick w głąb swojej szklanki, z wzrokiem utkwionym gdzieś za kontuarem. - Na pewno rypie się jak królik. Wszystkie te wieśmary są takie same. Na wpół szmatogłowe, wiesz, o czym mówię? - Odwrócił się i oparł plecami o bar, wciąż unikając wzroku Doogiego. - Nie żebym

mówił z własnego doświadczenia, oczywiście. - Wskazał podrygującą grupę brytyjskich wakacyjnych cichodajek z wypisanym w oczach „bierz mnie”. - Po co się zniżać do miejscowych osłów, kiedy masz tyle czystej krwi szparek dookoła?

Doogie odczekał chwilę.

- Wybacz, że wpadnę w fachowy, weterynaryjny żargon, przyjacielu, ale chyba trochę ci się pomieszały konie z psami, nie?

- O tak, bardzo zabawne - prychnął Nick. - Psów nam teraz na wyspie nie brakuje, co? Po tym, jak przyleciała ta zgraja z Glasgow, i w ogóle!

- Tylko akcent się różni - mruknął Doogie i dopił resztki piwa. - Nieważne, co pijesz? Tym razem moja kolej.

Nick odrzucił tę propozycję, kręcąc głową.

- Oszczędzaj swoje grosiki na swoją małą *señorite*, Dougal. Ja stawiam. Hej, Juan, jeszcze jedno piwo dla kolegi!

- Dzięki, ale kupię sobie sam - powiedział szorstko Doogie.
- Będzie lepiej smakowało.

Ale jego słowa nie zrobiły na Nicku wrażenia. Martin znów uciekł się do swojego zwyczaju patrzenia gdzieś za Doogiego, kiedy mówił.

- Popatrz no tylko na to ciasteczko!

Doogie spojrział przez ramię na powód ekscytacji Nicka. Owo ciasteczko ubrane w mikromini szerokości karnisza i przezroczystą bluzeczkę, stało w drzwiach w pozie „jestem całkowicie dostępna”.

Nick prychnął z zadowoleniem.

- I jest na mnie napalona jak nic! Doogie wzruszył ramionami.

- No tak, wygląda na puszczałką, to by się zgadzało.

- Nie przeginaj, Magiczna Karuzelo - mruknął Nick, posyłając obłeśny uśmiech swojemu najnowszemu damskiemu celowi. - Mieliśmy tu już sporo takich jak ty, tak zwanych „wykształconych” cwaniaczków. - Potrząsnął głową. - Nie dotrwasz do końca sezonu.

Doogie uśmiechnął się do niego chłodno.

- Może i me, ale gdyby ciebie Sam Merryweather wyrzucił, to nie musisz się niczym przejmować.

- Ach tak?

- Tak. Możesz założyć własny bank spermy. W końcu masz wszystkie potrzebne kwalifikacje, prawda? Potrzebowałbyś tylko lustra... i napałka!

Nicka Martina to zakłuło. Dźgnął Doogiego palcem w ramię.

- Pożałujesz tego, cholerny Jamesie Herriocie! - warknął. - Zobaczysz, kurwa!

- O rany, ostatni raz tak się bałem, kiedy w laboratorium zaatakowała mnie wściekła żaba.

Z pełnym wyższości uśmieszkiem na twarzy Nick znów zaczął wpatrywać się za niego, więc Doogie się odwrócił, by jeszcze raz obejrzeć tę najnowszą „piękność” i zobaczyć, co tak Nicka w niej kręci. Pomyślał, że na pierwszy rzut oka kobieta ma w sobie coś znajomego; po chwili przemknął jej świeżo nałożoną tapetę i wszystko zrozumiał. Tleniona, trzydziestoparoletnia blondynka przyleciała jednym z porannych lotów

z Glasgow i przy każdej okazji po drodze z lotniska do hotelu wprost dawała Doogiemu do zrozumienia, że jest chętna.

— Akurat coś dla ciebie — powiedział do Nicka Martina.
— Nawet nie ukryła białego paska na trzecim palcu lewej ręki!

— To najmniejsze z moich zmartwień — odparł Nick. Jego uśmiech stał się jeszcze bardziej obleśny, kiedy blondynka ruszyła w jego stronę. Zsunął się z barowego stołka i odepchnął Doogiego na bok.

— Patrz i ucz się — powiedział kątem ust. — Patrz i się ucz.

— Cześć, przystojniaku! Pamiętasz mnie? — spytała blondynka z mocnym, glasgowskim akcentem, całkowicie ignorując Nicka Martina. — Doogie, zgadza się? — Wyciągnęła rękę. — Senga, Senga McDuff.

Doogie postanowił rozegrać to profesjonalnie.

— Dobry wieczór, pani McDuff. Hotel Tiempo Alegre, prawda?

Cmoknęła, nie wypuszczając dłoni Doogiego z uchwytu:

— Nie lubię tak oficjalnie.

Doogie wskazał ruchem głowy Nicka Martina, który stał z rozdziawionymi ustami.

— W takim razie polecam kolegę. Mniej oficjalnych niż on nie robią.

Ale Senga McDuff dalej ignorowała Nicka.

— No, Doogie — mruknęła, me odrywając od niego wzroku nawet na chwilę — postawisz mi malutkiego drinka?

- Spadam stąd - warknął Nick Martin. - Szansa wyrwania czegoś w tej budzie właśnie spadła poniżej poziomu podłogi!

Z tymi słowy odszedł, przeciskając się przez tłum, w poszukiwaniu, jak uznał Doogie, innego obiektu do podboju.

Doogie odsunął udo, do którego Senga McDuff strategicznie przycisnęła swoje kolano.

- Proszę posłuchać, pani... ee, Senga - zaczął. - Nie chcę wyjść na nieuprzejmego, ale po pierwsze, firma nie pozwala personelowi spoufaląc się z klientami płci przeciwnej, a po drugie...

- Oj tam, oj tam - przerwała mu Senga, sugestywnie mrugając. - Nie powiesz chyba, że w tej twojej firmie pracują tylko lesby i homo, co?

- A po drugie - ciągnął uparcie Doogie - me sądzę, żeby twój mąż był zachwycony, gdyby tu przyszedł i...

- Och, on? - Senga wydeła usta. - Śpi sobie słodko w łóżeczku w Glasgow. - Przesunęła palcem po kłapie Doogiego.

- Czyli nie będziemy z nim mieli problemów, co, skarbie?

Dla Doogiego sytuacja zaczynała się robić zbyt nerwowa.

- Bez urazy, pani McDuff, ale właśnie skończyłem osiemnastogodzinną zmianę i jak tylko dokończę to piwo, udaję się tam, gdzie jest pani mąż.

- Do *Glasgow*?

- Nie, do łóżka.

- Hmm - zamruczała Senga - brzmi obiecująco.

— Do łóżka, spać! — poprawił się szybko Doogie. — Sam!
— Tak, *señora* — przerwał im barman — zamawia pani?

Senga zatrzepotała rzęsami w kierunku zmęczonego i całkowicie niezainteresowanego Hiszpana.

— No, jest na Majorce przynajmniej jeden dżentelmen. Tak, poproszę wódkę z colą, *amigo*. Och, i nie żałuj coli, dobra? Lubię dużo.

„Subtelna jak trzęsienie ziemi” — jaomyślał Doogie

— „Klasy się nie da ukryć!”

Dopił resztkę piwa i miał już wychodzić, kiedy usłyszał w uchu chrapliwy głos:

— Proszę, proszę, znów się spotykamy, chłopaczku!

Doogie odwrócił się i spojrzał prosto w przekrwione oczy przywódcy bandy skinheadów, których spotkał na lotnisku.

— O cholera! — stęknął. — To znaczy, no... fajnie tu was widzieć.

— Tak, bardzo fajnie! — zaskrzeczał skin. Jego nos dotykał prawie nosa Doogiego, oddech był wybuchową mieszanką alkoholu i curry. — Ej! — zawołał do swoich trzech kumpli, którzy łokciami przepychali się w stronę baru. - Patrzcie, co znalazłem!

Doogie pragnął, by podłoga rozstąpiła mu się pod nogami.

— No, eee, rozumiem, że rozgościliście się już w swoim hotelu, pensjonacie czy gdzieś tam — wybełkotał.

— Jebana Fiesta Świętego, kurwa, Miguela, tak?

— warknął skm, pryskając śliną w twarz Doogiego. —

Wszystkie knajpy w Hiszpanii zamykają o drugiej, tak? - Pchnął chłopaka, przyciskając go do baru. - Masz nas za debili, chłopaczku?

- Pan posłucha, ja tylko pragnąłem odciągnąć was od tych Szkotów, to wszystko. Nie chciałem kłopotów. Robiłem tylko swoje, wie pan.

Trzej pozostali skinheadzi otoczyli go ze wszystkich stron. Nie było gdzie uciekać.

Union Jack na czole przywódcy ściągnął się w supeł.

- Ten twój akcent - warknął mężczyzna. - Szkocki, tak?

Zanim Doogie zdążył odpowiedzieć, skin złapał go za identyfikator na blezerze.

- Mmm, O'Mara... Irlandczyk! To samo, co Szkot, tylko jeszcze gorzej! - Chwycił Doogiego za kłapy. - No, to za Szkota! - warknął, waląc go czołem w nasadę nosa. - A to za Irlandczyka! - dodał, kopiąc chłopaka brutalnie w krocze.

- Wesolej Fiesty Świętego, kurwa, Miguela, synku - chrząknął, kiedy Doogie osunął się nieprzytomny na podłogę, z zakrwawioną twarzą. - Ta, i masz farta, że cię tu jeszcze nie przekopujemy!

Kiedy Doogie się ocknął, ból huczący mu w głowie był tylko odrobinę mniej straszny niż pulsowanie części intymnych, do których odruchowo i natychmiastowo podążyła jego ręka.

- Nie masuj - skarciła go Senga McDuff, ostrożnie wycierając mu krew z rozcięcia.

Doogie usiłował zogniskować wzrok.

- Nie masuję - jęknął. - Przeliczam.

- No jaka szkoda, taki miły gość - dobiegł go głos Nicka Martina gdzieś zza tłumu ludzi otaczających scenę dramatu.

- Musisz iść do lekarza, Doogie - powiedziała Senga McDuff. - To rozcięcie, gdzie cię rąbnął ten gość, trzeba zszyć.

Doogie rozejrzał się dookoła; mgła przed jego oczami zaczęła się rozwiewać. Wciąż był na podłodze, gdzie upadł, ale teraz siedział, oparty plecami o bar.

- Jak... jak długo byłem nieprzytomny? - wyjąkał.

- Tylko minutkę czy dwie - odparła Senga. - Ale i tak musisz iść do lekarza. Nigdy nic me wiadomo, wstrząs mózgu i tak dalej.

Doogie się skrzywił i zamrugał oczami.

- Hej, no już, ludzie - zawołała Senga do stłoczonych gapiów - odsuńcie się, dajcie chłopakowi odetchnąć, no!

- Przynajmniej nie mówię sopranem - sapnął Doogie, delikatnie obmacując krocze i z trudem wstając z podłogi.

- No, tyle że przez jakiś czas nie będzie z ciebie zbyt wiele pożytku - zażartowała Senga. - Dzięki Bogu, że nie zdążyłam cię wcześniej poderwać!

Jeden z gapiów pomógł Doogiemu wstać, drugi przyniósł krzesło.

Doogie opadł na nie, popatrzył na swoje zakrwawione ubranie i smutno pokręcił głową.

- Tak to jest, jak się człowiek wtrąca. Następnym razem, jak będzie awantura na lotnisku, zostawię tych idiotów samych sobie.

Mimo swojego wyzywającego zachowania, Senga McDuff okazała się prawdziwym aniołem w ludzkiej skórze, w przeciwieństwie do Nicka Martina, który zniknął, kiedy tylko przeszło mu rozczarowanie, że Doogie odzyskał przytomność. Senga zorganizowała taksówkę, która zawiozła Doogiego do całodobowej przychodni w Palma Nova, zaczekała w poczekalni, kiedy doktor opatrywał jego obrażenia, a potem drugą taksówką odwiozła go do domu. Weszła z nim nawet na górę, żeby mieć pewność, że w tym stanie trafi w drzwi. W odpowiedzi na jego wylewne podziękowania powiedziała tylko, że jest jej winien jedno.

Ale co jedno? To pytanie nie dawało Doogiemu spokoju.

— Z którą latarnią się zderzyłeś, słońce? — spytał Ingrid następnego dnia, widząc, jak Doogie sztywno kuśtyka do biura Merryweathera. Kiedy chłopak zdjął ciemne okulary, ukazując w pełni sińce wokół oczu, Ingrid dodał: — A może z ekspresem? Rany, ale ty wyglądasz!

Doogie westchnął.

— A wszystko to obrażenia poniesione podczas wykonywania obowiązków służbowych. Może powinienem pozwać Sama Merryweathera — zasugerował bez przekonania.

— Tak, to byłoby coś - zaśmiał się Ingrid. — Słuchaj, muszę lecieć. Ale potem mi wszystko opowiesz, dobra? A, i jeszcze jedno, idź lepiej do Manola po jakiś specjalny przydział. Nie możesz się kręcić po lotnisku

z taką buźką. — Ingrid zaśmiał się swoim grzmiącym śmiechem. - Bez jaj, stary, straszylbyś dzieci klientów!

Doogie na pewno przestraszył Gatalinę, która, po krótkim epizodzie z pracą w „Klubie Pana Słoneczko”, wróciła na poprzednie stanowisko pomocy biurowej.

— *Madre mia!* — zawołała ze swojego miejsca przy kserokopiarce. — Go się stanęło z twoją twarzą, Doogie?

— Jeśli myślisz, że twarz wygląda źle, powinnaś zobaczyć części ciała, których nie widać — odparł Doogie w dość beznadziejnej próbie obrócenia wszystkiego w żart.

— *Perdón?* — spytała Gatalina, wyraźnie zmieszana.

— To, no, skomplikowana historia, ale nie przejmuj się, naprawdę nic mi nie jest.

— Ale, Doogie, twój ładny nos! — odparła z wymalowaną na twarzy troską. — Jest *roto*, złamany, sf?

Dotknęła lekko jego policzka wierzchem palców, co wywołało burzę gwizdów pozostałych dziewczyn w biurze.

— Nie, nie, nie jest złamany — upierał się Doogie. Usiłował się beztrosko uśmiechnąć, ale za bardzo go to bolało. — Tylko parę szwów pod plastrem, drobiazg.

— Szwów? Plastrem?

— Tak, no wiesz... - Wykonał gest zszywania czegoś igłą i nitką.

Gatalina zadrżała i zakryła usta dłonią.

— *Dios mio!* Szwy, plastry! *Que terrible!*

Doogie zaczął się czuć skrepowany jej publicznym okazywaniem troski.

— Słuchaj — szepnął — chyba lepiej pogadam z Manolem, nie sądzisz? Jest wolny?

Reakcja Manola na wygląd Doogiego była dokładnie taka, jak przewidział Ingrid. Ale jego nastawienie do relacji o tym, jak Doogie doznał swoich obrażeń, wydawało się zaskakująco oschłe. Albo Doogie takie odniósł wrażenie, zwłaszcza na początku.

— Nie powinieneś był wchodzić do punktu odbioru bagażu — stwierdził po prostu Manolo. — Jeśli przejąłeś się tym, co mówiła stewardesa o zachowaniu niektórych pasażerów z Glasgow, trzeba było zawiadomić policję. Oni mają doświadczenie w rozwiązywaniu takich sytuacji. Ty nie!

— Może tak, ale moje kłamstwo o świętym Miguelu zapobiegło bijatyce, a to z kolei wyeliminowało możliwość, że ucierpi wiele niewinnych osób. Jeśli pilot poinformował lotnisko Palma o awanturującym się studentach na pokładzie, dlaczego do licha policja nie czekała na nich przy punkcie odbioru bagażu?

— To nie moje zmartwienie. — Manolo był nieugięty. — I nie powinno być też twoje.

Doogie nie potrafił ukryć urazy.

— Wielkie dzięki — mruknął, wskazując swój nos. — Następnym razem będę wiedział!

Ale z Manolem nie było dyskusji.

— Dziękuj losowi, że w ogóle będzie następny raz! — warknął. — Nie pochwalamy, kiedy pracownicy Merryweathera w służbowych ubraniach biorą udział w barowych bijatykach, nieważne, w jakich okolicznościach!

Doogie miał już dość.

- Aby to była bijatyka, musiałyby bić więcej niż jedna osoba - zaprotestował. - To znaczy, już mówiłem, ten szurnięty jaskiniowiec mnie napadł, zdzielił z byka i kopnął w jaja. — Pstryknął palcami. — Ot tak, i było po wszystkim.

- Tak, i jak ten jaskiniowiec ci powiedział, miałeś szczęście, że cię jeszcze nie skopali. — Manolo pogroził mu palcem. — Kiedy się pracuje w tej branży tak długo jak ja, widziało się już wszystko, i to o wiele za często. Młodzi ludzie wykrwawiający się na śmierć w rynsztoku, z nożem w brzuchu albo z rozwaloną głową. Uwierz mi, przyjacielu, miałeś wielkie szczęście, że wyszedłeś z tego tylko z rozciętym nosem i spuchniętymi *cojones!*

Doogiego zatkało. Choć niechętnie przyznawał to przed samym sobą, Manolo miał całkowitą rację. Teraz, kiedy się nad tym na spokojnie zastanowił, co by było, gdyby skinheadzi napadli na niego w pustej ulicy nad ranem, zamiast wewnątrz baru pełnego świadków? Dreszcz przebiegł mu po plecach.

Zwiesił głowę.

- Tak, ma pan rację - przyznał. — Byłem cholernie głupi.

Podniósł wzrok, spojrział na Manola i wzruszył ramionami.

- Co mogę powiedzieć? Zniszczony uniform i w ogóle. Mogę tylko za to zapłacić z własnej...

- Uniform się wypierze — przerwał mu Manolo z figlarnym błyskiem w oku, a drobny uśmiezek podrywał mu końcówki wąsów. — A nos się zagoi.

Nachylił się nad biurkiem i po męsku klepnął Doogiego w ramię.

— A ja zapalę świeczkę za twoje *cojones!*

Zaśmiał się, usiadł z powrotem w fotelu i skrzyżował ręce na piersi.

— A teraz, co my z tobą zrobimy do czasu, kiedy znów będziesz mógł wyjść do ludzi?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kobieca intuicja

Doogie nigdy me podejrzewał, że będzie musiał się nauczyć czyszczenia basenów, ale staruszek, którego Merryweather Holidays zatrudniło do tej pracy w swoich hotelach, kompleksach apartamentowców i willach na wyspie, akurat zachorował. Dlatego po półgodzinnym, przyspieszonym kursie obsługi „wodnego odkurzacza”, płukania filtrów i ustawiania odpowiednich poziomów chemikaliów, Doogiego wypuszczono w teren w niebieskiej furgonetce. Był ubrany w błękitne szorty i koszulkę z logo Merryweathera, taką samą czapkę oraz, być może jeszcze bardziej mu pasujące w tej sytuacji, wielkie ciemne okulary, zasłaniające jak najwięcej twarzy.

„Nie jest źle” - pomyślał sobie, kiedy pierwszy raz wyruszał na objazd. Był w zasadzie sam sobie szefem,

nie musiał się szarpać z autokarami pełnymi turystów. Miał być tylko on, słońce i baseny, i żadnych zmartwień, o ile wykona wszystkie zadania na dziennej liście i niczego nie spaprze. Z pewnością mógłby się do tego przyzwyczaić!

Tak się złożyło, że klienci, których spotykał, byli ogólnie sympatyczni, a także hojni — zwłaszcza rodziny, które wynajmowały większe wille w ekskluzywnych miejscach takich jak wzgórze Costa d'en Blanes, po eleganckiej, zachodniej stronie miasta Palma. Zawsze dostawał tam coś chłodnego do picia, a czasami nawet zaproszenie na lunch nad basenem, jeśli „przypadkiem” dobrze wycelował z porą wizyty. Jeśli nie, miał do dyspozycji bezpretensjonalne małe bary i restauracje, gdzie inni „fachowcy” — budowniczowie, cieśle, hydraulicy, dostawcy, a nawet czyściciele basenów — ściągali na niedrogie *menu del dia*, danie dnia. Najlepsze lokale łatwo było poznać po liczbie zaparkowanych pod nimi furgonetek. Doogie szybko stworzył sobie krótką listę swoich ulubionych miejsc, gdzie mógł zjeść solidny obiad z trzech dań, do tego wypić dzbanek wina (jeśli miał czas na krótką sjęstę w samochodzie) oraz wchłonąć dodawaną do każdego posiłku *ración* oliwek i chrupiącego chleba. A wszystko to za mniej, niż w domu zapłaciłby za porcję placka i piwo. Rany, „fizyczni” w Wielkiej Brytanii nie wiedzieli, co tracą. To jest życie!

Pewnego dnia, kiedy poruszał się po swojej wytyczonej trasie w Palma Nova, Gatalina zadzwoniła do niego na komórkę z propozycją, żeby spotkali się na taki posi-

łek w jednej z restauracji po słonecznej stronie bocznej uliczki w Son Galii, na obrzeżach miasta. Były to bezpretensjonalne, ale dobre lokale, kiedyś często odwiedzane przez zorientowanych taksówkarzy, teraz ulubione także przez wielu obrotnej szczyh mieszkających tu Brytyjczyków. Doogie i Gatalina mieli się spotkać w restauracji o adekwatnej nazwie U Churchilla.

Usiedli przy stoliku na dworze, pod markizą, która osłaniała ich przed bezlitosnym, późno lipcowym słońcem. Gatalina z zatroskaną miną przeglądała menu wypisane kredą na tablicy przy drzwiach.

- Nic ci nie podchodzi? — spytał Doogie.

Czoło Cataliny zmarszczyło się w charakterystycznym grymasie.

- Podchodzi? - pytająco przekrzywiła głowę. - Jak to „podchodzi”, Doogie?

Doogie nie zdołał powstrzymać śmiechu.

- Przepraszam, to tylko takie powiedzenie. Chciałem tylko zapytać, czy nie ma w menu niczego, co lubisz, to wszystko.

Catalina wciąż wyglądała na podenerwowaną.

- Tak, lubię. Ale martwię się też o *señorę* Marię, twoją sąsiadkę.

- O starą Marię? — Doogie wzruszył ramionami. — Kiedy ją dziś o siódmej widziałem, wyglądała dobrze. Co się stało?

- Moja matka, dzwoniła mnie w *oficina* dzisiaj rano, w dziesiątej. Mówi, że *señora* Maria ją dzwoniła i nie mówiła dobrze.

Doogie uniósł brew.

— To znaczy? Catalina pokręciła głową.

— Nie wiem. Matka prosiła mnie tylko, żebym przyjechała do Palma Nova i zobaczenie *señorę* Marię. Zeby sprawdzenie, czy wszystko OK.

— I?

— No, ja się z nią patrzyłam, zanim przyjechałam tu. Ale... Doogie też zaczął się już martwić.

— No i co u niej?

— Och, mówi, że wszystko OK. Była uśmiechana i mówiona „jest OK, jest dobrze”, *como siempre*, jak zawsze.

— Hmm, ale ty nie jesteś przekonana, co? Catalina znów ściągnęła brwi; jak na dłoni widać było jej obawy.

— To bardzo stara pani, Doogie. *Si*, i mały Pedrito... jak to się mówi, trzeba się obchodzić z jego jajkiem, nie?

Doogie znów się zaśmiał.

— No, w każdym razie jakoś tak.

Catalina uśmiechnęła się, lekko zawstydzona.

— Mówię coś głupie, *si!*

— Nie, nie — zapewnił ją. — Wiem, o co ci chodzi. Ale, ee... — zawahał się. — Ale powiedziałbym raczej, że to z Pedritem trzeba się obchodzić jak z jajkiem. - Odkaszlnął i spróbował utrzymać poważną minę. -Widzisz, powiedzieć, że „trzeba się obchodzić z jego jajkiem” może oznaczać... no, coś innego.

Catalina zaczerwieniła się po same włosy.

Doogie rozsądnie postanowił zakończyć tę lekcję języka.

— Zresztą — rzucił lekko — na twoim miejscu nie przejmowałbym się zanadto Marią. To twarda sztuka, a Angie niedługo wróci i na dzień czy dwa uwolni ją od Pedrita. Wiesz co? Spróbuję dziś wieczorem urwać się wcześniej, żeby do niej zajrzeć i zobaczyć, czy wszystko gra. — Spojrzał Catalmie w oczy. — OK?

— *Si*, OK, Doogie — odparła cicho, ale jej uśmiech nie zamaskował ciągłej troski o staruszkę.

Doogie odczekał chwilę, a potem zdjął okulary, chcąc rozluźnić atmosferę.

— Właśnie! — rozpromienił się. — Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak ci się podoba mój nos z wyjętymi szwami!

Catalina skrzywiła się, wydeła usta i ostrożnie dotknęła rany na nasadzie nosa Doogiego.

— Uu, ciągle cię bardzo boleje, tak?

— Z każdym dniem jest coraz lepiej — uśmiechnął się Doogie, a potem spojrział na swoje niewyraźne odbicie w szybie restauracji. — Tak, i opuchlizna prawie zeszła, nie sądzisz?

Gatalina kiwnęła głową, ale wciąż wyglądała na zmartwioną.

— Ale twoja skóra, przy oczach, ciągle jest bardzo *amarillo*.

Doogie znów spojrział w witrynę.

— No, racja — mruknął. — Ale robi się żółta. Cholera, w tym tempie Manolo za parę dni wyśle mnie z powrotem na lotnisko! — Szturchnął Catalmę w rękę

i puścił do niej oko. — Może nałożę trochę czarnego i sinego makijażu?

Catalina spuściła wzrok na swoje dłonie.

— A to, czego nie widać — spytała nieśmiało po chwili — z nimi też coraz lepsze?

Doogie odchrząknął i uniósł brwi.

— No, można powiedzieć, że z początku trzeba było się z nimi obchodzić jak z jajkiem. Ale owszem, wszystko wraca już do normalnych proporcji, dziękuję.

Przybycie kelnera wybawiło Catalinę od jeszcze intensywniejszego rumieńca.

— A nowy cielak jałówki twojego ojca, co u niego? — spytał Doogie po obiedzie przy kawie.

— *Si*, krówka ma się doskonale — zapewniła go radośnie Catalina.

Okazało się, że szybko rośnie i w ogóle nie widać po niej śladów trudnego przyjscia na świat. Któregoś dnia miała się stać cennym dodatkiem do małego stadka mlecznych krów ojca Cataliny. Dzięki Doogiemu.

Doogiemu podobało się, że Catalina tak swobodnie przechodzi do rozmów o gospodarstwie. Miała to we krwi, było to jej drugą naturą. Bez wątpienia, mimo swojej drugiej „kariery” w turystyce, pewnego dnia zostałaaby świetną żoną jakiegoś młodego, majorkańskiego-rolnika-szczęścjarza.

W tym momencie myśli Doogiego nieuchronnie podążyły ku Margaret Hyslop i temu, co szykował dla nich — bądź też wcale nie szykował — los. „Dla nich!” — powtórzył to słowo w myślach. Dlaczego wciąż mu-

siał myśleć o Margaret i sobie jako o parze? Cholera, wyjechał ze Szkocji, żeby spróbować się wyzwolić od tego jej podejścia. „Weź się w garść, O'Mara! Puknij się w głowę!”

— Spodobał ci się sąsiad moich rodziców, Rafael, który pomagał ci przy urodzeniu małej krowy? — spytała m z tego, ni z owego Catalina.

Doogiego zaskoczyło to pytanie.

— Eee... raczej tak — zająknął się. — Tak, sprawiał wrażenie porządnego gościa. I miał krzepę, mocno ciągnął linki. To znaczy, nie dałbym sobie rady bez niego. Tak, przypadł mi do gustu.

Catalina rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie, a potem spuściła wzrok.

— Poprosił mnie, żebym zostawała jego żoną.

— No to gratuluję! — zawołał Doogie, może trochę za szybko i z pewnością trochę zbyt wylewnie. Spróbował wykrzywić usta w czymś, co — miał nadzieję — będzie wyglądało jak zachwycony uśmiech. — Tak. Tak, jak mówiłem, świetny gość. A, eee, twoi staruszkowie. .. no, to znaczy, muszą być bardzo...

— Ja nie mogę — wyrzuciła z siebie Catalina. — Nie mogę ożenić się z Rafael i już mu to mówię. — Spojrzała Doogiemu przelotnie w oczy i spuściła wzrok na kolana. — I już to mówię rodzicom.

Doogie nie wiedział, co powiedzieć. Owszem, podejrzewał, że taki właśnie scenariusz wisi w powietrzu, kiedy jedli kolację na farmie Ensenyatów po tamtym dramatycznym porodzie. Ale od tamtej pory robił też, co mógł, by nie słuchać cichego głosiku w głowie, któ-

ry opowiadał mu o jego własnym udziale w takim rozwoju wypadków.

Rany, najpierw Margaret Hyslop, a teraz to. A Margaret nie przyleciała jeszcze nawet na wyspę! Po jego głowie znów zaczęły szaleć skłębione myśli. Cholera, może niepotrzebnie w ogóle wziął tę dziekanę...

Catalina uratowała go w końcu od tych cierpiętniczych rozważań (prawdopodobnie chcąc ulżyć samej sobie) wyjawiając, że „zrozumienie” z rodziną Rafaela zostało zawarte już dawno. Nie żeby to było coś wiążącego - miała nadzieję, że Doogie to rozumie. Minęło dużo czasu, odkąd wśród majorkańskich rolniczych rodów odbyło się ostatnie zaaranżowane małżeństwo. Ale czasami łudzono się, a nawet zakładano, że jeśli farmer miał jedynaczkę, a jego sąsiad - jedynaka, i obie rodziny posiadały niewiele ziemi, zaręczyny prowadzące do połączenia obu gospodarstw po prostu muszą nastąpić. Catalina popatrzyła na Doogiego wielkimi, smutnymi oczami.

- Biznes to jest biznes, nie?

Napięcie opadło. Doogie uśmiechnął się i pokiwał głową.

- No pewnie! Prawie wszystkie największe dynastie farmerskie w moim kraju powstały właśnie w ten sposób. I dalej powstają! - Zaśmiał się na głos. - A tak zwane rody królewskie, co?

Catalina otarła łzę z oka.

- Ale ja nie mogę, Doogie - pociągnęła nosem, wpatrzona w pustkę przed sobą. - Nie mogę nigdy ożenić z Rafaelem.

Doogie przez chwilę siedział w milczeniu, zbierał myśli i pozwalał Gatalinie robić to samo.

— Trzeba być szczerym z samym sobą — powiedział w końcu, jakby do siebie. - Spójrzmy prawdzie w oczy, ostatecznie decyzje, które podejmujemy za młodu, kształtują resztę naszego życia.

Catalina popatrzyła na niego.

— Trzeba być szczerym z samym sobą — powtórzyła cicho z podziwem wymalowanym na twarzy. — Robisz bardzo piękną myśl.

— Tak, to piękna myśl — zgodził się Doogie ze smutnym uśmiechem — ale chyba pierwszy wpadł na nią niejaki Szekspir.

Znów zapadła pełna zamyślenia cisza. Przerwała ją Catalina.

— Ten, ee, ten list, który znalazłeś w swoim *apartamento*, zanim pojechaliśmy na rodzenie małej krówki tamtego dnia — zaczęła z wahaniem; jej mina sugerowała, że już żałuje poruszenia tego tematu.

Doogie był ciekaw, co za chwilę usłyszy.

— Aha? — przytaknął ostrożnie. Catalina zmagiała się z samą sobą.

— Proszę, to nie moja sprawa, wiem... Doogie poruszył się niezręcznie na krześle.

— Aha? — powtórzył.

— Ten list... on... ten list, był od twoja *novia*, tak?

— *Novia!*

Catalina zebrała się na odwagę.

— Tak — powiedziała zaczerwieniona. — Od twojej młodej pani, twojej *señority* w Szkocji, nie? - Natych-

miast przepaszająco podniosła rękę. — Och, proszę, proszę, nie musisz odpowiadać. To nie moja sprawa. Doogie z rezygnacją ciężko westchnął.

- Nie, nie, nic się nie stało. Jeśli ja ci nie powiem, na pewno zrobi to Angie. — Przerwał. — Ale powiedz mi, dlaczego podejrzewałaś, że ten list jest od... dziewczyny?

Catalina nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

- Dwie rzeczy.

- Tak?

- *Si*. Jeden, twoja mina na twarzy, kiedy czytałeś list...

- Aha? A druga?

Catalina skromnie, cicho się zaśmiała.

- Och, coś, co po hiszpańsku nazywamy *intuición femenina*.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zbieranie informacji

Następnego ranka o siódmej, przed wyjściem do pracy, Doogie zastukał do drzwi starej Marii, mimo że kiedy zajrzał do niej wczoraj wieczorem, mówiła, że czuje się dobrze.

Zapewniła go, że jest tylko trochę zmęczona. Letni skwar, duchota... *Mądre mia*, z każdym rokiem wyczerpywały ją coraz bardziej. Czasami trudno jej było złapać oddech. To zwykle oznaki starzenia się, mc więcej.

— Och, jak ci dobrze, że masz młodzieńczą energię — westchnęła, opadając na fotel i chłodząc twarz ekstrawagancko zdobionym wachlarzem. - *Hombrel* Nie przejmuj się mną - powiedziała z uśmiechem, dostrzegając zatroskaną minę Doogiego. — *Va bien todo*, Boogie. Jest OK!

Doogie mógł jej tylko uwierzyć na słowo. Ale mimo to się martwił. Zastanawiał się, czy wysiłek związany z opieką nad rozbrykanym czterolatkiem nie zaczyna dawać się jej we znaki. Oczywiście nie chciał komplikować spraw Angie. Nie chciał dodawać jej kolejnych zmartwień. Ale może jednak powinien z nią o tym dyskretnie pomówić... we właściwym czasie.

— Ach, *buenos dias*, Boogie! — rozpromieniła się stara Maria, otwierając drzwi i szczypiąc go w policzek. — *Buenos dias*, Don Juan O'Mara!

Zacząła opowiadać, że Catalma dzwoniła do niej wczoraj wieczorem i powiedziała, że Doogie zaprosił ją na obiad. *Carami Restaurante* sir Winstona Churchilla, to brzmiało bardzo wystawnie! Doogie był *un picaro*, łobuzem — próbował zawrócić dziewczynie w głowie szastaniem pieniędzmi i w ogóle.

— To było tylko *menu del dia* za sześć euro - wyznał Doogie ze słabym uśmiechem. — Obawiam się, że żadna dziewczyna nie miałaby po czymś takim nawet lekkich zawrotów głowy.

— Aha, ale Catalina nie jest zwykłą dziewczyną — zauważyła Maria, kiwając Doogiemu palcem przed nosem. Nie, nie, jej mała Gati była nie tylko piękna z wyglądu, choć to było również *muy importante*; miała także piękne serce, serce anioła, serce świętej. Poza tym, i nie należało o tym zapominać, posiadała siłę, lojalność i *carecter* prawdziwej mieszkanki majorkańskiej wsi.

— *Absolutamente incomparable!*

Doogie musiał się w duchu roześmiać z bezczelnych i coraz częstszych prób swatania, które podejmo-

wała Maria. Boże, gdyby tylko wiedziała, jakie z tym się wiążą komplikacje! Staruszka była jednak w dobrym humorze, a w tej chwili tylko to go interesowało. Dobiegające z mieszkania odgłosy Pednta wesoło jedzącego śniadanie potwierdziły, że wszystko było w normie. A rzucona na pożegnanie przez Marię informacja, że Gatalina wpadnie do niej w przerwie na lunch, uspokoiła Doogiego jeszcze bardziej.

Odkąd został „fachowcem”, Doogie przejął od swoich hiszpańskich kolegów zwyczaj zatrzymywania się po drodze do pracy w jednym z licznych małych barów, otwartych już o tak wczesnej porze: nie na *cafe carajillo* zaprawione *coñac* czy *anis*, jak mieli w zwyczaju tubylcy o żelaznych wątrobach, ale na pobudkę w postaci mocnej, czarnej kawy i szybkiego przejrzania leżących na ladzie porannych gazet. Dzisiejszy nagłówek na pierwszej stronie, podobnie jak rozmowy wyłącznie męskiej klienteli, dotyczył tragedii czterastoletniej Dunki, która zmarła wczoraj w szpitalu w Palmie po zażyciu narkotyków — prawdopodobnie ecstasy — w całonocnej dyskotecie w Magalufie.

— *Las drogas!* — zaskrzeczał głośno żujący cygaro taksówkarz. — *Un catdstrofe* dzisiejszej młodzieży!

Jednym haustem wypił kieliszek koniaku.

— *Si*, a brudnych *bastardos*, którzy je sprzedają, należałoby podusić. *Coño!*

Barman, zajęty wycieraniem szklanek, potakująco wzruszył ramionami.

Tak się złożyło, że Doogie pierwsze zlecenie tego dnia miał właśnie w Magalufie. Podłączając węże swojego sprzętu do czyszczenia basenów przy należących do Merryweathera apartamentach do wynajęcia Under-30 Club, wciąż rozmyślał o bezsensownej śmierci dziewczyny. Z powodu hałaśliwych nocnych obyczajów młodych singli, z których składała się klientela, mieszkania te znajdowały się na jednym z mniej eleganckich obrzeży miasta. Jak można było się spodziewać o tak nieludzkiej dla młodych balangowiczów godzinie, nigdzie nie widać było żadnych oznak życia, nie licząc okazjonalnego chrapania czy pierdnięcia, dobiegających z okien brudnego bloku górującego nad basenem.

- Chryste! — usłyszał Doogie czyjś głos — to znów ten cholerny O'Mara!

Przestraszony obrócił się na pięcie i zobaczył rozchełstaną postać swojego niegdysiejszego kumpla ze studiów, Jimmy'ego Browna. Jimmy kolebał się w jego stronę, z bermudami wiszącymi w kroku nisko niczym moszna słonia i zaropiałymi oczami, które w fachowej ocenie Doogiego-weterynarza przypominały odbyty dwóch kotów z ciężkim zatwardzeniem.

Doogie pomachał mu ręką. Jimmy odmachnął butelką z piwem.

— Jezu drogi, najpierw rezydent biura podróży, a teraz czyściciel basenów! — wybełkotał Jimmy. Wyszczrzył się głupkowato i wyciągnął butelkę do Doogiego. — Go tu jest grane, człowieku?

Doogie uprzejmie podziękował za piwo i powiedział mu, że przyczyna jego najnowszej zmiany zawo-

du to długa historia, której szczegóły zanudziłyby go na śmierć.

— No tak, mówią, że smak nadaje życiu różnorodności — wyartykułował mozolnie Jimmy. — Gzy jakoś tak.

Jedno oko miał zamknięte z powodu ostrego słońca, kiwał się w przód i w tył na krawędzi basenu, a jego lewa noga próbowała okrążyć uparcie nieruchomą prawą nogę.

— Tak, i słuchaj... niezła fucha, jak dasz radę, stary. Próbował poklepać Doogiego po ramieniu, ale udało mu się tylko powachlować ręką powietrze.

Doogie uśmiechnął się, obserwując mimowolną akrobatykę kolegi.

— Długa noc, co?

— Belter's... centrum Magalufu... Inny świat. Doogie zmarszczył brwi.

— Belter's. To ten klub, gdzie ta Dunka, co wczoraj umarła, wzięła ecstazy, prawda?

Jimmy z trudem odsunął się kilka kroków od basenu, gdy jego prawa noga na chwilę odzyskała władzę.

— Ecstazy? Belter's? Żaden problem. Bułka z masłem.

Po krótkim poszukiwaniu jego dłoń trafiła do kieszeni bermudów i wyjął garść małych tabletek. Kilka wysliznęło mu się między palcami i potoczyło po płytkach tarasu.

— Widzisz, o czym mowa, synku? — wybełkotał. — Eksy? Żaden problem.

— Ja cię! — Doogiego zatkało. — To cię musiało trochę kosztować!

- Eee tam - odparł Jimmy. Wyglądał na leniwie zadowolonego z siebie. - Dostałem je za darmo.

- Za darmo? - Doogie potrząsnął głową. - Nie łapię.

Jimmy zaczął wyjaśniać, że w klubie w nocy było tłoczno i oczywiście wszyscy rozmawiali o zmarłej dziewczynie. Jakaś hiszpańska laska powiedziała mu, że kręci się tam pełno glin. Po cywilnemu, agentów pod przykryciem. Potem podszedł do niego ten gość, rozglądał się i mówił kątem ust. Wsunął Jimmy'emu kopertę, powiedział, że tabletki w środku są za darmo, jeśli przed jutrzejszym powrotem do Glasgow Jimmy zgodzi się wyświadczyć mu przysługę.

Doogie był zafascynowany.

- Czyli wiedział, że chcesz kupić prochy, zanim jeszcze do ciebie podszedł? To chcesz powiedzieć?

Jimmy wzruszył ramionami.

- No wiesz, jak to jest. Ja i chłopaki wcześniej kilka razy w Belter'sie szepnęliśmy słówko temu i owemu.

Doogie nie mógł uwierzyć, że to byli ci sami, rzekomo wykształceni młodzi ludzie, którym ledwie dwa tygodnie temu na lotnisku policja skonfiskowała paszporty.

- I rozumiem, że wcześniej nigdy tego faceta nie widziałeś na oczy, tak?

Jimmy uśmiechnął się z wyższością pod nosem.

- Już ci mówiłem, stary, może jesteśmy nienormalni, ale nie jesteśmy, kurwa, głupi!

- W takim razie kto to jest? Jimmy wzruszył ramionami.

— No nie znam jego nazwiska, jeśli o to pytasz.

— Dobra, to co o mm wiesz?

— To jakiś pilot wycieczek — powiedział niejasno Jimmy.

— O ile się mogłem zorientować.

— No do ciężkiej cholery! — wybuchnął Doogie. — Nie zastanowiłeś się, czemu ci wciska swój towar? Lokal się roi od policji, facet daje ci za darmo narkotyki, a ty się zgadzasz wyświadczyć mu przysługę? — Z rozpaczą potrząsnął głową. — Gdzie ty masz mózg, Jimmy? Zostawiłeś go na lotnisku razem z paszportem?

Po twarzy Jimmy'ego przemknął słaby uśmiezek. Doogie dobrze się już rozpędził.

— To znaczy, dziewczyna umiera, a ty bierzesz w prezencie te same narkotyki, które ją zabiły. Może nawet z tej samej partii. Nie widzisz, że facet cię nabrał? Wystawiał cię na wypadek, gdyby policja postanowiła wszystkich przeszukać!

Złapał Jimmy'ego za ramiona i potrząsnął.

— A teraz pomyśl, człowieku, pomyśl! Musi być coś, co mi możesz o nim powiedzieć. Na początek może narodowość!

Jimmy podniósł głowę, a w jego oczach zaświtała panika, kiedy zaczęła do niego docierać powaga sytuacji.

— Anglik. Tak, to mógł być Anglik — mruknął. Przerwał, żeby potrzeć czoło i pstryknął palcami. — Tak, angielski akcent i to był ktoś od was... z brygady niebieskich blezerów!

Doogie zaśmiał się kpiąco.

- Chcesz mi powiedzieć, że któryś z naszych chłopaków był w uniformie Merryweathera w Belter'sie w środku nocy? Proszę cię, on by za to wyleciał z roboty.

- Nie, nie, w nocy w Belter'sie nie miał uniformu. Nie, ale pamiętam, że go widziałem wczoraj tu, w ośrodku. Tak, zabierał turystów na wycieczkę autokarem. Ja i chłopaki leżeliśmy, walnęliśmy sobie kilka porannych nad basenem. Nie dało się go nie zauważyć, napinał się i podbijał do lasek. - Jimmy zmarszczył nos. - Jakby był nie wiadomo kim.

Doogie był z każdą chwilą coraz bardziej zaintrygowany. Ponaglał Jimmy'ego, żeby ten powiedział mu coś więcej.

- Którego dnia tu był?

Jimmy musiał się nad tym zastanowić, ale w końcu zdecydował się na przedwczoraj.

- Tak, przedwczoraj. — Uśmiechnął się z zadowoleniem. - Rano po tym, jak w końcu zaliczyłem towara.

- Gratuluję, ale powiedz mi tylko, dokąd jechała ta wycieczka, co?

Nad tym Jimmy nie musiał się zastanawiać.

- Proste! Jechała do jakiejś destylarni w głębi wyspy. Tak, zgadza się, paru chłopaków nawet pojechało. Dostali darmowe próbki tego odjazdowego majorkań-skiego likieru! Nazywają to *herbes*, czy jakoś tak. - Zrobił zadowoloną z siebie minę. - Oczywiście ja byłem za bardzo zmachany, żeby jechać. Laska spod Newcastle. Ostra, ale świetnie się rżnęła. Całą noc się wiła jak pieprzony grzechotnik.

Doogiego zupełnie nie obchodziły pikantne szczegóły erotycznego życia Jimmyego. Pochłaniały go ważniejsze sprawy.

- No, jeśli to prawda, niedługo się dowiem, kto ci wcisnął tabletki ekstazy. Wystarczy, że sprawdzę harmonogram przydziałów Merryweathera ze środy.

Ale Jimmy nie słuchał. Nieobecny wyraz jego twarzy sugerował, że w myślach splata się jak wąż z laską spod Newcastle.

Doogie go szturchnął.

- A jaką konkretnie przysługę miałeś wyświadczyć temu gościowi?

Jimmy zamrugnął oczami.

- A, tak! Przysługa... - Znów sięgnął do kieszeni i wyjął zmiętą kopertę. - Co mam zrobić... dobra, mam przekazać ten adres policji jutro przed odlotem. - Pokazał kopertę Doogiemu. - I mam powiedzieć policji, że facet dostarczający ekstazy dilerowi, który sprzedał ją tej duńskiej lasce, rozumiesz o co mi chodzi, mieszka pod tym adresem.

Doogie wziął kopertę. Serce stanęło mu na chwilę, kiedy przeczytał, co było na niej napisane.

- I nie powiedział ci, jak się nazywa ten ktoś, kto tam mieszka? - spytał.

Jimmy zaprzeczył.

Doogie długo i intensywnie wpatrywał się we wciąż zdezorientowanego kolegę.

- Oczywiście rozumiesz - powiedział zdecydowanym tonem - że nie możesz na to pójść?

Jimmy spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Dobrze, ujmę to tak — ciągnął Doogie. — Co konkretnie zamierzałeś zrobić z tą ecstazy?

Jimmy się zgarbił.

— No zabrać ją do domu i upłynnić...

Przerwał nagle, uświadamiając sobie potencjalne konsekwencje tego, co planował.

— Pomyśl tylko — powiedział Doogie. — Idziesz do *Guardia dvii* na lotnisku, z czapką w rękach, i pytasz, czy mogą ci łaskawie oddać paszport, żebyś mógł wrócić do kraju. A potem radośnie zeznajesz, że wiesz, gdzie jest osoba odpowiedzialna, pośrednio czy bezpośrednio, za śmierć tej dziewczyny. Tak, a przy tym masz w walizce woreczek tego samego narkotyku, który ją zabił. — Potrząsnął głową. — Bardzo ci zależy, żeby spędzić najlepsze lata życia w hiszpańskim więzieniu, co, Jimmy?

— Cholera! — Jimmy przełknął ślinę. — Masz rację! Doogie wyciągnął rękę.

— Dobra, na początek lepiej daj mi wszystkie te tabletki.

— A co ty z nimi zrobisz?

— Spuszczę je do kanału razem z damskimi majtkami, zużytymi prezerwatywami i innymi wakacyjnymi śmieciami, jakie znajdę w filtrach tego basenu.

— Złożył pogniecioną kopertę i schował ją do kieszeni.

— A co do tego adresu, zapomnij o nim. Po prostu się w to nie mieszaj.

Jimmy nie był jednak przekonany.

— Ale ten facet, co mi go dał... To znaczy, to nasz przewodnik. Co będzie, jak na mego wpadnę na lotnisku, czy coś?

- Będziesz twierdził, że go nigdy w życiu nie spotkałeś i tyle. Jutro wsiadaj do tego samolotu, zwracając na siebie jak najmniej uwagi, a potem dziękuj losowi, gdy już cały i zdrowy wylądujesz w Glasgow.

Jimmy Brown wyglądał, jakby ktoś zdjął mu z ramion ciężkie brzemie. Pochylił się do przodu, żeby klepnąć Doogiego w ramię. Tym razem trafił w cel.

- He - powiedział, po raz pierwszy zdoławszy skupić wzrok na twarzy kolegi. - Co ci się stało w nos, stary?

Doogie nie zamierzał wchodzić w ten temat.

- E, nic takiego. - Uśmiechnął się. - Komar mnie ugryzł.

Jimmy cmoknął.

- Uważaj na to, stary. Takie rzeczy potrafią się paskudzić.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sprawy się komplikują

Jeden telefon do biura Merryweathera wystarczył, by potwierdzić podejrzenia Doogiego - Nick Martin faktycznie był rezydentem pilotującym tego dnia wycieczkę do destylarni. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że spalony Jimmy Brown pomylił go z kimś innym w błysku stroboskopów Belter'sa. Ale Doogie nie sądził, by tak było. Nick Martin od dawna żył ponad stan. Bez przerwy przepuszczał więcej, niż pozwalałaby mu pensja z Merryweathera, imponując kolejnym wakacyjnym ciziom w drogich nocnych klubach, a zarazem słynąc ze skąpstwa, kiedy przychodziło do zapłacenia za siebie w niedrogich lokalach, takich jak U Papiego. Nic więc dziwnego, że jego niespodziewane, rozrzutne stawianie wszystkim piwa parę tygodni temu kazało Doogiemu zastanawiać się, skąd się wzięła ta nagła go-

tówka. Jednak do tej pory uważał, że sprzedawanie narkotyków dzieciom na dyskotekach było zajęciem, do którego nie zniżyłby się nawet Nick Martin.

Media robiły wokół śmierci Dunki tyle hałasu, że każdy, kto był zamieszany w rozprowadzanie ekstazy w Belter'sie z pewnością chciałby kryć własny tyłek i przy nadarzającej się okazji podrzuciłby przepustkę do więzienia komuś innemu. Adres Doogiego na kopercie, którą Jimmy Brown na prośbę Nicka Martina miał przekazać policji, powiedział mu wszystko, co musiał wiedzieć. Możliwe, że Nick zamierzał podrzucić mu do mieszkania obciążające dowody, zanim policja zjawiłaby się z nakazem przeszukania.

Oczywiście Doogie miał inne wyobrażenie na temat tego, jak powinien przebiec ten scenariusz, a ważnym elementem jego planu była słynna czujność starej Marii. Jednak ku jego osłupieniu, to nie Maria przywitała go na jego piętrze, kiedy wieczorem wrócił do domu...

- Angie! Go ty tu...? To znaczy, świetnie cię widzieć. Tyle tylko, że, no, spodziewaliśmy się ciebie dopiero za kilka dni!

Ale Angie nie odwzajemniła jego uśmiechu. Oczy miała pełne łez i zaczęła pociągać nosem. Doogie nie potrzebował wyjaśnień.

- To stara Maria, prawda? - spytał z ponurą miną. - Go się stało?

- Wylew - zaszlochala Angie. - Zadzwonili do mnie z biura. Przyleciałam pierwszym samolotem.

- Bardzo jest źle?

- Nie wiem. Dzwoniłam do szpitala z lotniska, kiedy wylądowałam, pół godziny temu. Jest w śpiączce. Tyle mi tylko powiedzieli. - Angie zaczęła wykręcać sobie ręce. - A to wszystko moja wina. Przez chciwość przyjął ten awans na Ibizie. Powinnam była siedzieć tu i zajmować się Pedritem, a nie obciążać nim biedną Marię.

Nie mogąc powstrzymać dłużej łez, ukryła twarz w dłoniach.

Doogie objął ją ramieniem.

- Przestań już, przecież chciałaś jak najlepiej. A stara Maria me pozwoliłaby ci postąpić inaczej. Obdarłaby cię ze skóry, gdybyś nie przyjęła tego awansu.

- Mam tylko nadzieję, że wydobrzeje - chlipnęła Angie i otarła oczy chusteczką. - Naprawdę, młody, nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś...

- Słuchaj - przerwał jej Doogie - nawet o tym nie myśl. - Ścisnął jej ramię. - A teraz chodź do mnie... to znaczy, do ciebie, a ja ci przyrzadzę mocny dzin z tonikiem, co?

- To Catalma znalazła Marię leżącą na podłodze w kuchni, kiedy odwiedziła ją w przerwie obiadowej - wyjaśniła Angie. - Pedrito otworzył drzwi i kazał Gatalime być cicho, bo Maria ma sjęstę. Gatalina zadzwoniła do lekarza, który natychmiast zorganizował przewiezienie Marii karetką do szpitala.

Więcej Angie nie wiedziała.

- A co z Pedritem? - spytał Doogie. - Gdzie on jest?

- Julie w biurze powiedziała, że zajęła się nim Gatalina. - Angie miała udręczoną minę. - W tym

właśnie problem, młody: biuro już zamknięte, a ja nawet nie wiem, gdzie ona mieszka.

Jadąc do Capdelli małą furgonetką czyszciciela basenów, Doogie opowiedział Angie o prawdopodobnym zaangażowaniu Nicka Martina w handel narkotykami i o jego próbie zrobienia Doogiego w nadziei odwrócenia od siebie uwagi policji.

Angie z trudem mogła w to wszystko uwierzyć.

- Mój Boże, co zajebana łajza! - warknęła. - Czyli Szybki Nicky w końcu sięgnął dna!

- No, niżej się upaść już nie da, nawet jak się jest takim płazem jak on. Przecież on ma krew tej dziewczyny na rękach, nieważne, czy osobiście sprzedał jej to ecstasy, czy nie!

- Tak, a wrabianie ciebie to jego sposób na wyrzuty sumienia - o ile jakieś ma - i ratowanie własnej skóry. Co za wredna gnida!

- Hmm, ale żeby jego plan się udał, musi mi podrzucić narkotyki do mieszkania. - Doogie pogładził się po brodzie. - A jak się do niego dostanie? Włamanie nie wchodzi w grę, zdradziłby się.

Angie pokiwała głową, zastanawiając się nad tym. Po chwili głośno wciągnęła powietrze i plasnęła się ręką w czoło.

- O cholera! Klucz!

- Klucz? Jaki klucz?

- Dwa lata temu. Pożyczyłam Nickowi mieszkanie na dwa tygodnie, kiedy byłam w Nottingham u rodziców.

- Pożyczyłaś?

- Tak. Właśnie zostawił żonę. Carmen, Hiszpankę, śliczną dziewczynę. Za dobra była dla tego drania.

- I pożyczyłaś mu mieszkanie?

- Tak, dałam się draniowi namówić pięknymi słówkami. Zresztą to były tylko dwa tygodnie. Wiesz, dopóki nie zorganizuje sobie nowego mieszkania i tak dalej.

Doogie wiedział, do czego to zmierza.

- I nie oddał ci klucza, tak? Angie łajała się w duchu.

- Pamiętam, jak sobie powtarzałam, że będę musiała się o niego upomnieć, ale potem tak jakby zapomniałam. Naprawdę, wyleciało mi to z głowy aż do teraz. - Wierzchem dłoni pacnęła ramię Doogiego. - Słuchaj, młody, lepiej szybko zmieniaj zamek.

Doogie potrząsnął głową.

- Nie, nie ma pośpiechu.

Angie popatrzyła na niego spode łba.

- Chyba żartujesz!

- Nie, mówię poważnie. Po co mu utrudniać? — Doogie pozwolił sobie na uśmiezek zadowolenia z siebie. - To, że on ma klucz, to najlepsze, co się mogło wydarzyć.

Teraz to Angie pokręciła głową.

- Nie nadążam, stary.

- To proste! Popatrz - nie zapominaj, że mój kumpel Jimmy Brown nie wsypie mnie policji na lotnisku, tak?

- Tak, to załapałam, ale...

— Ale Szybki Nicky o tym nie wie, prawda?

— I co z tego?

— To, że będzie planował podrzucić mi narkotyki gdzieś między tym, jak wyjdę rano do pracy, a tuż przed tym, jak Jimmy przyjedzie na lotnisko.

Angie zaczynała rozumieć, do czego Doogie zmierza. Pokiwała głową.

— Może i masz rację.

— Tak, wydaje mi się, że będzie chciał wejść i wyjść z mieszkania niedługo przed tym, kiedy według niego przyjedzie policja narkotykowa z psami i w ogóle.

Angie wciąż miała trochę zdezorientowaną minę.

— Dlatego dobrze by było — ciągnął Doogie — gdyby Nick mógł się dostać do mieszkania bez kłopotów, tak?

Angie podrapała się w głowę.

— Tak, to załapałam, ale...

— A kiedy już tam będzie... — Doogie czekał, aż sama się domyśli.

Po sekundzie czy dwóch sekundach milczenia twarz Angie się rozjaśniła.

— Ach, już rozumiem! Załatwimy go jego własną bronią, tak? Policja będzie od samego początku czekała w mieszkaniu obok czy jakoś tak, wejdą i nakryją go ze spuszczoneymi gaciami — z braku lepszego określenia.

— Otóż to, przynajmniej w teorii. - Doogie przerwał i zrobił strapioną minę. — Ale przekonanie policji, żeby na to poszła, może nie być takie proste.

Angie zastanawiała się nad tym przez chwilę.

- Wiem, o co ci chodzi. Twoja teoria faktycznie brzmi trochę jak wyjęta z odcinka *Columbo*. Trochę ten plan zbyt doskonały, żeby był wiarygodny.

- Możliwe - przyznał Doogie. - Zresztą po takim nagłośnieniu sprawy policja ma pewnie dziesiątki takich „tropów” jak ten do sprawdzenia.

Nagle na twarzy Angie wykwitł uśmiezek.

- Aha, młody O'Maro - powiedziała, postukując się w bok nosa - ale tu właśnie przyda się mętna przeszłość twojej starej ciotki Angie.

- Aha? No to mów!

Spojrzenie Angie zrobiło się rozmarzone.

- Mmm - zamruczała. - Lorenzo Moll. W tamtych czasach był gliną z patrolu. Wielki motor, obcisłe spodnie, wysokie skórzane buty, lustrzane okulary i tak dalej. - Odruchowo wydeła usta, rozkoszując się wspomnieniami, a potem z trudem skupiła się znów na teraźniejszości. - Ale teraz to szyszka w wydziale kryminalnym w Palmie, czy jak oni to tam nazywają. Dlatego zostaw to mi, chłopcze, a me będziesz miał żadnych kłopotów, OK?

Rozmowy o handlu narkotykami i intrygach pozwoliły Angie na jakiś czas zapomnieć o jej własnych problemach. Doogie jednak zauważył, że im byli bliżej Capdelli i farmy Ensenyatów, tym bardziej robiła się cicha i wycofana, wyłamywała sobie palce i pustym wzrokiem gapiała się za okno. Bez wątplenia miała dużo własnych zmartwień - nawet gdyby stara Maria doszła do siebie po wylewie, nie podlegało dyskusji, że czasy

jej opieki nad Pedritem odeszły w przeszłość. Oczywiście zawsze pozostawała szansa, że Angie uda się przekonać szefa Merryweathera, by przeniósł ją z powrotem na Majorkę z powodów osobistych. Jednak nawet gdyby kierownictwo na to przystało, było bardzo mało prawdopodobne, że uda się to zrobić przed końcem obecnego sezonu. A ponieważ Angie wciąż nie miała warunków, by zabrać Pedrita do siebie na Ibizę, nie było dla niej oczywistego wyjścia z sytuacji. Wyraźnie nie dawało jej to spokoju...

— Widzisz, nawet gdybym wróciła tutaj, z dawną pensją — powiedziała po chwili — i tak musiałabym zatrudnić nianię, a jak bym zaczęła jej płacić, byłabym na zerze albo gorzej. Dobra, na Ibizie zarabiam więcej, ale to nic nie zmienia. Dalej muszę znaleźć Pedritowi opiekunkę tutaj, a do tego zapłacić czynsz za większe mieszkanie. — Niepocieszona, pokręciła głową. — Tak czy inaczej nic z tego nie będzie.

Doogie nie wiedział, co na to powiedzieć, więc pozwolił Angie wrócić do jej osobistych rozmyślań.

Wychyła ze swojej skorupy dopiero, kiedy wjeżdżali na podwórko Finca Sa Grua.

— Jak by me było, sama ściągnęłam na siebie swoje kłopoty - oznajmiła ze stoickim spokojem. - Powinnam teraz myśleć o biedaczce Marii.

Z całą pewnością o Marii myślał Pedrito, który grał z Rafaelem w piłkę przed domem. Rozpoznając samochód Doogiego, pobiegł w jego stronę, wykrzykując imię staruszki z nadzieją na twarzy.

— Cześć, Pedrito! — uśmiechnął się Doogie, wysiadając z samochodu. Złapał chłopca pod pachy i podrzucił go do góry.

Ale Pedrita nie interesowały takie zabawy.

— Maria! — powtarzał, a potem wyrwał się i podbiegł do drzwi pasażera. — Gdzie jest Maria?

Angie otworzyła drzwi i ukłękła, by objąć go ramionami.

— Pedrito, Pedrito, Pedrito! - zaczęła, zasypując go pocałunkami. — Tęskniłeś za mną? Całe cztery tygodnie, co? Zaczekaj tylko, aż zobaczysz, co ci przywiozłam z Ibizy!

— *Hola, mama* - powiedział Pedrito, ale z takim brakiem zainteresowania, jakby widział ją ledwie dziesięć minut temu. Wykręcił się z objęć Angie i wyciągnął szyję, żeby zajrzeć do środka samochodu. — Maria - zawołał znów, tym razem z zaniepokojoną miną. — Chcę zobaczyć Marię.

Twarz Angie była studium sprzecznych emocji: zadowolenia, urazy, wyrzutów sumienia, ale przede wszystkim zmieszania. Angie po prostu nie wiedziała, jak sobie poradzić z tą sytuacją.

Doogie znów musiał interweniować.

— Wszystko w porządku, Pedrito — powiedział najbardziej przekonująco, jak potrafił. — Maria z nami nie przyjechała. Musiała troszkę odpocząć, zrobić sobie tak jakby wakacje.

Pedrito odwrócił się i popatrzył na niego smutnym, proszącym wzrokiem.

- Czy Maria poszła do nieba spotkać się z Mariem, Boogie? Angie musiała przełknąć łzy. Odwróciła się bokiem do Pedrita i łamiącym się głosem wyszeptała do Doogiego:

- Mario Lanzarote, kanarek Pedrita. Poszedł, eee, do nieba. Jakiś rok temu.

Doogie uśmiechnął się wesoło i zmierzwił chłopcu włosy.

- Nie martw się o Marię, mały. Niedługo ją zobaczysz, obiecuję. Tak, ona po prostu wzięła sobie urlop, kiedy twoja mama wróciła do domu, to wszystko.

Ale Pedrito nie był bynajmniej przekonany.

- Była bardzo śpiąca, Boogie - upierał się. - Gały czas spała, kiedy ci panowie ją zabrali.

Doogie zrozumiał, że pora na szybkie odwrócenie uwagi chłopca. Wziął Pedrita za rękę.

- Chodź — uśmiechnął się. — Zobaczymy, co u tego małego cielaczka. Pamiętasz go?

- Wypadł z pupy krowy — przypomniał sobie bez entuzjazmu Pedrito, wciąż ze smutną miną. — Wolałbym zobaczyć Marię.

Z domu razem z rodzicami wyszła Gatalina; ich powitalne uśmiechy z trudem maskowały troskę w ich oczach. Stara Maria była w końcu ich sąsiadką od bardzo, bardzo dawna i najwyraźniej wiele dla nich znaczyła. Jednak z uwagi na uczucia Pedrita żadne z nich nawet nie wymieniło imienia staruszki podczas krótkiej, uprzejmej pogawędki, która nastąpiła po tym, kiedy Doogie przedstawił Angie.

W rozmowie okazało się, że państwo Ensenyat bardzo polubili Pedrita i zasypali Angie pochwałami, jak dobrze go wychowała. Nawet lakoniczny zazwyczaj Rafael szczerzył się szeroko i ekscytował się małym *guapo*, który miał *un temperamento adrnirable*.

— *Si* — śmiał się — a prawą nogę jeszcze lepszą! *Claro*, ten *chiquito* któregoś dnia będzie grał w barwach Hiszpanii!

Angie mogła się tylko z wdzięcznością uśmiechać i zapewniać, że zalety chłopca to w żadnym razie nie jej zasługa.

Señora Ensenyat zaśmiała się z niedowierzaniem, a potem wzięła Angie pod ramię i wskazała dom.

— Trzy kobiety pójda do kuchni przygotować kolację — powiedziała — podczas gdy *czterej* mężczyźni — tu poklepała Pedrita po głowie — udadzą się na wieczorny spacer, *paseo*, żeby obejrzyć pola i zwierzęta... Jak to zawsze robią mężczyźni - dodała, puszczając oko -kiedy jest coś do zrobienia w domu.

Doogie zrozumiał, że w ten dyplomatyczny sposób *señora* Ensenyat chce się pozbyć Pedrita, żeby porozmawiać spokojnie o stanie zdrowia starej Marii. Gatalina zamierzała też opowiedzieć matce o kłopotach Angie, a z tego, co Doogie wiedział o *señorze* Ensenyat, ta zaoferowałaby Angielce co najmniej wsparcie słowne. Zresztą i tak niewiele więcej mogła zrobić.

Gzy Pedrito się zorientował, że Doogie nie mówi mu całej prawdy o Marii, tego chłopak nie wiedział, ale z jakiegoś powodu malec podczas męskiego obchodu farmy trzymał się Rafaela. *Señor* Ensenyat z kolei nie

odstępował na krok Doogiego, wypytyjąc o różnice i podobieństwa między Majorką i Arran. Doogie wyczuwał jednak w nim pewne napięcie, wywołane być może tym, że Rafael całkowicie ignorował chłopaka przy każdej próbie włączenia go do rozmowy.

„Jak sobie chcesz” - pomyślał Doogie. Miał na głowie ważniejsze sprawy.

Kiedy w końcu wrócili do domu, zapadał zmierzch. Na Majorce szybko robi się ciemno; słońce chowało się już za szczytami gór Tramuntana, roztaczając po ich poszarpanych zboczach długie wstęgi cieni. Ciepłe, wilgotne powietrze przesycone było niemal namacalnym spokojem: błogą ciszę przerywało tylko podzwanianie dzwonek owiec i poszczekiwanie psa na farmie w oddali. Głębiej w dolinie zapalały się już światła w domach w Capdelli, migocząc jak świetliki unoszące się na tarasach migdałowców. Potem, jakby na dany znak, z ostrolistnego dębu na zboczu góry dobiegły trele słowika.

- Czegoś takiego - powiedział *señorowi* Ensenyat wzruszony Doogie - na Arran pan nie usłyszy!

Kolację podano na stole na *porche*. Choć niewyszukane, ale smaczne jedzenie *señory* Ensenyat doskonale pasowało do oświetlonego blaskiem lamp starego ma-jorkańskiego gospodarstwa, atmosfera była niezręczna. Pod nieobecność Pedrita w kuchni najwyraźniej dużo omówiono, nie było tego jednak jak powtórzyć Doogiemu, dopóki chłopiec był z nimi. Poza tym malec ignorował matkę na rzecz *señory* Ensenyat. Przy stole domagał się jej bliskości i uwagi, co raniło jed-

ną z nich i krępowało drugą. „Może - zastanawiał się Doogie - Pedrito w ten sposób okazuje, co myśli o tym, że matka opuściła go bez należytego wyjaśnienia. Może dzieciak obawiał się, że na zawsze. A może pragnienie towarzystwa *señory* Ensenyat jest naturalną skłonnością do starszej kobiety, do znajomej postaci babci. Do starej Marii, jedyne pewnika w jego niepewnym, młodym życiu”.

Señora Ensenyat traktowała go najserdeczniej jak umiała, rzucając przy tym zakłopotane uśmiechy Angie, kiedy tylko ich spojrzenia się spotykały. Angie tymczasem dzielnie starała się udawać bez troskę, prowadząc po hiszpańsku nadmiernie ożywioną dyskusję z Rafaelem, zachwyconym uwagą, którą poświęcała mu ta „światowa kobieta” o nordyckiej urodzie. Tylko prędkość, z jaką Angie piła, zdradzała jej skrywany niepokój.

Rafael jak automat dolewał jej do kieliszka domowego wina *señora* Ensenyata z glinianego dzbanka.

Catalina szturchnęła Doogiego pod stołem w kolano.

- Chyba Rafa jest *encantado* - szepnęła mu do ucha. — Jest za-uroczoney, nie?

Doogie zerknął nad stołem na ojca Cataliny, Było jasne, że *señor* Ensenyat zauważył to, co mógł uznać za flirt ze strony swojej córki. Jej matka też to widziała. Oboje popatrzyli po sobie, a potem z obawą zerknęli na Rafaela.

Doogie musiał działać szybko. Odchrząknął.

— Tak, poproszę, Catalmo — powiedział głośno — jeszcze trochę sałatki i... ee, *muchas gracias*.

Z psotnym uśmieszkiem Gatalina sięgnęła po miskę i nałożyła solidną porcję sałatki na pełny już talerz Doogiego.

- *Hombre!* - mruknęła, patrząc mu w oczy. - Wiesz, co dla ciebie dobre, si?

W drodze powrotnej do Palma Nova Pedrito szybko usnął Angie na kolanach, dzięki czemu ta miała w końcu sposobność opowiedzieć Doogiemu, co zaszło w kuchni Finca Sa Grua podczas jego *paseo* po farmie. Najpierw Gatalina zadzwoniła do szpitala Son Dureta w Palmie, żeby dowiedzieć się, co z Marią, ale powiedzieli jej tam tylko, że bez zmian, choć jej stan się nie pogarszał. Była na intensywnej terapii i robiono dla niej wszystko, co było możliwe, więc teraz mogli się tylko modlić.

- Ale powiedzieli, że jutro będę mogła ją zobaczyć — rzekła Angie drżącym głosem; zaczynało być widać, ile kosztowała ją udawana przez cały wieczór beztroska. - Muszę do nich zadzwonić przed południem, wiesz, kiedy specjaliści zrobią już obchód i tak dalej.

Załamione oczy Angie lśniły w blasku światełek deski rozdzielczej. Patrzyła na głowę Pedrita, leżącą w zgięciu jej łokcia.

- Popatrz na tę twarzyczkę - powiedziała z uczuciem. - Kciuk w buzi, palec w nosie. - Zaśmiała się zduszonym śmiechem. - Tak wyszedł, mały łobuz. Kosztowało mnie to dziesięć szwów.

Doogie przez chwilę milczał. Rozumiał, że Angie usiłuje poradzić sobie z bólem, który sprawiała jej stopniowa utrata uczuć owocu jej własnego ciała.

— Go z nim będzie, Angie? — spytał tonem zarazem szczerym i pełnym zrozumienia. — To znaczy, co ty teraz zrobisz?

Angie zaczęła chlipać.

— Przepraszam, Angie — powiedział Doogie, żałując, że tak szybko poruszył ten temat. — Posłuchaj, nie chciałem cię zdenerwować, wiesz o tym. Ale, no, chodzi o to...

— W porządku, młody — mruknęła Angie, a potem wytarła nos rękawem. — Wszystko ustalone. — Znów chlipnęła. — To znaczy, Pedrito jeszcze o tym nie wie. Ale... ale... no, wszystko już ustalone.

Doogie zaczekał na szczegóły, ale Angie tylko się skuliła i zaczęła gładzić Pedrita po głowie, nucąc pod nosem jakąś kołysankę. Nadrabiała mnóstwo straconego czasu, rozumiał to.

— *Señora* Ensenyat — zaszlochała w końcu Angie. Jej i tak płaczliwy nastrój potęgowała jeszcze ogromna ilość mocnego, domowego wina *señora* Ensenyata. — Pedrito z mą zamieszka, z matką Cataliny.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Serce czy rozum?

Teoria Doogiego, że w jego mieszkaniu zostaną podrzucone narkotyki, okazała się całkowicie słuszna, ale jeśli myślał, że Nick Martin będzie na tyle nieostrożny, żeby zrobić to samemu, to grubo się pomylił. Wychudzony ćpun, złapany na gorącym uczynku przez znajomego Angie, policjanta Lorenza Molla i jego ludzi, twierdził, że nie wie nawet, kto go wynajął, jednak ktokolwiek to był, z pewnością nie Nick Martin. Cpun tak właśnie zeznał po tym, jak pokazano mu grupowe zdjęcie zrobione przez Angie kilka lat temu na imprezie dla pracowników Merryweathera, na którym był również Nick.

— *Por cierto*, wydałby *señora* Martina, gdyby to był on — powiedział Lorenzo Moll Doogiemu i Angie na korytarzu pod jej mieszkaniem, kiedy ćpuna odpro-

wadzano. — Teraz czeka go samotna cela i narkotykowy głód, więc doniósłby na własną matkę, gdybyśmy dzięki temu mieli potraktować go łagodniej. — Pokiwał głową. — *Si, si*, znam tych narkomanów, wierzcie mi.

W konsekwencji tego, że Doogie wcześniej opowiedział Lorenzowi całą historię, Jimmy Brown został zatrzymany przez detektywów na lotnisku, zanim dostał swój paszport i mógł wsiąść do samolotu do domu. Kazali mu podpisać oświadczenie z jego wersją wydarzeń i uprzedzili, że w razie konieczności będzie musiał wrócić na wyspę, żeby złożyć zeznania w sądzie. Niezależnie od tego, jak cwany usiłował być Nick Martin, wciąż nie udało mu się całkowicie odsunąć od siebie podejrzeń. Jeśli bowiem to nie on stał za całą intrygą, jakim cudem intruz z paczką ecstasy zjawiłby się pod adresem Doogiego dokładnie o czasie, i to jeszcze z kluczem do mieszkania?

Dla Lorenza Molla jednak wciąż był to dowód zbyt poszlakowy. On i jego koledzy mieli przed sobą dużo pracy, zanim mogliby oskarżyć Nicka Martina o przestępstwo, które - o ile zostałby uznany winnym — posłałoby go na kilka lat za kratki. Natychmiastowe przeszukanie jego mieszkania okazało się bezowocne. Nick był dość sprytny, by „nie srać we własne gniazdo”, jak barwnie ujęła to Angie. Lorenzo Moll miał jednak wystarczająco dużo powodów, by go zatrzymać i przesłuchać. Nick Martin nie mógł mieć wątpliwości, że każdy jego ruch będzie od tej pory obserwowany. Choć był wolny, to pozostawał podejrzany, a policja wychodziła z założenia, że jeśli dać

mu dość liny, w końcu się na mej powiesi — i, jak miał nadzieję Lorenzo Moll, zabierze ze sobą jeszcze paru podobnych sobie.

— Z tego, co wiem, Lorenzo ma obowiązek zgłosić to wszystko Manolowi w biurze Merryweathera — powiedziała Doogiemu Angie, pijąc kim z wina na balkonie mieszkania. - Choćby nieoficjalnie. Bo to starzy kumple, znają się od dawna.

— Dobrze — powiedział Doogie. — To mi oszczędzi kłopotu.

Angie była zaskoczona.

— Czyli się nie boisz, no wiesz, że Manolo może dostać szału?

— Na mnie się nie wścieknie. — Doogie wzruszył ramionami. — Jestem czysty jak łąza. Ale — dodał, rozkoszując się tą myślą — interesująco będzie popatrzeć, co zrobi z Szybkim Nickim, kiedy Lorenzo mu o wszystkim tym opowie.

— No, nie chciałabym być w skórze Nicka — powiedziała złowieszczo Angie - bo możesz mi wierzyć, zostanie w to wciągnięty Sam Merryweather.

— I bardzo dobrze! W końcu chodzi o dobre imię jego firmy.

Angie przez chwilę w milczeniu się nad czymś zastanawiała.

— Wciąż nie rozumiem, czemu Nick zachował się tak nieostrożnie i dał wszystkie te tabletki twojemu kumplowi w klubie.

— Dwie pieczenie na jednym ogniu, to wszystko.

— Słucham?

— Pomyśl tylko. Nick poszedł wtedy do Belter'sa z kopertą pełną ecstazy na sprzedaż, może nawet nie wiedział, że właśnie umarła ta Dunka, dopóki ktoś mu nie powiedział, że dyskoteka roi się od gliniarzy po cywilnemu.

— Tak, tak, może nie nazywam się Holmes, ale tyle załapałam — najeżyła się Angie.

— W porządku, czyli musiał wpaść w panikę, tak? Myślał tylko o tym, żeby się pozbyć tych tabletek, tak? A możliwe, że już doszły go słuchy, że Jimmy szuka działki. Dodajmy do tego, że jego chory umysł dostrzegł w tym szansę dokopania mi, i gotowe. — Doogie się zgarbił. — Miał po prostu pecha, że wybrał kogoś, kogo znam, a ja miałem szczęście, że wpadłem na Jimmy'ego.

Angie pokiwała głową i napiła się wina.

— Co za dupek!

— Tak, jeśli dobrze pamiętam, nazwałem go kiedyś końską dupą z zębami. — Doogie zaśmiał się smutno. — Powinienem chyba przeprosić wszystkie końskie dupy, co?

Angie znów się zamyśliła.

— Chodzi mi o pieniądze — powiedziała w końcu. — Tego nie rozumiem.

Doogie na nią popatrzył.

— O pieniądze?

— Tak. To znaczy, mówiłeś, że tabletki, które dał Jimmy'emu, musiały być warte jakieś trzysta funciaków.

— Co najmniej.

— A ile było warte to, co ten ćpun próbował tu podrzucić?

— Dwa razy tyle, może więcej. — Doogie wzruszył ramionami. — Znam się na tym tak samo jak ty.

— A ćpun musiał dostać zapłatę za swoją robotę, prawda?

— Na pewno. Ten, kto go dla Nicka wynajął, też musiał dostać parę groszy. — Doogie zastanowił się nad tym. — Dobrze, może ćpun miał dostać zapłatę w prochach po robocie, ale widzę, do czego zmierzasz. Nick Martin musi zapłacić swojemu dostawcy za towar, który jest albo w kanałach pod mieszkaniem Under-30 Club, albo w rękach policji. Około tysiąca?

Angie kiwnęła głową i znów napiła się wina. Doogie pogładził się po brodzie.

— Hmm, a nie może już nic więcej sprzedać, bo obserwuje go policja.

— Właśnie.

Twarz Doogiego wykrzywił kpiący uśmiech.

— Na pana miejscu, panie Martin, zacząłbym się obawiać o swoje kolana. A żeby go zacytować: „jaka szkoda, taki miły gość”.

Instrukcje Sama Merryweathera co do postępowania z Nickiem Martinem były krótkie i miłe dla ucha...

— Wywal łajzę! — powiedział Manolowi przez telefon ze swojego biura w Anglii. W oczach Sama każdy gnojek podejrzewany o handel narkotykami był winny, dopóki nie udowodnił swojej niewinności; Merry-weather nie chciał, żeby takie psie gówno zasmradzało mu interesy. I tak Nick Martin niespodziewanie usłyszał od Merryweather Holidays: *adiós*.

Doogie dostał tę wiadomość na komórkę, kiedy czyścił basen w hotelu Tiempo Alegre po południu tego samego dnia. Kazano mu się też stawić w biurze z samego rana — w uniformie rezydenta! Skoro Nick Martin wyleciał z zespołu, nie można było sobie pozwolić na dalszą nieobecność Doogiego, z obitym nosem czy me.

Choć Doogie czuł pewien żal, że musi zakończyć swoją krótką karierę czyściciela basenów, ucieszyła go serdeczna atmosfera, jaką zastał wieczorem w mieszkaniu. Angie i Pedrito byli w świetnych nastrojach, wrócili właśnie ze szpitala Son Dureta, gdzie usłyszeli doskonałe wieści o starej Marii. Kobieta odzyskała przytomność, a jej lekarz z radością mógł powiedzieć, że choć daleko jej było jeszcze do pełnego zdrowia, wylew nie pozostawił żadnych poważnych skutków. Jednak tak jak Doogie i Angie przewidywali, konieczna była długa rekonwalescencja, a potem spokój i brak stresu.

Wszystko to jednak była przyszłość. Na razie liczyło się tylko to, że Maria żyła i dochodziła do siebie. Ku jeszcze większej uldze Angie, staruszka zdołała nawet potrzywać Pedrita za rękę i wyszeptać mu, że nie wybiera się w najbliższym czasie do kanarka Mario.

Jakby tych powodów do świętowania było mało, Catalina po drodze do domu wpadła do nich i podzieliła się dobrą wiadomością, że awansowała z pomocy biurowej na rezydenta-stażystę i zaczyna od jutra — dzięki, oczywiście, nagłemu i niespodziewanemu odejściu Nicka Martina.

— Gratulacje i witamy w domu wariatów — rozpromienił się Doogie. Uściskał ją mocno; Gatalina równie mocno ten uścisk odwzajemniła, a Doogiemu nie spieszyło się, by się z niego wyswobadzać.

Pocałowała go w oba policzki, ale z dużo większym zapalem, niż Hiszpanie z reguły wkładają w swoje cmoknięcia przy takich okazjach.

— Och, Doogie — zagruchała — to mi daje takie szczęście.

— Tylko bez seksu, proszę! — skarciła ich Angie, a potem otworzyła szampana i zapiszczała z radości, kiedy bąbelki popłynęły na podłogę. — Chyba że z moim udziałem!

— Ehem, przepraszam — odezwał się od drzwi damski głos. — Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam, ale drzwi były otwarte i pomyślałam...

— Jezu Chryste! — Doogiego zatkało; obejrzał się i wytrzeszczył oczy. — To ty!

— Owszem — odparła lodowatym tonem Margaret Hyslop. — Ciebie też miło widzieć!

Doogie wciąż stał, obejmując Catalinę, jak przyklejony do podłogi. Szczeka opadła mu całkowicie.

Angie, bardziej zajęta uważaniem, by nie rozlać więcej szampana, napełniała właśnie kieliszki.

Pedrito, który właśnie wyszedł z łazienki, gapił się na Margaret ze spodniami wokół kostek i palcem w nosie.

Margaret patrzyła na to wszystko wzrokiem, od którego mogłoby się zsiąść mleko. Rzuciła plecak na podłogę.

— Jak już skończysz obściskiwać tę dziewczynę, Doogie — warknęła — może łaskawie przedstawiłbyś mnie swoim... przyjaciółkom!

— Wow, imprezka! — zapiszczała Senga McDuff, wmaszerowując z korytarza jak tania imitacja Dolly Parton z dwutygodniową majorkańską opalenizną i malinkami na szyi. — Znajdzie się jeszcze jedno miejsce, Doogie, skarbie?

— Możesz wziąć sobie moje, skarbie! — prychnęła Margaret. Porwała z podłogi plecak, zawróciła na pięcie i wymaszerowała z mieszkania. — Nie mam zwyczaju odwiedzać burdeli! — krzyknęła jeszcze.

— Jezusie Chrystusie wszechmogący! — mruknął Doogie, wyswobadzając się z objęć Cataliny. — No to się porobiło!

— Powiedziałam coś nie tak? — spytała Senga z miną udawanej niewinności, a potem przedstawiła się Angie i Gatalinie.

Doogie wybiegł na balkon.

— Zaczekaj, Margaret! — wrzasnął na całą ulicę. — To nie tak, jak myślisz! Wszystko ci wyjaśnię! Naprawdę!

— Pierdol się, O'Mara, zasrany zboku! — brzmiała kulturalna odpowiedź.

— Nadęta zdzira — mruknęła Angie, a potem podała Doogiemu pełny kieliszek szampana. — Oczywiście, to nie moja sprawa. — Uśmiechnęła się. — Zdrowie!

— Posłuchaj, me chciałam przeszkadzać — powiedziała Senga przybitemu Doogiemu. Zmierzyła wzrokiem Catalinę. — Widzę, że jesteś zajęty. Nie, jadę właśnie na lotnisko. Glasgow wzywa. Kazałam taksów-

karzowi mnie tu na chwilę wysadzić. Byłam tylko ciekawa, jak wygląda twój nos i twoje, ee, inne części. Doogie gapił się w podłogę.

— Bardzo dobrze, dzięki — mruknął nieobecny głosem. — Świetnie, że wpadłaś akurat w tej chwili. — Uśmiechnął się z ironią. — Jak mówiłaś ostatnio, jestem ci jednego winien.

— Zapomnij — zapewniła go Senga i ruszyła do drzwi w niewidzialnej chmurze tanich perfum. — Do usług, kotku - zawołała przez ramię. - *Ciao*, wielkoludzie!

Odświętna atmosfera zupełnie zniknęła.

— Już rozumiem, czemu wzięłaś sobie wolne — powiedziała Angie do Doogiego między łykami szampana. — To znaczy, tak szczerze, twoja przyjaciółka Margaret me jest zbyt hojnie obdarzona, jeśli chodzi o uprzejmość, co?

— Śmierdzi siuškami — wtrącił Pedrito.

Angie pochyliła się, żeby mu podciągnąć spodnie.

— To ty sam brzydko pachniesz, skarbie. Naucz się lepiej celować.

— Myślę, że przyjaciółka Margaret ma nieszczęście, że ja cię całowałam, Doogie — powiedziała Gatalina ze smutną miną. — W Szkocji nie ma zwyczaj całować z gratulacjami, nie?

— Nie, om przy gratulacjach wymieniają się haggisami i kawałkami węgla — zażartowała Angie, chcąc tchnąć w nich trochę wesołości. — Tak, całują się tylko, jak się szturchają.

— Sztu... szturchają? — spytała Gatalina, robiąc wielkie oczy.

— Ona cię nabiera — powiedział Doogie, mimowolnie rozbawiony zjadliwym poczuciem humoru Angie.

Gatalina spojrzała na Angie z całkowitym niezrozumieniem.

Ze sprośnym rechotem Angie powiedziała jej coś w *mallorqmn* — tylko kilka słów, plus towarzyszące ruchy biodrami. Gatalina gwałtownie się zaczerwieniła. Doogie zrozumiał, że słowo „szturchać się” zostało jej należycie wyjaśnione.

Ponura atmosfera bynajmniej się nie rozwiązała.

— No dobrze — westchnęła Angie po dłuższej chwili wpatrywania się w milczeniu w dwójkę młodych towarzyszy. — Przy zabawie czas ucieka, co? — Spojrzała na zegarek. - Lepiej położę Pedrita spać. A przy okazji, Doog — dodała — stara Maria nalega, żebym spała u niej, więc możesz z powrotem wziąć łóżko. Nie musisz już dzisiaj spać na kanapie, na pewno cię to ucieszy.

Wychodząc, przystanąła przy krześle Doogiego i położyła mu rękę na ramieniu.

— Żadna konkurencja, młody — mruknęła, ruchem głowy wskazując Gatalinę. — Twoja miss Arran, szkoła wdzięku rocznik 2008, nie może nawet nosić za nią toreb.

Puściła oko do Gataliny.

— A ty nie siedź tu za długo z tym włochatym Szkotem, skarbie. Nie na darmo nic nie noszą pod kiltami.

Słaby uśmiech Gataliny świadczył, że nie miała pojęcia, o czym Angie mówi. „I bardzo dobrze” — po-

myślał Doogie. Wystarczyło mu, że jedna dziewczyna uważa go za seksualnego maniaka.

Kiedy Angie i Pedrito wyszli, Doogie i Gatalina siedzieli przez chwilę w niespokojnym milczeniu, Doogie na krześle przy stole, Gatalina na kanapie pod ścianą. Pierwszy raz byli naprawdę sami, ale zakłopotanie, jakie czuł Doogie po niewczesnym pojawieniu się Margaret i jej melodramatycznym wyjściu, za bardzo mu doskwierało. Mógł myśleć tylko o tym. Myśli goniły jedna drugą, wyobrażał sobie możliwe konsekwencje tego wydarzenia. Jak to musiało wyglądać dla Gataliny, kiedy wybiegł tak i krzyczał za Margaret? Boże, co za mięczak! A co do Angie — bardzo fajnie, że dorzuciła swoje trzy grosze. Ale to nie było takie proste. W końcu tu mogła się ważyć cała jego przyszłość.

To Catalina w końcu przerwała milczenie.

— Myślę o ta przyjaciółka Margaret - powiedziała cicho — ona cię chce bardzo *mucho*, nie?

— Margaret chce wszystkiego bardzo *mucho* — mruknął przybity Doogie. — W tym właśnie problem.

Znów zapadła cisza.

— Ja myślę, że ona ma duże uparcie, *si!* - ciągnęła Gatalina.

— Należałoby powiedzieć, że jest bardzo uparta, ale wiem, o co ci chodzi.

— Si', i będzie walczyć, żeby zatrzymać swojego Doogie. To widzę.

— Aleja nie jestem jej Doogiem. O to właśnie chodzi. To znaczy, ja przede wszystkim przyjechałem tu dlatego, żeby uciec przed jej nastawieniem.

Nagle Doogie uświadomił sobie, że musi wyglądać, jak rozczulający się nad sobą egoista. Podeszedł i usiadł obok Gataliny. Wzięła go za rękę i lekko ścisnęła.

- Słuchaj, przepraszam, Gati — powiedział. — Masz swoje problemy z Rafaelem i w ogóle, to po co ja mam ci opowiadać o swoich...?

Gatalina przyłożyła mu palec do ust.

- Ale ja nie mam *problemu* z Rafael. Powiedziałam mu prawdę o tym, co jest tu, w moim *coruzón*. — Położyła sobie dłoń na sercu, a potem spuściła wzrok. -A ty wiesz, co jest w twoim, Doogie?

Doogie obawiał się, że wie, ale jak dotąd udawało mu się nie przyznawać do tego przed samym sobą. Cholera, i bez tego sytuacja była skomplikowana! Spróbował zabrać dłoń, ale Catalina tylko mocniej ją ścisnęła.

- Naprawdę wiesz, co masz w sercu, Doogie? — spytała, patrząc mu w oczy.

Doogie odwrócił wzrok. W głowie znów miał gonitwę myśli i rozpaczliwie usiłował zdecydować, na którą postawić. Ale tym razem w wyścigu o jego emocje brał udział zupełnie nowy zawodnik.

Catalina to wyczuła.

- Naprawdę wiesz, Doogie? - powtórzyła. Doogie westchnął ciężko i objął ją ramieniem.

- Tak, chyba tak, ale może boję się do tego przyznać, to wszystko.

- Czemu boisz? - Catalina położyła mu głowę na piersi. — Mówiłeś mi słowa *señora* Szekspira, pamiętasz? Zawsze bądź szczery ze sobą?

- Ach, gdyby to tylko zawsze było takie proste - powiedział Doogie. - Wiesz, studia i tak dalej. To znaczy, nie będę tu pracował dla Merryweathera całe życie.

Nie puszczając dłoni Doogiego, Gatalina wstała.

- Może - uśmiechnęła się - ale mamy też w *mallorquin* powiedzenie... „Słuchaj swojego serca, kiedy walczy z twoją głową. Bo potem łatwiej leczyć głowę, co boli, niż złamane serce.”

Doogie znów westchnął.

- Tak, coś w tym chyba jest, pewnie, ale to niczego nie ułatwia.

Gatalina pociągnęła go do siebie, tak że musiał wstać, i pogroziła mu palcem.

- Ale jeśli słuchasz swoje serce, kiedy przyjdzie dzień wyjechać z Majorki... - Zaprowadziła go na balkon i oparła głowę na jego ramieniu. - Patrz — powiedziała, wskazując słońce zachodzące nad Morzem Śródziemnym za palmami. - Możesz mieć taką chwilę z przyjaciółką Margaret?

Jej nieoczekiwana obcesowość sprawiła, że Doogie się zaśmiał.

- Nie, raczej nie. Nie z przyjaciółką Margaret. I na pewno nie na Arran.

Gatalina spojrzała mu w oczy.

- I ja też będę walczyć, żeby zatrzymać swojego Doogie. *Si*, przyjaciółka Margaret zobaczy.

Doogie z trudem przełknął ślinę i dotknął palcem nosa Gataliny.

- Odwróć te hiszpańskie oczy. - Wskazał swoje serce. - Robią dziwne rzeczy z moim szkockim *corazón*.

- A to nie są przyjemne rzeczy? - spytała Catalina wyzywająco.

Doogie wiedział, do czego to zmierza, i choć bardzo go ta perspektywa pociągała, wiedział, że w tym konkretnym wyścigu musi dać wygrać pragmatyzmowi.

- Chodź - powiedział, zdecydowanie prowadząc Catalinę do środka. - Odwiozę cię do domu, zanim twoja matka zacznie się martwić.

Catalina odwróciła się i zastawiła mu drogę do drzwi.

- Nie, nie, moja matka się nie będzie zmartwiona.

- Ależ będzie - upierał się Doogie. - Wiem, że będzie. Spójrz tylko, która godzina.

Catalina przechyliła głowę z dziwnym wyrazem twarzy, na który składała się ciekawa mieszanka poczucia winy, zaskoczenia i zadowolenia z siebie.

- Widzisz, mówię dzisiaj mojej matce, że zostaję u Angie i Pedrita.

Znów wzięła Doogiego za rękę i zaprowadziła go do sypialni. Przystanęła w drzwiach i położyła mu rękę na piersi.

- A teraz chodź, mój Doogie - szepnęła - to twoja Cati nauczy cię, jak słuchać swoje serce.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przeszłość powraca

Następnego ranka, kiedy Doogie i Gatalina weszli do biura Merryweathera, powitała ich burza dobrodusznych gwizdów i docinków dziewczyn.

- O ho, ho! To już przychodzimy razem do pracy, tak?

- No, no, a skąd ten uśmiezek na twarzy, Gatalina?

- W końcu cię dopadł czyściciel basenów? Wszystko to zagłuszył serdeczny rechot Ingrid.

Kiedy docinki ucichły, Jamajczyk odciągnął Doogiego na bok.

- Cześć - wyszczerzył się. - Wsadziłeś Nickowi Martinowi kij w szprychy, co?

- Sam go sobie wsadził. - Doogie wzruszył ramionami. - To wszystko jego własna zasługa.

Uśmiech Ingrid został zastąpiony wyrazem troski.

- Ale wyleciał z roboty na zbity pysk.

- Ma szczęście, że w ogóle jest wolny, z robotą czy bez - warknął Doogie. - Jak myślisz, co o tym sądzą rodzice tej Dunki?

Ingrid podniósł ręce.

- Hej, hej, słońce, spokojnie! Jestem po twojej stronie, pamiętasz?

- Tak, przepraszam, Ingrid, nie chciałem się na tobie wyżywać. Nie, chodzi tylko o to... no, dlaczego kogoś miałby obchodzić los Nicka Martina? Sam to na siebie ściągnął.

- Ach, ale ty nie rozumiesz, o co mi chodzi. -W głosie Ingrid pojawił się delikatnie karcący ton. -Nie, ja myślę o twoim losie, a nie Szybkiego Nicky'ego, tak?

- Chodzi ci o to, że znowu wracam do harówki jako pilot? - zażartował Doogie. - Tak, trochę ciężko po tej przyjemnej fuszce z basenami, ale spokojnie, jakoś przeżyję.

Ingrid zrobił poważną minę.

- Nie chodzi mi o pracę, słońce. Ja mówię o twoim osobistym bezpieczeństwie, łapiesz?

Doogie odwzajemnił jego spojrzenie, ale bez zrozumienia.

- Dobrze - ciągnął Ingrid - mówimy tu o Nicku Martinie, tak? A to wredny sukinsyn, uwierz mi. O tak, na pewno będzie winił ciebie za to, że dostał po dupie.

Doogie zmarszczył czoło.

- Może i tak, ale to nie...

- Po prostu uważaj na siebie, słońce. Tyle tylko chcę powiedzieć, OK? - Ingrid rzucił Doogiemu jeden ze swoich wielkich jak ćwiartka arbuza uśmiechów, a potem palnął go w ramię. - A teraz zobaczmy, jaką przyjemną robótkę mamy dziś dla ciebie naszykowa-ną, co?

Przyjemną robótką naszykowaną dla Doogiego było - jakby zgadł - przewożenie głuptych odchodów autokarami. W tę i z powrotem, autokar pełen czerwonych i obłazących ze skóry turystów z hoteli na lotnisko, a potem na pozór te same twarze (choć tym razem białe jak mleko) w drugą stronę. Niekończąca się lawina pytań, skarg, problemów, alkoholowych komplementów i tym samym zainspirowanych obelg miała jednak ten plus, że pomagała Doogiemu nie myśleć o przytłaczających go komplikacjach życia osobistego. Chociaż nie do końca.

Catalinę przydzielono do punktu informacyjnego Merryweather Holidays na lotnisku, więc widywał ją czasami w dzień. Machała do niego radośnie, kiedy truchtał w oddali, wiodąc za sobą spocone, objuczone bagażami hordy, rozpaczliwie pragnące albo zdążyć na odprawę przed wszystkimi innymi, albo zająć najlepszą pozycję w kolejce do autokaru. Scenariusz, podobnie jak twarze, nigdy się nie zmieniał - zmieniały się tylko nazwiska na listach.

Mimo to Doogie cały czas gdzieś w głębi ducha myślał o Catalinie. Co miał z nią zrobić? Najwyraźniej traktowała bardzo poważnie to, co się między

nimi działało, a musiał przyznać, że w idealnym świecie z wielką przyjemnością pozwoliliby, żeby sprawy potoczyły się naturalnym torem. Ale to nie był świat idealny. Bynajmniej. Nieważne bowiem, jak bardzo Catalina teraz się przeciw temu burzyła, coś mówiło Doogiemu, że jej „zaaranżowane” małżeństwo z ponurym Rafaelem w końcu stanie się faktem. W jej kraju tak się po prostu robiło. Tak czy inaczej, przyjdzie kiedyś czas, że znudzi jej się posiadanie cudzoziemskiego *novio* takiego jak Doogie, czy romansowanie w atmosferze „światowej wolności”, którą otwierała przed nią jej nowa praca. Tak, wróci któregoś dnia do swoich wiejskich korzeni, do Capdelli, żeby zostać żoną rolnika. Tego Doogie był pewien - a przynajmniej próbował.

Dalej, wracając do jego niedoskonałego małego świata, była Margaret. Margaret Hyslop, klucz do zabezpieczenia przyszłości Doogiego i, co za tym idzie, jego szczęścia. A raczej to Margaret chciała, żeby tak myślał. Boże, gdyby tylko jej wczorajsze wymaszerowanie z hukiem z jego życia było czynem definitywnym, a nie tylko jednym z jej regularnych fochów, czy dobrze przećwiczonych napadów złości... Gdyby tylko. Cholera, gdyby tylko trzymała się z dala od niego przez ten jeden przeklęty rok!

„Zameldowałam się w hotelu Tiempo Alegre w Magalufie - głosił liścik przypięty do drzwi Doogiego, kiedy wrócił wieczorem do domu. - Przyjdź do mnie o ósmej. Margaret.”

Ponieważ dochodziła dziewiąta, Doogie miał już wyobrażenie, w jakim Margaret będzie nastroju, kie-

dy w końcu pojawi się w jej hotelu. A pojawić się musiał, bo doświadczenie uczyło, że Margaret cały czas na niego czekała i nie zamierzała przestać. Gdyby nie pojawił się dziś, ta sama sekwencja wydarzeń zostałaby powtórzona jutro. Albo, gorzej jeszcze, Margaret wypytałaby w biurze o jego rozkład dnia i napadła go podczas którejś z tras autokarem.

- Widzę, że dzisiaj bez haremiku - powiedziała w ramach powitania, kiedy Doogie wszedł do hotelowego baru. - A może idą za tobą w obstawie eunuchów?

- Bardzo zabawne, Margaret - mruknął Doogie, a potem usiadł ciężko przy jej stoliku w rogu, wybranym, jak przypuszczał, ponieważ stał najdalej od wesoło bawiącej się, turystycznej gawiedzi przy barze. - Gzy raczej byłoby to zabawne - poprawił - gdybym wiedział, o co ci chodzi.

- O tego małego cygańskiego wycierucha, którego obmacywałeś, kiedy wpadłam wczoraj do twojej jaskini niegodziwości - prychnęła Margaret. - O to mi chodzi! Nie wspominając już o tych dwóch angielskich dziwkach i brudnym, małym gołodupcu z pięścią w nosie.

Doogie uśmiechnął się kpiąco.

- Aż tryska z ciebie sympatia do ludzi, co Margaret?

Przyszedł kelner, by przyjąć ich zamówienia.

- Dla ciebie cola czy jakiś sok? - spytał Doogie Margaret. —
A może na razie wystarczy ci jad?

Margaret parsknęła z pogardą i odwróciła głowę.

Doogie zamówił dla siebie piwo.

- *Muy bien*, Panie Słoneczko - uśmiechnął się kelner. - Zaraz przynoszę jak zwykle san miguela, *amigo*.

Na twarzy Margaret odmalowały się szok i niedowierzanie. Z rozdziawionymi ustami popatrzyła za odchodzącym kelnerem, potem odwróciła się do Doogiego.

- Pan Słoneczko! - zakrztusiła się, jakby właśnie wepchnięto jej do ust żywego szczura. - Dobrze słyszałam, ten kelner nazwał cię Panem Słoneczko?

„Wolałbym, żeby nie - pomyślał Doogie. - Ale do diabła z tym! Po co oszczędzać jej szczegółów?”.

- Widziałaś dziś przy basenie animatora zabaw dla dzieci? - spytał.

- Tego... tego klauna?

- Tak, tego klauna. Margaret się skrzywiła.

- I co z nim?

- Tylko to, że jeszcze do niedawna to byłem ja. -Doogie przez chwilę smakował ogłupiałą minę Margaret, potem dodał:

- I pewnie zauważyłaś też jego asystentkę?

Kiwnęła głową.

- A z nią co?

- Tylko to, że moją była Gatalina, ten mały cygański wycieruch, którego widziałaś wczoraj w mojej jaskini niegodziwości. - Uśmiechnął się przyjaźnie. - I co, Margaret, co ty na to?

Margaret spojrzała na sufit i w udęcie potrząsnęła głową.

- Catalina, tak? Jesteś po imieniu z miejscowymi flądrami, tak? - Popatrzyła na Doogiego z wściekłością, rozdymając nozdrza. - Rozumiem, że ten na wpół nagi bachor w twoim mieszkaniu należał do jej coraz liczniejszego miotu bękartów z różnych ojców? Zgadza się?

Doogie postanowił nie odpowiadać, czekał z pokerową twarzą na następny werbalny szturm Margaret. Nie musiał czekać długo.

- Popatrz tylko na swój nos! - Skrzywiła się z odrazą na widok blizny, a potem wskazała własny nos. -Boże, nie mów mi, że jeszcze zacząłeś się bić!

Obejrzała się ze złością na grupę mieszkańców hotelu, którzy głośno przemieszczali się z sali jadalnej do baru.

- Kto przy zdrowych zmysłach chciałby się w ogóle zadawać z taką bandą neandertalczyków, nie wspominając już o biciu się z nimi? - Zerknęła przelotnie na merryweatherowski blezer Doogiego. - W sumie tak, jak się wejdzie między majorkańskie wrony...

Tym razem to Doogie prychnął z pogardą.

- Takich samych neandertalczyków, jeśli już tak ich mamy nazywać, spotykamy w wakacje na Arran, nie zapominaj.

- Tym większa szkoda.

- Ale twój ojciec nie ma problemu z tym, żeby brać od nich pieniądze za zszywanie ich rottweilerów, pitbuli czy czego tam innego, prawda?

- To zupełnie inna sprawa - odparła wyniośle Margaret. - Tu chodzi o etykę zawodową.

- W tym rzecz! A gdyby pewna banda twoich kumpli z medycyny z uniwerku w Edynburgu miała jej choć odrobinę, moja twarz tak by nie wyglądała po tym, jak próbowałem ratować im skórę!

Margaret odwróciła wzrok, znów zadzierając nosa.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym ty mówisz.

- W tym też rzecz, Margaret. I jeśli przestaniesz się choć na chwilę tak nadymać i wyciągać pochopne wnioski, opowiem ci, jak było - ze wszystkim. Jeśli cię to w ogóle interesuje!

Wciąż patrząc gdzieś w bok, Margaret wzruszyła obojętnie ramionami. Ale im bardziej rozwijała się opowieść Doogiego, tym bardziej zmieniała się jej postawa. Stopniowo odwróciła się twarzą do niego; oparła łokcie o stół i nie spuszczała z niego wzroku.

- I to by było tyle - zakończył. - Senga McDuff i Angie może i nie mają super klasy, ale dla mnie to wciąż anioły - całkowicie obce osoby, które były dla mnie dobre i nie robiły wokół tego szumu. A co do Ga-taliny - to po prostu fajna, nierozpuszczona wiejska dziewczyna, której pochodzenie nie różni się od mojego. Mała farma, ciężko pracujący rodzice. - Przerwał i ściągnął brwi, patrząc gniewnie na Margaret. - I tak się składa, że me jest większym wycieruchem niż moja siostra Mo.

Margaret, wyraźnie przybita, ze spuszczonego wzrokiem zaczęła wykręcać palce.

- Ale ty nie traktujesz jej jak siostry, prawda, Doogie?

Choć Doogie przeczuwał, że tak mniej więcej będzie brzmiało jej pytanie, poczuł się trochę zaskoczony.

- A czemu tak myślisz? — spytał ostrożnie. Margaret spojrzała mu w oczy.

- Spałeś z nią?

Doogie był przyzwyczajony, że Margaret nie owija niczego w bawełnę, ale teraz jej obcesowość zupełnie zbiła go z tropu.

- Ja, ee, ja... przecież właśnie ci powiedziałem, że ona się nie puszcza - wybełkotał.

Margaret uśmiechnęła się z wyższością i znów spojrzała na swoje palce.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie, prawda? Doogie rozsądnie milczał.

- Można pożyczyć? - spytał jakiś turysta, wskazując dwa puste krzesła przy ich stoliku. W samą porę.

- Tak, tak, proszę uprzejmie, przyjacielu. Bierz. Doogie skinął głową kilkorgu znajomym klientom

Merryweathera przy barze, czekając na następny atak Margaret. Nie przyjechała taki kawał tylko po to, żeby wysłuchiwać jego historii, co do tego miał pewność!

- Tata i mama o ciebie pytają - powiedziała w końcu, kreśląc palcem kółka na stole.

- To miło z ich strony - odparł Doogie. - Podziękuj im ode mnie. Mam nadzieję, że u obojga wszystko dobrze.

- Ojciec się o ciebie martwi, Doogie. - Ton Margaret był teraz delikatny, jej palec zataczał kręgi coraz bliżej dłoni Doogiego. — Wiesz, on po prostu nie rozumie, czemu tak przerwałeś studia.

Doogie westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Właśnie zadałem sobie dużo trudu, żeby to wyjaśnić, Margaret, ale widzę, że ty też nic nie zrozumiałaś, prawda?

Margaret zareagowała, jakby w ogóle tego nie usłyszała.

- Daj spokój, Doogs - powiedziała tonem, który dla Doogiego zahaczał o protekcyjność - za dużo nas łączy, żebyśmy teraz pozwolili cemukolwiek, komukolwiek stanąć nam na drodze. - Rozejrzała się po sali i machnęła ręką w nieokreślonym geście. - To wszystko, cała ta głupia zabawa w rezydenta, umówmy się, to nie dla ciebie. Dobrze, przyznaję, niektórzy ludzie, których tu poznałeś, może me byli tak źli, jak pomyślałam w pierwszej chwili, ale mimo wszystko... to znaczy, bądźmy szczerzy, Doogie, to nie są ludzie dla ciebie.

Zagrzała się do podjęcia tematu, wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Doogiego. Jej nieco zdesperowane spojrzenie kojarzyło mu się ze spojrzeniem właścicielki szczeniaka, która po raz ostatni prosi swojego pupila, żeby przestał srać na dywan, bo będzie musiała mu przyłożyć.

- Słuchaj - ciągnęła ze zdwojonym naciskiem. - Ojciec mówi, że chce przejść na emeryturę, jak tylko skończysz studia. Nie ileś tam lat później, ale od razu, kiedy dostaniesz dyplom. Marzy mu się, żeby wreszcie pograć w golfa. - Nachyliła się bliżej i szepnęła z podnieceniem: - Pomyśl tylko, praktyka byłaby twoja! Tylko twoja!

Doogie zabrał rękę.

- Wiesz, że zawsze będę wdzięczny twojemu ojcu za tę szansę — powiedział, usiłując zignorować ukłucia wyrzutów sumienia. — To więcej, niż to, o czym młody weterynarz mógłby marzyć, wiem, ale jak już tłumaczyłem. ..

- Do tego my - przerwała mu Margaret. Jej twarz promieniała entuzjazmem. — Jest tak, jak zawsze planowaliśmy, Doogie. Pomyśl tylko. Przy odrobinie szczęścia... — Uniosła wzrok ku niebu i złożyła dłonie w udawanej modlitwie. - Przy odrobinie szczęścia skończę studia w tym samym czasie co ty. - Nakreśliła się już na całego. - A, nie uwierzyłbyś, stary doktor McFarlane zaproponował mi partnerstwo. Tak, i on też za kilka lat przechodzi na emeryturę! - Rozłożyła ramiona. - Widzisz, Doogie? Wszystko się ułoży tak, jak chcieliśmy!

Doogie potrząsnął głową.

- Ale w tym właśnie problem, Margaret. Nie my, tylko...

Margaret jak walec przejechała po tym, co chciał powiedzieć. Z oczami błyszczącymi obłąkańczą gorączką zadała cios łaski.

- Musisz tylko jak najszybciej rzucić te głupoty z Merryweatherem, najpóźniej do końca miesiąca, jeśli naprawdę musisz tu jeszcze zostać, i we wrześniu będziesz mógł zacząć nowy semestr w Edynburgu! -Zanim Doogie zdążył odpowiedzieć, z uśmiechem wetknęła jeszcze jedną szpilę: - Dobrze, może i nic nie zyskałeś na tej przerwie w karierze, ale miejmy nadzieję, że i nic nie straciłeś, hmm?

Doogie mógł się tylko w duchu zaśmiać. Albo złapać ją za gardło. Mimo to, pod całym tym jej wygrażaniem i presją, wciąż widział pozostałości mniej skomplikowanej, a bardziej zadowolonej z życia Margaret, którą znał z dzieciństwa. Margaret, którą naprawdę kochał jak młodszą siostrę. Och, zawsze lubiła się rządzić, już jako małe dziecko, ale zawsze miała też sympatyczniejszą stronę. I nigdy nie była samolubna. Rozpuszczona - owszem, bo tak ją wychowano, ale nigdy nie samolubna... Oczywiście jako dziecko. Ta cecha rozwinęła się w niej dopiero później, w szkole średniej, o ile Doogie dobrze pamiętał. Żądza sukcesu, pragnienie bycia najlepszą we wszystkim, co robiła, zostały zaszczerpione Margaret w młodym wieku przez jej zapobiegliwego ojca. Podobnie ojciec Margaret zrobił z Doogiem, kiedy wziął go pod swoje weterynaryjne skrzydła. A Doogie pierwszy przyznał, że ta lekcja dyscypliny bardzo mu się później przydała.

Ale z Margaret było inaczej. Posiadała naturalną łatwość uczenia się i szybko odkryła, że nie musi bardzo ciężko pracować, żeby wybijać się znacznie ponad poziom rówieśników. W konsekwencji zaczęła poświęcać swój ponadprzeciętny potencjał umysłowy na inne rzeczy. Walczyła ze szkolnymi uprzedzeniami wobec tego, co powszechnie uważano za „bycie kujonem”, wyrabiając wokół siebie aurę wszechwiedzącej wyższości, pełnej opanowania, wyniosłości, prawie ślepej ambicji. Od tego już tylko mały krok dzielił ją od egoistycznej, nieczułej i, jak to ujęła Angie, nadętej osoby, którą była teraz.

Doogie jednak wiedział, że kryło się za tym coś więcej. Pamiętał drogie prezenty, którymi jej stosunkowo starzy rodzice zasypywali ją jako dziecko - ku zazdrości wszystkich innych dzieci we wsi. Ale dopiero dużo później, kiedy kapryśne hormony dojrzewania rozbudziły w nich emocje, zrozumiał, że w idyllicznym na pozór rodzinnym życiu Margaret brakowało jednego ważnego elementu — miłości. Wierzyła, na swój coraz bardziej wypaczony sposób, że ten brakujący składnik odnajdzie w trwającym od lat związku z Doogiem - jednak, zaślepiona swoją żądzą zdobycia go, osiągnęła skutek wręcz przeciwny.

Doogie patrzył na nią nad stołem, na jej twarz jaśniejącą nadzieją. Ta sama mina tak często go rozbrajała, kiedy — gdy byli dziećmi — nagle wyciągała funtowy banknot z kieszeni i kazała mu iść kupić lody z furgonetki, która zatrzymywała się, dzwoniąc dzwonkami, pod domem jej ojca. I miała rację co do tego, co powiedziała kilka minut wcześniej. Faktycznie bardzo dużo ich łączyło i Doogie nigdy rozmyślnie by jej nie skrzywdził, nieważne jak bardzo dokuczała mu jej natarczywość. Poza tym, kto wie, może jej plany wobec ich dwojga któregoś dnia faktycznie by się ziściły. Ale... i to było wielkie „ale” — Doogie wciąż potrzebował czasu i przestrzeni, żeby wszystko to przemyśleć samemu, zanim mógłby podbudować czy zburzyć jej nadzieje. A na razie wiedział, że jedynym sposobem na Margaret jest postępować z nią stanowczo.

- Przykro mi, Margaret - powiedział - ale moje stanowisko pozostaje takie samo, jak wtedy, gdy wy-

jeźdzałem ze Szkocji. Skończę roczny kontrakt tutaj, a potem zobaczę, co przyniesie przyszłość. Margaret zrzędnęła mina.

— Ale mój ojciec — zaprotestowała — on oczekuje, że...

— Zaczekaj chwilę, Margaret! Napisałem do twojego ojca i opisałem mu, co myślę, zanim rzuciłem studia. Teraz to samo wytłumaczyłem ci drugi raz. — Zgarbił się. — To moje życie i musisz to uszanować.

Margaret zerwała się z krzesła i wygładziła ubranie, wyniośle zadzierając przy tym głowę.

— Dobrze, Doogie, myślę, że wystarczająco jasno dałeś do zrozumienia, o co ci chodzi. — Ruszyła do wyjścia, ale przystanąła przy Doogiem, który też wstał, i uśmiechnęła się chłodno. — Wyjeżdżam z samego rana. Z powrotem na kontynent, spotkać się z przyjaciółmi.

Doogiemu nagle zrobiło się jej żal, tak jak się spodziewał.

— Och, ja... rozumiem — wyjąkał. — Tego, eee, chciałem spytać, czy coś jadłaś. Jest tu taka fajna knajpka tuż za...

— Już jadłam, dziękuję. Nie mogę się przyzwyczaić do tego dziwnego, hiszpańskiego zwyczaju jedzenia w porze snu.

— Kiedy wejdiesz między wrony? — zasugerował sucho Doogie.

— Miło było znów cię widzieć - odparła beznamiętnie. — Przy okazji, wrócę na Majorkę ze znajomymi, w drugiej połowie przyszłego miesiąca. Chcą tu

pochodzić po górach, powspinać się, czy coś takiego. Jak już zwiedzimy Andaluzję i, nie wiem, może kawałek Portugalii.

„Niektórzy to mają dobrze” - pomyślał Doogie.

— Żyjemy w dwóch różnych światach, Margaret, prawda?

— Ale mój świat stoi przed tobą otworem, Doogie — odparowała, patrząc na niego z niedostrzegalną wręcz nutką błagania. Doogie uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Muszę tylko pobiec do furgonetki łodziarza, tak?

Margaret spuściła głowę, usiłując ukryć łzy, które nagle wezbrały jej w oczach. Wyjęła chustkę i wydmuchała nos.

— Cholerna alergია!

Doogie patrzył, jak próbowała odzyskać panowanie nad sobą. Jej widok w takim stanie był dla mego bardzo przykry, i gdyby byli gdzieś indziej, niż w zatłoczonym barze hotelu Tiempo Alegre, pocieszyłby ją ciepłym uściskiem, którego teraz potrzebowała. W głębi ducha wiedział, że gdzieś pod tą twardą skorupą tkwi sympatyczna, mała Margaret Hyslop z dawnych czasów. Zeby ją stamtąd wydostać, potrzeba było kogoś cierpliwego, wyrozumiałego i, przede wszystkim, gruboskórnego. Ale z drugiej strony — kto oprócz Doogiego znał ją wystarczająco, by w ogóle tego się podjąć?

Nachylił się i pocałował ją lekko w czoło.

— Do widzenia, Margaret. Uważaj na siebie. Do zobaczenia w przyszłym miesiącu, tak?

Podniosła wzrok, z drżącą brodą mimo zawziętości, która powróciła do jej zaczerwienionych oczu.

— Tylko żebyś sobie do tego czasu poukładał w tym durnym łbie, O'Mara! — warknęła. — To rozkaz!

Z tymi słowy odwróciła się i wymaszerowała, z głową uniesioną, plecami wyprostowanymi, przedzierając się przez morze neandertalczyków, jak okręt wojenny pod pełnymi żaglami.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nieoczekiwany podarunek

Nagła wizyta Margaret pozostawiła Doogiego skołowanego i jeszcze bardziej zdezorientowanego niż dotąd. Był zadowolony, że akurat rozpoczął się szczyt sezonu, bo naprawdę nie miał czasu na nic poza pracą, pracą i znów pracą — i odrobiną snu, jeśli mu się udało.

Zycie rezydenta Merryweather Holidays było teraz dokładnie takie, jak opisała Angie, kiedy oderwany od Arran i całkowicie rozbity Doogie przyjechał na wyspę. Co by nie mówić, tych kilka tygodni nauczyło go wielu rzeczy o życiu, o ludziach, a nawet o nim samym — rzeczy, których wcześniej nie był nawet świadomy. Cieszyło go to. Ale czy jego nowe położenie, wymagające od niego zaradności i sprytu, pomogłoby mu teraz w podjęciu najważniejszych decyzji dotyczących

własnej przyszłości? To już była oczywiście inna sprawa. Doogie kusilo, by pozwolić presji codziennych zajęć zepchnąć to wszystko na dalszy plan.

Praca na różnych zmianach sprawiała, że jego kontakty z Cataliną stały się nieregularne i przelotne: zazwyczaj zamieniali ze sobą tylko kilka słów, kiedy Doogie przelatywał obok informacji Merryweathera na lotnisku, niczym dorosła wersja szczurołapa z Hameln. Catalina tymczasem wydawała się zadowolona ze swojego nowego stanowiska, choć Doogie widział, że brak sposobności widywania się z nim wcale się jej nie podoba. Jemu też nie, musiał przyznać, choć robił, co mógł, by tego po sobie nie pokazać. Wmówił sobie, że biorąc pod uwagę wszystkie ostatnie wydarzenia, zahamowanie tego, co się między nimi działo, wyszłoby wszystkim na dobre.

Angie, po swojej traumatycznej wizycie u starej Marii, niechętnie wróciła na Ibizę. Mimo nieustających rozterek, nagła i ciężka choroba staruszki zmusiła ją, by wzięła byka za rogi i w końcu wyjaśniła Pedritowi powód jej przedłużających się nieobecności. Od tamtej pory maluch mieszkał u swojej tymczasowej „rodziny zastępczej”, na farmie rodziców Cataliny, z wesołą rezygnacją.

— Dużo czasu spędza na *finca* Rafaela — powiedziała Doogiemu Catalina podczas jednej z ich przelotnych rozmów na lotnisku. — Rafael hoduje króliki — wyjaśniła — oczywiście do garnka, ale pozwolił Pedritowi bawić się z młodymi w zagródce z siatki, którą specjalnie do tego celu zbudował. *Si*, coraz bardziej się zaprzyjaźniali, Rafael i Pedrito.

Doogie ucieszył się na tę wieść, ale był też trochę zazdrosny, choć właściwie sam nie wiedział, dlaczego. Może obraz Rafaela, dostarczającego maluchowi prostych przyjemności życia na farmie, przywołał mu na wpół zagrzebane wspomnienia własnego dzieciństwa, kiedy to jego ojciec był jeszcze młodym mężczyzną. A może, niemal podświadomie, sam pragnął powrócić do tego nieskomplikowanego, wiejskiego stylu życia, niezależnie od tego, jak bardzo było to nierealistyczne i niemożliwe do spełnienia marzenie. Rzeczywistość była taka, że na razie był rezydentem biura podróży, bez grosza przy duszy, do tego na tymczasowej umowie, i czekały go jeszcze trzy lata skromnego studenckiego życia w Edynburgu. A potem? Cóż, potem miałyby w zasięgu ręki gwiazdkę z nieba... jeśli tylko Margaret wciąż by chciała... Ale czy był gotów zapłacić tę cenę? I czy naprawdę chciał sięgać akurat tych gwiazdek? Takie właśnie dylematy bezustannie nękały Doogiego. Cholera, Rafael nie wiedział nawet, jaki z niego szczęściarz. Miał farmę, z której żył, nawet jeśli na skromnym poziomie, oraz bardzo realną perspektywę - w co Doogie wciąż wierzył - że spędzi resztę życia z dziewczyną tak cudowną, jak Catalina. Ale, abstrahując od wszystkiego innego, Majorka była ich światem, tutejszy styl życia — ich dziedzictwem, a Doogie był tu zaledwie przyjezdnym cudzoziemcem.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że na dłuższą metę mniej go zaboli posłuchanie przekazanej przez Margaret rady starego Hyslopa — żeby pod koniec przyszłego miesiąca rzucił pracę

u Merryweathera i wrócił na studia do Szkocji. Tak naprawdę czy mógł zrobić coś innego? Dłuższy pobyt na Majorce jedynie odsunąłby o rok zdobycie dyplomu, a także jeszcze bardziej skomplikował życie jego i Cataliny, czego prawdopodobnie oboje by pożałowali. Doogie musiał pogodzić się z faktem, że los wytyczył im różne kursy. Po prostu. A im szybciej przestanie z tym walczyć, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych.

Wtedy właśnie los postanowił zainterweniować — wykorzystując osobę starej Marii.

Maria wciąż dochodziła do siebie po wylewie i została przeniesiona ze szpitala Son Dureta w Palmie do sanatorium w górskiej wiosce Valldemossa, jakieś osiemnaście kilometrów na północ od miasta. Doogie obiecał Catalinie, że kiedy tylko uda im się zorganizować wspólny wolny dzień, zawiezie ją tam kaszlakiem, wiernym starym renault 5 Angie. Dzień ten nadszedł szybciej, niż się spodziewał — za sprawą, jak domyślał się Doogie, sprytnej żonglerki harmonogramami przydziałów w wykonaniu swatających ich dziewczyn z biura. Być może za subtelną namową Cataliny.

Tuż po dziewiątej Doogie zatrzymał się na podwórku Finca Sa Grua. Dzień zapowiadał się niezwykle upalnie.

— Ruszyliście w dobrym kierunku — powiedziała im *señora* Ensenyat, wachlując się wytłoczką po jajkach i podlewając geranium w doniczkach, zdobiące *porche* przed domem. — *Si*, w Yalldemossie zawsze

było świeże, chłodne powietrze. Och, Gatalina zaraz wróci — zapewniła Doogiego, wyczuwając w nim pewne napięcie.

Zaprosiła go, by usiadł w jednym z dwóch starych foteli przy drzwiach.

Gatalina zawiozła właśnie Pedrita do przedszkola w Gapdelli. Chodził tam teraz trzy razy w tygodniu. Zabawa z innymi dziećmi miała mu poprawić humor. Jej i jej mężowi też dobrze by to zrobiło — pierwsza to przyznawała. Nie byli już tak młodzi jak kiedyś i zapomnieli, jak wyczerpujące może być zajmowanie się czterolatkiem. Tak czy inaczej uznali, że lepiej, by Pedrito nie wiedział o dzisiejszej wizycie Gatalmy i Doogiego u starej Marii. Chciałby koniecznie jechać z nimi, a widok staruszki mógłby go bardzo zasmucić, akurat, kiedy chłopiec właśnie przyzwyczajał się do mieszkania z nowymi „dziadkami”. Z lekkim uśmiechem *señora* Ensenyat odstawiła konewkę i poszła do domu. Wyłoniła się po chwili z dwiema szklankami świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. Podała jedną Doogiemu i opadła na drugi fotel.

— *Madre mia!* — sapnęła. — *Que alivio!* Co za ulga!

Doogie w milczeniu rozkoszował się atmosferą: zapachem starych jutowych worków, ułożonych w schludny stosik przy jego fotelu, zapachem pierza dwóch gdaczących kur, z zapalem dziobiących spieczony kurz u jego stóp, sennym ćwierkaniem wróbli ukrytych gdzieś w liściach starej palmy przy bramie. Słuchał warkotu traktora w oddali, pracującego na jednym z górskich tarasów, potem spojrzał w dół, w stro-

nę domów Capdelli, w których w większości pozamykane już zostały okiennice w obawie przed białym żarem dnia.

Señora Ensenyat podchwyciła jego nastrój.

— Piękna jest dolina Capdelli, nie?

— Cudowna — zgodził się Doogie, wciąż podziwiając widok. — To prawda — przyznał — nigdy me widziałem piękniejszej. Wieczór, noc, a teraz rano. O każdej porze dnia inna, i za każdym razem na swój sposób piękna inaczej.

Señora Ensenyat uśmiechnęła się i pokiwała głową. Podążyła za jego spojrzeniem w głąb doliny i napiła się soku pomarańczowego.

— Tęsknisz za życiem na wsi, Doogie — powiedziała cicho. — Wiem. To widać. Obserwowałam cię — z daleka, jak chodzisz po polach - i z bliska, jak ratujesz życie zwierzęciu.

Doogie nie odpowiedział. Nie musiał. Wiedział, że ta urocza kobieta, którą spotkał dotąd tylko trzy razy, potrafi go wyczuć równie łatwo, jak jego własna matka. Coś stanęło mu w gardle, kiedy uświadomił sobie nagle, jak bardzo tęskni za rodzicami, za tym, że po prostu byli przy nim, kiedy ich potrzebował. Tęsknił za magicznym ciepłem rodziny, której obecność zawsze czuł, nieważne, jak był daleko od domu. Bardzo przydałyby mu się teraz rady mamy i taty.

— Cati też będzie za tym wszystkim tęsknić — ciągnęła w zamyśleniu *señora* Ensenyat. Odwróciła głowę i spojrzała na Doogiego. — Kiedy wyjedzie.

Doogie zdołał się pocieszająco zaśmiać.

— Nie, bez obaw. Ona nigdy stąd nie wyjedzie. Za bardzo do tego wszystkiego przynależy.

Señora Ensenyat się zawahała.

— A jej praca w Merryweather *turismo*? — spytała z nutką zmieszania w głosie. — Uważasz, że to na nic?

Doogie nie wiedział, co odpowiedzieć. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było umniejszanie znaczenia pracy Cataliny. Według mej i jej rodziców była ona przecież najprawdopodobniej wstępem do lukratywnej kariery, jednak pewnie okaże się typowym merry-weatherowskim przekrętem z „doświadczeniem zawodowym”. Doogie zastanawiał się, jak to ująć...

— Nie, nie, to dobra okazja - skłamał. - To znaczy, wie pani, jeśli to właśnie chciałyby robić. — Ostrożnie zważył następne słowa. — Tyle tylko, że, no, nie sądzę, żeby Gatalinie zależało na takim życiu. Szczerze mówiąc, uważam, że jest na to za dobra. — Znów zmusił się do śmiechu, mając nadzieję, że udaje wystarczająco niezainteresowanego. — Nie, nie, któregoś dnia tu wróci jako żona farmera. Zobacz pani.

Tym razem to *señora* Ensenyat się zaśmiała. Jej śmiech był jednak głośny i serdeczny i sprawił, że Doogie też się uśmiechnął, choć sam nie wiedział, dlaczego.

— Myślisz o Rafaelu — powiedziała rozweselona. — Myślisz, że moja Gati i Rafael któregoś dnia będą... — Urwała i energicznie potrząsnęła głową, a z jej twarzy zniknął uśmiech. - Nie, nie, to się nigdy nie zdarzy. Nigdy! Znam moją Cati. To nowoczesna dziewczyna, wie, czego chce i kogo chce. *Si*, i to me jest Rafael!

— Naprawdę? — Doogie przełknął ślinę, ale powstrzymał chęć spytania, czy to ktoś, kogo zna.

Señora Ensenyat znów jakby czytała mu w myślach. Skierowała wzrok na dolinę i zaczęła ponownie wachlować się wytłoczką. Z jej oczu zniknęły wszelkie ślady wesołości.

— Niedługo wracasz do Szkocji, Doogie, dalej się uczyć na *veterinario*?

Zaskoczony Doogie nie wiedział, co odpowiedzieć.

— No, tak, ale może nie tak niedługo — wyjąkał. — Ale, tak, chyba ma pani rację. Prędzej czy później będę musiał, wie pani, podjąć jakąś decyzję co do...

Señora Ensenyat położyła mu rękę na ramieniu.

— Jest nam bardzo droga — oznajmiła cicho, ale z nieskrywaną troską. — Rozumiem, że masz własny świat, do którego chcesz wrócić. I dlatego proszę, nie krzywdź jej. Proszę.

Męki szukania właściwej odpowiedzi oszczędziło Doogiemu hałaśliwe przybycie starożytnego citroena 2GV Ensenyatów. Choć był starym i zardzewiałym rzęchem, dziewczyna, która z niego wysiadła, w oczach Doogiego pasowałaby do limuzyny na festiwalu filmowym w Cannes. Nigdy wcześniej takiej Cataliny nie widział. Kiepski uniform Merryweathera nie oddawał jej sprawiedliwości. Z uśmiechem jasnym jak słońce szła, potykając się, przez podwórko; biała, bawełniana sukienka podkreślała złotą opalenizną jej rąk i nóg, a ściągnięte włosy ukazywały klasyczną, śródziemnomorską urodę jej twarzy. Gdyby Doogie nie widział jej wcześniej, ten widok całkowicie zawróciłby mu w głowie.

— *Hola, mama!* — zawołała Gatalina do matki, choć nie spuszczała wzroku z Doogiego. Podbiegła do niego, jakby witała dawno zaginionego bohatera i zwyczajowo cmoknęła go w oba policzki. Potem objęła go za szyję i szepnęła mu do ucha, z ustami ukrytymi przed czujnym wzrokiem matki:

— *Te quiero, Doogie.*

Doogie osłupiał i było to po mm widać. Nigdy wcześniej żadna dziewczyna nie powiedziała mu, że go kocha, a przynajmniej nie na poważnie i na pewno nie przy swojej matce!

— Eee, ja też — mruknął głupio. Słowa wyrwały mu się z ust jakby bez udziału woli.

Gatalina zachichotała i objęła go ramieniem w pasie. Oparła mu głowę na piersi i popatrzyła na matkę.

— Pięknie razem wyglądamy, mój przystojny Szkot i ja, nie? — spytała lekko, jakby pytała o godzinę.

Senora Ensenyat uśmiechnęła się i odparła, że faktycznie.

Ale Doogie dostrzegł ślad troski w jej oczach oraz niepokój w uśmiechu — i wiedział, dlaczego. Miał również świadomość, jak głębokie stały się jego uczucia do Cataliny. Nieważne, jak bardzo próbował sobie wmówić, że zerwanie z nią byłoby w jej najlepszym interesie, teraz dostrzegł, że gdyby to zrobił, okazałby się samolubny i okrutny.

Im lepiej poznawał Catalinę, tym bardziej rozumiał, jak trafnie opisała ją stara Maria. Gatalina była wyjątkowa. Nie była piękna jedynie z urody, ale miała też wspaniały charakter, czysty, pełen radości i wielko-

duszności, których Doogie nie doświadczył u nikogo innego. Ktoś mógłby powiedzieć, że to po prostu naiwność wiejskiej dziewczyny, ale on wiedział, że tak nie jest. Gatalina była po prostu wyjątkowa. A jego wyjazd złamałby jej serce. Nie było sensu wmawiać sobie, że jest inaczej, bo jego serce też by pękło. A jej matka i ojciec? Dobrzy ludzie, których zdążył już polubić. Zranić ich byłoby prawie jak zranić własnych staruszków.

Mimo to musiał stawić czoło rzeczywistości... w ten czy inny sposób.

Jakby czytając w jego myślach, *senora* Ensenyat podeszła do niego i pogładziła go po policzku wierzchem dłoni.

- Rozchmurz się, Doogie - powiedziała. - Problemy jutra mogą nigdy nie nadejść, więc po co pozwalać, żeby psuły ci dzień dzisiejszy?

Z tymi słowy pocałowała ich oboje na pożegnanie i kazała przekazać pozdrowienia starej Marii, a potem wygoniła ich do samochodu.

- I pamiętaj - zawołała do Doogiego, kiedy otwierał drzwi Gatalinie - opiekuj się naszą dziewczynką.

Gatalina zwawo usiadła na fotelu.

- A ja dopilnuję, żebyś się zaopiekował - mruknęła do Doogiego, spojrzała mu w oczy i powoli wsunęła opalone kolana do samochodu.

- Będę się opiekował, obiecuję - krzyknął Doogie do *señory* Ensenyat, mimowolnie jodłując.

- Podoba ci się moja nowa sukienka? — spytała nieśmiało Gatalina.

Doogie odpalił małego renault.

— Wyglądasz ślicznie. Tak, absolutnie oszalamiająco - odparł. Starał się zachować spokój, ale nie trafił ręką w dźwignię zmiany biegów. - A teraz, ee, którądy mam jechać?

Catalina zaśmiała się, a potem kazała mu skręcić w prawo na końcu drogi prowadzącej do farmy.

— Pojedziemy górską drogą na Andratx.

Za pierwszym zakrętem zobaczyli mężczyznę na traktorze, wiążącego w snopki siano na polu.

— To mój ojciec — ucieszyła się Catalina. Nacisnęła klakson i pomachała mu przez szyberdach. Ojciec odwrócił się i też jej pomachał. Jego koszula była mokra, a twarz lśniła od potu.

— Rany, w takim upale to musi być morderstwo — mruknął Doogie. — A on potem jeszcze musi to wszystko pozbierać i poukładać. Hej! - powiedział, wpadając na pomysł. - Może uda się nam wrócić wcześniej. Minęło sporo czasu, odkąd przerzucałem bele siana. Świetnie by mi to zrobiło na...

Catalina zdecydowanym ruchem położyła mu rękę na kolanie.

— *Absolutamente* no! — Nachyliła się i skubnęła zębami jego ucho. — Dzisiaj jesteś dla mnie, nie dla siana!

„To może być wewnętrzna sprzeczność” — pomyślał Doogie, wnioskując po tym, jak Catalina się od rana zachowywała.

„Lepiej niech pan się skupi na prowadzeniu, panie O'Mara — ostrzegł sam siebie. — Pamiętaj, co obiecałeś jej matce!”

Skupienie na prowadzeniu okazało się niezbędne. Kiedy opuścili farmę Ensenyatów, droga zaczęła się wíć w górę przez pofałdowany krajobraz porośnięty gajami migdałowców, coraz rzadszymi, w miarę jak mały samochódzik wspinał się wyżej i wyżej. Już wkrótce droga przylegająca do zbocza góry Sa Grua, zaczęła ostro zakręcać. Obwisłe gałęzie starych sosen trzymały się, na przekór grawitacji, pionowych, pokruszonych zboczy. Doogie zmieniał biegi już tylko między pierwszym i drugim, co wyjątkowo utrudniała mu dłoń Ca-taliny na kolanie.

- *Lo siento* - przeprosiła, a potem z błyskiem w oku przesunęła rękę na udo, gdzie, jak powiedziała, przeszkadzała znacznie mniej. Zaczęła nucić jedną z majorkańskich ludowych piosenek, którą śpiewała dzieciom w „Klubie Pana Słoneczko” w hotelu Tiempo Alegre. Doogiego urzekła dziecięca czystość jej głosu, choć nie było nic dziecięcego ani czystego w tym, jak jej mały paluszek powoli kreślił ósemki w miejscu niebezpiecznie bliskim punktowi, od którego zaczyna się mierzyć wewnętrzną długość nogawki.

- Mówiłaś chyba, że chodziłaś do szkoły klasztornej - powiedział Doogie drżącym głosem, pokonując wąski, ostry zakręt wykuty w litej skale.

Catalina pokiwała głową, nie przerywając nucenia. Doogie podchwycił jej spojrzenie i wskazał jej dłoń.

- No, tego cię na pewno nie nauczyły zakonnice. Catalina ścisnęła go za udo.

- Nie trzeba uczyć. - Wzruszyła ramionami. - To naturalne, nie?

Doogie zerknął z ukosa na przyprawiającą o zawrót głowy przepaść, rozwierającą się po lewej stronie w miejscu, gdzie droga zaczynała opadać w następną dolinę.

— Może i tak — mruknął — ale nie pomaga mi w koncentracji!

— Chcesz zabranie ręki? — spytała Catalina, żartobliwie wydymając usta.

— Tego me powiedziałem — odparł szybko Doogie. — Tylko, wiesz, nie zaczynaj za bardzo... no, wiesz, o co mi chodzi.

Catalina przytuliła policzek do jego ramienia.

— Nie, nie wiem — powiedziała z niemal przekonującą szczerością. — Może to jeszcze jedna rzecz, której zakonnice mnie nie uczyły, *si!*

Po jakimś czasie droga zaczęła więc się leniwie przez dno szerokiej, osłoniętej doliny wysoko w sercu gór. Naturalne krzaki dzikich oliwek i mirtu ustąpiły miejsca rzędom zadbanych winogron, ciągnących się w idealnej perspektywie. Napis nad zdobioną bramą głosił: „Viha Santa Catalina”.

— Nazwali swoje wino twoim imieniem — powiedział Doogie, patrząc, jak gorący wiatr, wpadający przez otwarte okna samochodu rozwiewa włosy Cataliny.

Dziewczyna spojrzała na mego sennie, me podnosząc głowy z jego ramienia, i jeszcze raz ścisnęła go za nogę.

— *Si* — ziewnęła — ale tylko słodkie.

W górskim powietrzu było coś nieodparcie usypiającego; wiatr niósł aromat listowia i dźwięczne trele

ptaków, a spokojną ciszę zakłócało co jakiś czas beczenie kozy w oddali. Doogie czuł trudną do opanowania pokusę, by zatrzymać się i położyć gdzieś w cieniu na trawie, zwłaszcza że Catalina zaczęła cichutko pochrapywać na jego ramieniu. Ale stara Maria na nich czekała, a wciąż mieli przed sobą daleką drogę.

Mały samochodzik skręcał bez wysiłku, protestując jedynie hamulcami. Jechali teraz pod biegnącymi w dół kopytami dębów i sosen w stronę następnej doliny, gdzie wśród sadów pomarańczy, moreli i cytryn stały schludne, kamienne domy.

Doogie poczochnął włosy śpiącej Cataliny; dojechali do skrzyżowania w kształcie litery T nad sennym, małym miasteczkiem rozciągającym się na niższych zboczach góry.

- Andratx! - zawołał. - Znak mówi, że wjeżdżamy do Andratx. W którą stronę teraz?

Catalina otworzyła oczy i zamrugała, patrząc na znak.

- Estellencs! W prawo, na Estellencs! - Stłumiła ziewnięcie.
- Och, proszę wybaczyć, Doogie. Musiałam zasypnąć.

- Nie przejmuj się - odparł Doogie z lekceważącym machnięciem ręki. - Taki już mam nieodparty wpływ na płęć przeciwną.

Droga znów zaczęła się piąć w górę, wiła się w stronę przeciwległego skraju gór Tramuntana, których masyw dominuje nad całym północnym wybrzeżem Majorki. Choć była całkiem rozbudzona, Catalina przez chwilę jeszcze milczała. Doogie się tym nie przejął.

Był szczęśliwy, że ma ją przy sobie, że jej palce wybijają wolny, medytacyjny rytm na jego kolanie. Zawsze czuli się swobodnie w swoim towarzystwie bez rozmawiania o banałach, więc obecne interludium wydawało mu się zupełnie normalne.

Gatalina w końcu powiedziała dziwnie smutnym tonem, że śniła. Śniło jej się, że Doogie odszedł, że został uwięziony, oskarżony o przestępstwo, którego nie popełnił.

- Oskarżyli cię o coś głupiego - powiedziała - jak kradzież winogron.

- Pewnie z winnicy Santa Gatalma? - zażartował. Ale to nie było śmieszne. Zaprotestowała, energicznie kręcąc głową.

- To było okropne. Skuli cię i zawiązali ci oczy, nie widziałeś mnie, gdy cię odprowadzali. A ja, jak skamieniała, nie mogłam za tobą iść i ci pomóc. Strażnik więzienny krzyknął, że nigdy cię już me zobaczę. Nigdy!

Zadrżała.

- To było okropne, Doogie. *Si*, i bardzo, bardzo prawdziwe.

- Hej, daj spokój - skarcił ją. - To był tylko sen. Obejrzał się na nią i uśmiechnął ciepło.

- Przestań, rozchmurz się. Nie będę kradł żadnych winogron, obiecuję.

Gatalina odwzajemniła jego uśmiech, ale w jej oczach pozostał ślad udręki. Znów zamilkła, a Doogie już rozumiał, dlaczego. Wiedział aż za dobrze, jakie obawy wywołały ten zły sen i martwił się, że prędzej czy później się one urzeczywistnią.

Po długiej, powolnej wspinaczce na zalesione zbocza gór, małe renault w końcu znalazło się w miejscu, które zaparło Doogiemu dech w piersiach — i to dosłownie.

Głośno przełknął ślinę. Patrzył w dół przepaści, która rozwarła się bez ostrzeżenia kilkanaście centymetrów za boczną szybą. Byli tak wysoko nad poziomem morza, że żagle przepływających jachtów wyglądały jak odcięte rożki znaczków pocztowych na błękitnej kopercie. Doogie pochylił się nad kierownicą i spojrzał w prawo, gdzie góra odrzuciła leśny płaszcz i wznosiła się teraz naga, z dumnie uniesioną na tle nieba skalistą głową.

Kontrast głębi i wysokości przyprawiał o zawrót głowy. Doogie stanął na hamulcu i szarpnął kierownicą w prawo, z piskiem opon zatrzymując mały samochodzik po „bezpiecznej” stronie drogi — i o włos unikając zderzenia z trąbiącym autokarem, który mknął rozpędzony w przeciwnym kierunku.

Gatalina, wyrwana brutalnie ze swojego zamyślenia po sennym koszmarze, złapała Doogiego za ramię.

Doogie wytarł pot z czoła wierzchem dłoni.

— Przepraszam, Gati, ja... po prostu tam, skąd pochodzę, me było takich widoków. Uf! Nieźle się przestraszyłem!

Gatalma popatrzyła na niego, najpierw zdumiona, potem rozbawiona; dostrzegła śmieszna stronę tej sytuacji, ale zarazem była zafascynowana tą zmianą w zachowaniu Doogiego. Zaczęła się śmiać. Oboje zaczęli.

- Już myślałem, że cię nigdy nie rozweselę. Szkoda tylko, że przy okazji omal nas obojga nie zabiłem — zażartował Doogie.

Gatalina zmarszczyła brwi.

- Nie, nie, to nie do żartów. Ta droga, on jest bardzo piękna, ale ma dużo niebezpieczeństwa dla jazdy też. - Szturchnęła go w łokieć. - Ale chodź, znam miejsce do bezpiecznego patrzenia.

Doogie przejechał jakieś półtora kilometra dalej, cały czas świadom oszałamiających widoków rozciągających się po obu stronach tej niesamowicie krętej drogi, która wydawała się cudem zawieszona między morzem a niebem. Powstrzymał jednak wszelkie pokusy, by dłużej niż przelotnie zerknąć w bok. Po paru minutach Gatalina kazała mu zjechać na parking przydrożnej restauracji, która zmaterializowała się za jednym z zakrętów. Sądząc po liczbie zaparkowanych pod nią samochodów i autokarów, była już pełna, ale Catalina wskazała miejsce kawałek dalej, gdzie schody prowadziły na platformę zbudowaną na sterczącej skale, przewierconej na wylot tunelem.

- To miejsce do patrzenia, nazywa się Mirador de Ricardo Roca - powiedziała, a potem wzięła Doogiego za rękę i pociągnęła go za sobą. - Chodź, zobacz. *Vistas* zabiorą ci powietrze!

Kiedy zbliżali się do szczytu schodów, kazała Doogiemu zamknąć oczy i nie otwierać ich, dopóki mu nie pozwoli. Doogie pozwolił się prowadzić za rękę, świadom jedynie cichego szeptu gór, podnieconego mamrotania Gataliny w *mallorqum*, a na koniec łagod-

nego, ciepłego powiewu z dołu, który pieścił mu twarz, kiedy dziewczyna zatrzymała go, kładąc mu rękę na piersi.

- *Ahora!* - zawołała. - Otwórz!

- O kurwa! - jęknął Doogie. Zatonął się w tył znad krawędzi bezdennej otchłani, łapiąc się za serce, z wytrzeszczonymi, przerażonymi oczami.

Gatalina dostała spazmów ze śmiechu. Usiadła na niskim murku, klaszcząc w ręce.

- Widzisz - zachichotała - mówiłam, że ci zabierze powietrze!

- Ty mały draniu! - sapnął Doogie. Serce tłukło mu się w piersi, kolana się trzęsły. - Słuchaj! Mogłem tu dostać ataku serca, ty cholerna, nienormalna...

- Nie, nie! - przerwała mu. Wciąż chichotała, ale też groziła mu palcem. - Koniec brzydkie słowa. Już powiedziałeś to na K, to, które mówiłeś mi, że jest *pro-hibido*.

- No, przepraszam - powiedział Doogie ze skruchą - ale naprawdę się przestraszyłem, wiesz?

Podszedł do Gataliny i ostrożnie wyjrzał za murek.

- To znaczy, popatrz tylko na tę motorówkę w dole. Wygląda jak rozwielitka! Rany, gdybym tak stracił równowagę, kiedy miałem zamknięte oczy...

Gatalina objęła go w biodrach i mocno ścisnęła.

- Nie martw się. Twoja mała Gati cię ratuje. - Zacieśniła uścisk. - Moje ręce mam silne, jak *un gorila*, nie?

Doogie oparł dłonie na jej ramionach.

- Hmm, ale nie dość silne, żeby latać. Rany! Tu musi być z osiemset metrów w pionie!

Bez ruchu i w milczeniu przez długą chwilę patrzyli oboje na Morze Śródziemne; oglądali parę mew, krążących wolno dzięki ciepłym prądom powietrznym w dole, liczyli skaliste cyple spływające z wysokich szczytów w coraz bledszych odcieniach błękitu, i napawali się uczuciami, które zbliżały ich równie mocno, jak ramiona Gataliny.

Kiedy dotarli do celu, dochodziło południe. Vallde-mossa była starym, cichym miasteczkiem o wąskich, brukowanych, stromych i krętych ulicach. Urocze skupisko beżowych, kamiennych domów tłoczyło się na malutkich tarasach wokół starego klasztoru La Gartuja niczym kartonowe pudełka wysypane z worka na zbocze góry. Doogie od razu zrozumiał, czemu to idealne miejsce na sanatorium. Powietrze było tu faktycznie chłodniejsze i świeższe, panował też cudowny spokój, nawet jeśli dzisiaj panowała wybitnie świąteczna atmosfera.

Jak wyjaśniła Gatalina, był to Dzień Santa Gataliny Tomas, majorkańskiej świętej, która urodziła się w Valldemossie ponad czterysta lat temu. Później miała się odbyć wielka procesja na jej cześć, na którą zjeżdżali się ludzie z całej wyspy.

- Aha, czyli jednak nie nazwali tego wina twoim imieniem!
— zakpił Doogie.

Catalina spuściła wzrok.

- Nie - mruknęła - bo chyba nie jestem święta. Doogie cicho się zaśmiał, ale nic nie powiedział. Starą Marię znaleźli drzemiącą pod małą palmą

(i pod wielkim słomkowym kapeluszem) w sanatoryj-

nym ogrodzie. Był to wielki, stary dom w klasycznym hiszpańskim stylu, przycupnięty na zboczu góry niedaleko La Gartuja, skąd rozciągał się niczym niezakłócony widok na całą dolinę, aż po płaską równinę Palmy. W dawnych czasach było to eleganckie lotnisko dla bogatych kupców z miasta, ale teraz tam, gdzie kiedyś spacerowała i gawędziła majorkańska elita, siedzieli i jeździli na wózkach starzy ludzie.

Maria, delikatnie obudzona przez Gatalinę, potrzebowała chwili, żeby ich poznać. Potem jednak jej twarz się rozświetliła. Zapiszczała „*Madre m(a*” pośród innych radosnych wykrzykników, żegnając się przy tym raz po raz, a potem z trudem wstała i serdecznie, choć z wyraźnym brakiem siły, oboje ich uściskała.

- *Hombrel* Jak dobrze was widzieć - zatrajkotała, a potem z powrotem opadła na ławkę i zaczęła się wachlować. - Cudownie razem wyglądacie, śliczna mała majorkańska księżniczka ze swoim przystojnym Norwegiem! *Que romdnticol* A co u Pedrita, tego małego łobuza? Och, jak ja za nim tęsknię! Dlaczego nie przyjechał z wami? I co u Angie? Wróciła do Barcelony, czy może to był Madryt? Kiedy przyjedzie znów mnie odwiedzić?

Maria wyrzuciła z siebie te i dziesiątki innych pytań swoim mysio piskliwym głosem, zanim zdążyła wziąć oddech na tyle długi, by Catalina mogła zacząć odpowiadać. Staruszka znów wstała, wzięła oboje swoich gości pod ramię i ruszyła z nimi na spacer po ogrodzie, słuchając wszystkich nowin od Cataliny.

W szpitalu przewidywano, że wylew nie pozostawi w Marii żadnych znaczących śladów i litościwie (przy

najmniej dla niej!) faktycznie nie odebrał jej zdolności bezustannego mówienia. Ale choroba mimo wszystko odcisnęła swoje piętno. Pojawiła się słabość, której wcześniej nie było, a choć umysł staruszki wciąż pozostawał sprawny, pamięć zaczynała płatać jej figle.

- Zupełnie nie jestem dawną sobą - zwierzyła się im, kiedy przysiedli na starej ławce w cichym zakątku ogrodu: Gatalina po jednej stronie, Doogie po drugiej. - Zniknęła mi cała energia, a jedna strona ciała czasem drętwieje, zazwyczaj, kiedy jestem zmęczona, czyli ostatnio o wiele za często. Mimo to nie powinnam narzekać. W końcu mogłam się nigdy nie wybudzić z tej śpiączki! - Drżącymi palcami dotknęła krucyfiksu na szyi i wyszeptała krótką modlitwę.

Gatalina cały czas uważnie się jej przyglądała; jej usta się uśmiechały, ale oczy były smutne.

Stara Maria wzięła ich za ręce i popatrzyła im po kolei w twarze; jej znużone wiekiem oczy nagle rozbłysły wesołością, jakby życiowa energia, którą emanowali młodzi, dodała jej sił.

- Ach, Gati i Boogie - westchnęła - widok was obojga *razem* bardzo mnie uszczęśliwił! - Odwróciła się do Gataliny. - A teraz, *pequeñita*, mam dla ciebie niespodziankę.

Zdjęła kapelusz i wyjęła z niego starą, pożółkłą kopertę. Uśmiechnięta, mamrocząc coś do siebie, wyciągnęła z niej papier z pozaginаныmi rogami, ostrożnie go rozłożyła i podała Gatalinie.

Gatalina w milczeniu zaczęła czytać spłowiałe, odręczne pismo.

- Ale ja nie rozumiem - powiedziała po chwili. Wyraźnie zdezorientowana uniosła głowę i spojrzała na rozpromienioną Marię. - Ten dokument to... to...

- *El titulo!* - wyszczerzyła się staruszka. - *Si*, to akt własności mojej *finca*, mojego małego gospodarstwa w Gapdelli! - Mrugnęła do Catalmy i dała jej kuksańca. - I co, moja mała księżniczko, jak ci się podoba taki prezent na dzień twojej świętej patronki?

Gatalinie odebrało mowę. Na jej twarzy malowały się na zmianę niedowierzanie i zdziwienie. Zaśmiała się niepewnie, a potem wyciągnęła dokument z powrotem do Marii.

- Aha, *señora* Maria - powiedziała - to chyba taki żarcik.

Ale Maria, uśmiechnięta jeszcze szerzej niż dotąd, odepchnęła papier z powrotem.

Gatalina, nic nie rozumiejąc, popatrzyła na Doogiego, ale on odpowiedział jej spojrzeniem rozumiejącym jeszcze mniej.

Maria, rechocząc wesoło, znów wzięła ich za ręce.

- Nie przejmujcie się, nie oszalałam, *queridos*. Wiem, co robię.

Potem, wskazując głową Doogiego, przepaszającym tonem powiedziała, że farma będzie zapisana na nazwisko Cataliny - przynajmniej z początku. Później jednak, kiedy przyjdzie dzień, że połączy ich węzeł małżeński - o czym była przekonana od początku - będą mogli przepisać ją na ich oboje - o ile tak się teraz robiło z posagiem. Ona sama nie знаła się na tych nowoczesnych wymysłach, prawniczych zawilo-

ściach, unikaniu podatków i reszcie tych dzisiejszych głupot.

- Tak czy inaczej - wzruszyła ramionami - gospodarstwo jest dla was obojga. *Si*, i ogłaszam to w imię samej Santa Gataliny!

- Nie, nie, *señora* Maria - błagała Gatalina - nie może pani tak myśleć.

Maria popatrzyła na nią spokojnie.

- Kiedy będziesz w moim wieku, *pequeñita*, będziesz wiedziała, kiedy nadejdzie twój czas. - Uśmiechnęła się łagodnie i wytarła łzę z policzka Gataliny. - I nie oplakuj mnie, mała Gati. Nie, ciesz się razem ze mną. Pojednałam się z Bogiem i niedługo przyjdzie pora, żebym poszła znaleźć swojego Bartolome. - Zaśmiała się tęsknie. - Może w niebie czeka na mnie nowe gospodarstwo, co? - Mina jej posmutniała. Dotknęła krzyżyka na szyi. - O ile San Pedro w ogóle go przepuścił przez Perłową Bramę.

- *Gracias, señora* Maria - wykrztusiła jedynie Gatalina, wciąż nie mogąc uwierzyć, że została obdarowana tak niesłychanym prezentem - aleja nie mogę...

Ze swojej strony Doogie w ogóle nie wiedział, co powiedzieć. Wpadł po same uszy! Teraz podjęcie decyzji miało być jeszcze bardziej skomplikowane niż dotąd, a to już naprawdę było duże wyzwanie. Poza tym, choć dobre intencje starej Marii nie ulegały wątpliwości i okazała się hojna do przesady, brutalna prawda była taka, że jej *malafinca* była tylko kawałkiem na wpół zarośniętych poletek i walącym się starym domkiem, w idyllicznej okolicy, owszem, ale bez żad-

nych perspektyw utrzymania się tylko z niej. W końcu nawet Maria i jej mąż musieli zarabiać na życie, prowadząc sklep żelazny w Andratx.

Nagle Doogie poczuł się jak obcy, intruz w życiu innych ludzi. Był jedynie przejezdnym cudzoziemcem, który stał się obiektem życzliwych, ale przesadnie romantycznych wyobrażeń staruszki. Wiedział, że grzęźnie coraz bardziej w zupełnie nierealnej sytuacji, z której nie będzie ucieczki - a przynajmniej bez wyrządzenia wielkiej krzywdy dobrym ludziom, do których z dnia na dzień coraz bardziej się przywiązywał.

Ścisnął dłoń Marii, mając nadzieję, że wyraz wdzięczności na jego twarzy zamaskuje poczucie wstydu.

- Pani Mario, co mogę powiedzieć?

- Nic! I tak za długo już czekaliśmy! - Staruszka dźwignęła się na nogi. - Jesteśmy umówieni w kancelarii *notario!* - oznajmiła. - Trzeba przenieść akt własności!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jak ze.... snu?

Wieczorem, gdy dotarli do Palmy, było już ciemno. Kiedy już bezpiecznie odstawili Marię do jej pokoju, Gatalina zasugerowała, że lepiej będzie wrócić do domu przez miasto. Jazda drogą wzdłuż wybrzeża w dzień to jedno, ale w nocy? Nie, główna droga z Valldemossy do Palmy, po krętym, ale stosunkowo krótkim odcinku prowadzącym na równinę, biegła w zasadzie cały czas prosto, więc najlepiej było pojechać właśnie nią.

Podczas uroczystych i długich procedur w kancelarii notariusza Doogie czuł się jak piąte koło u wozu. Ponieważ wszystko omawiano w *mallorqum*, dodatkowo niewiele rozumiał - oprócz tego, że kiedy wyszli na łagodne, popołudniowe słońce, nową właścicielką małej farmy Marii w Galdelli była Catalina.

Rozpromieniona Maria uparła się potem, że zabierze ich na uroczystą majorkańską ucztę z ciastek *ensaimada* i gorącej czekolady pod, jak poinformowała ich nabożnym tonem, „drzewem różańcowym”. Wysoki taras kawiarni wznosił się nad skrzyżowaniem dwóch głównych ulic Valldemossy, skąd, jak oznajmiła Maria, mieliby też niezakłócony widok na zbliżającą się procesję na cześć Santa Catalmy.

I faktycznie, kiedy zapadł zmrok, głośna kapela z trąbkami i bębnami poprowadziła kolorową paradę udekorowanych platform i grup wirujących ludowych tancerzy przez pełne ludzi ulice w dole. Drewniana figura świętej, stojąca na swojej *carro triunfal* — „lektyce chwały” — była otoczona świtą młodych mężczyzn, przebranych absurdalnie za demony, które — jak Gatalina i Maria zapewniły Doogiego — reprezentowały ważny aspekt majorkańskiej kultury. Jednak głównym zajęciem strzegących świętej diabłów wydawało się doskakiwanie do kobiet w tłumie i, przy wtórze ich pisku, zadzieranie im spódnic trójzębnymi widłami. Maria dobrze się z tego uśmieła, a choć pamiętała, by oddać świętej należny szacunek, dodała, że żałuje, iż jest już za stara, żeby samej stanąć na dole w pierwszym rzędzie.

Dla Doogiego i Gataliny był to niezapomniany dzień: dzień, w którym wydarzyło się dużo rzeczy zarówno prostych, jak i bardzo doniosłych. Rzeczy, które miały zmienić na zawsze ich uczucia i być może ich życia. Dlatego w drodze powrotnej z Valldemossy oboje milczeli, pozwalając sobie nawzajem w ciszy rozważać potencjalne konsekwencje tego wszystkiego.

Gatalina, choć oczywiście cieszyła się z niespodziewanej hojności starej Marii, dostrzegła wyraźnie zakłopotanie Doogiego, kiedy staruszka oznajmiła, że darowizna ma przypaść im obojgu. Rozumiała, że może to w nim wzbudzić poczucie uwięzienia, które -jak się obawiała - mogło zacząć niszczyć łączące już ich uczucia.

Doogie również zdawał sobie sprawę z takiej możliwości i wyczuwał, że nie dawała ona spokoju też Catalinie — to była zupełnie inna dziewczyna niż ta, która rano beztrąsko przybiegła mu na spotkanie. Mała farma starej Marii, jak dowiedział się już wcześniej, zyskiwała jakąkolwiek wartość jedynie po sprzedaniu bogatemu cudzoziemcowi, który zrobiłby z mej rustykalny dom na wakacje lub przystań na emeryturę — takie nieruchomości były na wyspie coraz bardziej poszukiwane. Ale Doogie zdążył wystarczająco poznać uparty wiejski charakter Gataliny, by wiedzieć, że nigdy nie przyjdzie jej to do głowy — przynajmniej tak długo, jak długo mogłaby coś na to poradzić. Dlatego, mimo zaprzeczeń jej matki i jej własnych, w myślach Doogiego znów zaczęło się materializować widmo Gataliny z Rafaelem. Teraz nie chodziłoby już tylko o przyszłe połączenie farm obu rodzin, ale też o przyłączenie ziemi starej Marii. Choć na stosunkowo małą skalę, przypominało to początki jednej z ziemiańskich dynastii, o których Doogie opowiadał Gatalinie przy obiedzie w restauracji U Churchilla w Palma Nova. I co z tego, że Maria nalegała, by gospodarstwo przypadło im obojgu? Było zapisane tylko na nazwisko Cataliny. I słusznie. Maria była cudowną

osobą, a Doogie wiedział, że lubiła go tak samo jak on ją, ale kiedy przychodziło co do czego, Majorkańczycy trzymali się z Majorkańczykami. To było zupełnie naturalne - tak samo byłoby wszędzie indziej w podobnych okolicznościach.

W ten oto sposób, nie zamieniwszy ani słowa na ten temat, Doogie i Gatalina zdołali wprawić się w ponury nastrój.

„Dlaczego - myśleli - wszystko nie mogło pozostać takie proste, jak podczas tych kilku magicznych chwil na podwórku Fmca Sa Grua dziś rano?

- *Por favor*, Doogie - powiedziała Gatalina, kiedy zbliżyli się do nabrzeża Palmy. W jej głosie pobrzmiwała charakterystyczna nuta niepokoju. - Dobrze tu zatrzymać. Musimy porozmawiać.

Pokazała, żeby skręcił na parking przy małym jezioru, rozciągającym się pod oświetlonym reflektorami majestatem katedry. Doogie nie był tam, odkąd przejeżdżali tędy małym seatem 600 Ingrid, wczesnym rankiem jego pierwszego dnia na wyspie. Atmosfera tego miejsca znów go urzekła. Dochodziła dwudziesta druga - godzina, kiedy Hiszpanie zaczynają myśleć o kolacji, a miasto właśnie ożywa.

Ciąg restauracji i barów wzdłuż przeciwnej strony Avinguda d'Antoni Maura, szerokiej alei biegnącej prostopadle do nabrzeża, wypełniał się już gwarną zbieraniną miejscowych, turystów i, zajmujących większość stolików na chodniku, amerykańskich marynarzy w białych mundurach z zakotwiczonego na zatoce lotniskowca. Wieczór w mieście zapowiadał się gorący!

Jednak Doogie i Catalina nie mogli być dalej od myśli o takich rozrywkach. Rozumieli się bez słów i postanowili trzymać się z dala od gwaru. Ruszyli na spacer przez prawie puste ogrody pałacu Almudaina. Trzymając się za ręce, szli ścieżkami wśród pomarańczowych i cytrynowych drzewek, których kwiaty przesycaly nocne powietrze swoim ciężkim zapachem. Wkrótce dotarli do kamiennego łuku, gdzie po subtelnie podświetlonym stawie u podnóża pałacowych murów sunęły dwa czarne łabędzie.

Doogie nie wiedział, czy Catalina planowała go tu przyprowadzić, czy raczej nie wiedziała wcześniej o istnieniu tego miejsca. Jakkolwiek by nie było, stał teraz obok niej w otoczeniu, które poruszyłoby nawet najmniej romantyczne serce. Odruchowo objął ją ramieniem, a ona w znajomy już sposób oparła mu głowę na piersi.

Choć wcześniej prosiła go, by porozmawiali, teraz nie odezwali się do siebie ani słowem, odkąd wysiedli z samochodu. Oboje cieszyli się swoim towarzystwem w tym magicznym miejscu i wydawało się, że lękają się powiedzieć cokolwiek, co mogłoby przerwać jego czar.

— Ten sen, który dzisiaj miałam — mruknęła w końcu Catalina ze zdradzającym jej obawy drżeniem w głosie — to będzie prawda, Doogie, nie? Postanowiłeś zostawić mnie niedługo?

Doogie poczuł, że w gardle rośnie mu gęsia skórka. Tych kilka niepewnych słów zmusiło go, by stawił czoło rzeczywistości, która nieubłaganie zbliżała się do niego od dawna niczym burzowa chmura. Ale jak miał powiedzieć Catalinie o swoich dylematach, o wątpli-

wościach, które go nękały? Jak mógł wytłumaczyć, co sądzi o darowanej jej przez Marię farmie, żeby nie zabrzmiało to, jakby me wierzył staruszce albo nie ufał swojej dziewczynie? Ujął Catalinę za ramiona i odwrócił do siebie. Głowę miała wciąż spuszczone, ale objął ją i zaczął gładzić po włosach.

— Wiesz, że nie chcę wyjeżdżać, Gati — powiedział.

— Chodzi o to, że... no, moi rodzice, wiesz... pracowali tak ciężko, żebym miał w życiu lepszy start niż oni i...

- Przełknął ślinę, usiłując zapanować nad głosem. - I, chciałem powiedzieć, nie byłoby fair wobec nich, gdybym. ..

Ucichł.

Upłynęła długa chwila ciszy. Catalina poklepywała pierś Doogiego, on gładził jej włosy. Potem spytała z wahaniem:

— Byli szczęśliwi... twoja *mama* i twój *papa, si!* Doogie zrobił, co mógł, by odchrząknięciem zamaskować smutne pociągnięcie nosem.

— Tak, byli — odparł ochryple. — Bardzo. Catalina spojrzała mu w oczy.

— Myślę, że cały czas bardzo za nimi tęsknisz. Doogie mógł tylko pokiwać głową.

— Tak jak ja będę tęsknić za tobą, kiedy wrócisz na uniwersytet w Szkocji.

Znów oparła mu głowę na piersi.

— Nie będzie mnie przez trzy lata — powiedział, wzdychając. — I chyba o to mi właśnie chodzi. Wiesz, masz teraz małą farmę Marii i w ogóle. Trzy lata. Dużo się może zdarzyć przez...

Catalina położyła mu palec na ustach.

— Dlaczego wierzysz, że wszystko dobre i szczęśliwe będzie ci zabrane? Nie mogę ci oddać mamy i taty, wiem, ale będę na ciebie czekała, Doogie. Nie na Rafaela i nie na nikogo innego. Tylko na ciebie... jeśli zechcesz.

— Chcę, bardzo chcę — powiedział szybko, choć nie zdołał powstrzymać nutki niepewności. — Oczywiście, że chcę, ale...

— Ale?

Doogie miotał się, usiłując znaleźć właściwe słowa.

— Och, sam nie wiem — powiedział z wyraźną skruchą w głosie. — Chyba wiedząc, że w końcu wrócę na uniwersytet, me powinienem był ryzykować, że cię zranię i pozwalać, żeby to wszystko zaszło tak daleko.

Catalina zaśmiała się smutno.

— W takim razie trzeba było nie wchodzić do *oficina Merryweathera* tamtego pierwszego dnia.

Doogie musiał przyznać przed samym sobą, że odwzajemniał jej uczucia. Może to był nieunikniony wyrok losu...

— Ale trzy lata... — powiedział po chwili. — Nieuczciwe jest oczekiwać, że będziesz...

— Gzy twoja mama czekałaby trzy lata na twojego papę, kiedy byli młodzi?

Catalina dotknęła sedna problemu.

— Tak — odparł tęsknie Doogie. — Powiedziałbym, że tak.

Catalina oparła mu głowę na ramieniu i postukała go lekko palcami w plecy. Zaczęła cicho nucić.

Doogie się uśmiechnął.

— Znów się zastanawiasz — powiedział. — Zaczynam rozpoznawać oznaki.

— Mhm... i myślę o małej *finca señory* Marii.

— Aha?

— *Si*, i myślę, że może się czujesz przymuszany, bo *señora* Maria dawała *finca* nam obojgu. - Spojrzała na Doogiego ze szczerością w oczach. — I jeśli tak się czujesz, tak jak przyjaciółka Margaret cię przymusza z powodu pracy, którą daje ci jej ojciec, to poproszę *señorę* Marię, żeby wzięła *finca* z powrotem.

Doogie uścisnął ją mocniej.

— Ani mi się waź - uprzedził ze śmiechem. Catalina wygięła się w jego objęciach, żeby lepiej widzieć jego twarz.

— Co to znaczy? — spytała z zaciekawieniem, ale też niezrozumieniem.

— No cóż, na razie nic więcej me powiem, ale jak to mówimy na weterynarii, jest więcej niż jeden sposób, żeby obedrzeć kota ze skóry.

— Kota ze skóry? Nie rozumiem, co mówisz — zachichotała Catalina - ale chyba mi się to podoba.

Doogie objął ją ramieniem.

— Chodź - uśmiechnął się. - Chyba pora, żebym cię odwiózł do Capdelli.

— Może, może — odparła Catalina, a potem wsunęła dłoń do kieszeni jego dzinsów. — Ale myślę też, że może dobrze po drodze zatrzymać się w twoim mieszkaniu. — W jej oczach pojawił się psotny błysk, od którego Doogiemu znów zmiękły kolana. — Na... kawę, *si!*

— Proszę, proszę, Magiczna Karuzela we własnej osobie. Tak, i to w komplecie ze swoją sexy pastereczką!

W cieniu wejścia na parking stał Nick Martin. Doogie go nie widział, ale na dźwięk jego głosu przeszły go ciarki.

— Wpełzaj z powrotem pod swój kamień, Szybki Nicky — mruknął, przechodząc obok. — Jak za długo będziesz przebywał na powietrzu, wyschniesz i cię porwie wiatr — przy odrobinie szczęścia!

Nick Martin złapał go za rękę.

— Nie tak szybko, kolego!

— Zabieraj tę oślizgłą łapę, Nick! Ostrzegam!

— Chodź, Doogie — szepnęła nerwowo Gatalina — lepiej ignorować.

— Nie przeginaj, Dougal, mój kumplu — warknął Nick Martin — i nie próbuj mnie nigdy przed niczym ostrzegać!

Częściowo wyszedł z ciemności, wystarczająco, żeby Doogie zobaczył w jego ręku pistolet z tłumikiem, wycelowany prosto w Catalinę.

— Tak, byłeś za bardzo zajęty gapieniem się w ślepią swojej hiszpańskiej laseczki, żeby zobaczyć mnie siedzącego w tamtym barze, kiedy poszłście na szybki numerek do parku, co? — Zaśmiał się złośliwie. — Czekałem na tę okazję, kolego. O tak, nie mogłem się jej doczekać!

Doogie szybko rozejrzał się dookoła. Jeziorko i promenady dookoła były skąpane w blasku reflektorów katedry, ale po tej stronie ruchliwej Avinguada,

biegnącej kilkaset metrów dalej, nie było widać żywej duszy.

— Nie masz co się rozglądać, Magiczna Karuzelo, nikt ci nie pomoże. Ani tobie, ani małej *señoricie* Ensenyat.

Doogie widział Nicka Martina wystarczająco dobrze, by zobaczyć, że ten mierzy Catalinę wzrokiem od stóp do głów.

— No, no - powiedział Martin lubieżnie - niezłe z ciebie ciasteczko, jak się tak odstawisz, co, Catalina? Tak, to zdecydowanie mój szczęśliwy wieczór.

Catalina wzdrygnęła się i przytuliła do Doogiego.

— Dobra, Nick — powiedział Doogie z bijącym sercem - nie mieszaj jej w to. Jeśli uważasz, że masz do mnie jakąś sprawę, to jedno, ale...

— Sprawę? — przerwał mu Martin głosem ociekającym pogardą. — Wywalili mnie przez ciebie z najcieplejszej posadki, jaką miałem. Nasłałeś na mnie policję i myślisz, że mam do ciebie tylko sprawę? — Uderzył Doogiego w twarz otwartą dłonią. — Ty cipo! Tak, dostaniesz teraz za swoje, wieśniaku!

— Mówię tylko, żebyś w to nie mieszał Cataliny, tak?

Doogie starał się z całych sił zachować spokój, ale zdawał sobie sprawę, że nie wychodzi mu to zbyt przekonująco.

— Twój mały mózdzek tego nie ogarnia, co, panie tak zwany wykształcony? To ci wyjaśnię. Będziesz, kurwa, cierpiał, a twoja miejscowa cipka mi w tym pomoże, co, skarbie?

Nick wyciągnął rękę do twarzy Gataliny.

Kiedy dziewczyna się skuliła, Doogie odruchowo rzucił się do przodu i odepchnął Martina. W nagrodę dostał w głowę bokiem pistoletu.

- A teraz zrobimy tak, Romeo i Julio - warknął Nick. Złapał Catalinę za ramię i przyciągnął do siebie.

- Nie wyrywaj się, kochana! Przytul się do mnie ładnie i grzecznie. Tak, i nie zapominaj, że mam spluwę wycelowaną prosto w twój uroczy brzusek. - Popatrzył spode łba na Doogiego. - I ty też o tym nie zapominaj, Magiczna Karuzelo. Spróbuj tylko zgrywać bohatera, to ona dostanie najpierw, a potem ty.

- Puść ją! Cholera, myślałem, że masz już pod dostatkiem kłopotów, bez czegoś...

Nick kopnął Doogiego w pizczel.

- Stul dziób, panie Herriot! Mógłbym cię wykończyć tu i teraz, ale to by było za mało!

- OK, Doogie — zaskomlała przerażona Catalina.

— Jestem OK. Proszę zrób, co on mówi.

- Tak lepiej, kochana. - Nick mocniej ścisnął ją za ramię. - A teraz chodź ze mną. Właśnie tak, ładnie i grzecznie. — Odwrócił się do Doogiego. - A ty, Magiczny, po drugiej stronie. Nie za blisko! Ładnie i naturalnie. Właśnie tak, trójka znajomych na spokojnym spacerku.

Doogiemu kotłowało się w głowie. Zawsze istniała możliwość, że Nick Martin blefuje, że pistolet nie jest naładowany albo że nie jest nawet prawdziwy. Ale Doogie nie mógł ryzykować.

Przeszli przez najbardziej ocienione części promenady, a potem, na światłach, na drugą stronę ulicy i na

szerokie, trawiaste pobocze wzdłuż ruchliwej, nadbrzeżnej ulicy Paseo Maritimo. Przez cały czas Nick pilnował, żeby trzymali się jak najdalej od zatłoczonych ogródków pobliskich restauracji i hoteli.

— Dobra — chrząknął w końcu — skręcamy w prawo. - Przyciągnął Catalinę bliżej do siebie. - Tak jest, skarbie, spokojnie i naturalnie. Tutaj jest większy ruch, więc wszystko ma być na luzie.

Przechodzili właśnie przez mały plac; grupki roześmianych ludzi wychodziły z barów i wchodziły do restauracji; gromady amerykańskich marynarzy kręciły się dookoła w różnych stadiach upojenia, niektórzy już w parach z klejącymi się do nich prostytutkami. Okolica była gwarna, ale słabo oświetlona. Nick Martin wiedział, co robi.

„Czy ośmieliłby się użyć brom przy tylu potencjalnych świadkach?” — zastanawiał się Doogie. Kusiło go, żeby krzyknąć do zbliżającej się grupy marynarzy, wpaść na nich, zrobić jakieś zamieszanie i, korzystając z niego, wyswobodzić Catalinę. Nie, zbyt ryzykowne. Jeśli Nick spełniłby swoją groźbę, zniknąłby w tłumie, zanim Catalina upadłaby na ziemię.

Pokonawszy plac, zagłębili się w labirynt wąskich uliczek. Na każdej kolejnej ludzi było coraz mniej. Weszli do brudnego zaułka, gdzie jedynym śladem życia była banda kotów w rynsztoku, prychających na siebie nad resztkami pizzy. W upiornej ciszy Doogie usłyszał, że Catalina płacze i dźwięk ten ciał go jak nóż. Nie mogąc dłużej się powstrzymać, nagle stanął i złapał Nicka Martina za rękę.

- Chryste Panie, puść ją, ty bydlaku! To chore, po co to robisz?! Kręci cię straszenie bezbronnych dziewczyn, tak? Tak!?

Nick zamachnął się i uderzył Doogiego w brzuch całym ciężarem pistoletu. Siła ciosu sprawiła, że Doogie zgiął się wpół, nie mogąc złapać tchu. Catalina zapiszczała z bólu, kiedy Nick złapał ją za włosy. Szarpnął jej głowę w tył i dotknął lufą jej brody.

- Już niedługo się dowiesz, co mnie kręci, dupku! - krzyknął do Doogiego głosem roztrzęsionym z wściekłości. - Spróbuj jeszcze raz coś takiego zrobić, to mózg twojej dupeczki ozdobi ścianę, kapujesz?

Kopnął Doogiego w nogę i wskazał drzwi kilka kroków dalej.

- Właż tam! - wrzasnął. - Ty pierwszy, O'Mara, potem ty, kochana! - Pchnął ich do przodu. - I pamiętajcie, jestem tuż za wami!

W tym momencie w zaułku za nimi rozległ się odgłos kroków i śmiech. Doogie się obejrzał i zobaczył sylwetkę wysokiego mężczyzny, kolebiącego się i opartego o ramię kobiety w miniówce i szpilkach.

- Zapomnij, Magiczna Karuzelo - prychnął Nick Martin. - Jesteś w dzielnicy czerwonych latarni, a tego naprutego żeglarza interesuje tylko jedno. I tym czymś nie jest twój los. - Kopnął Doogiego jeszcze raz. — A teraz właż!

Doogie otworzył drzwi prowadzące na obskurny korytarz. Śmierdziało tam spalonym olejem do smażenia, a jedynym oświetleniem biegnących w górę schodów była goła żarówka na kablu.

- Na górę - rozkazał Martin. Szturchnął Doogiego łufą w plecy, a potem pchnął Catalinę za nim.

- Hmm, ładna, bardzo ładna - mruknął, idąc parę kroków za nią. - Śliczną masz dupeczkę, skarbie, jak się jej teraz mogę przyjrzeć. Ooo tak, patrząc stąd, świetne nóżki! - Warknął cicho. - Rany, a cały czas miałem to pod nosem!

Doogie kipiał z wściekłości. Wiedział, że gadka Nicka o Catalinie miała na celu go rozżłościć. Przynajmniej po części, choć me tylko. To akurat było jasne.

- Pod ścianę na podeście, oboje! Tam, twarzą do ściany!

Usłyszeli, że Nick otwiera drzwi kluczem.

- Dobra, włazić! Stanać na środku pokoju i ani drgnąć, dopóki me powiem!

Znaleźli się w brudnym pokoiku o gołej podłodze i obłazających, bielonych ścianach z plamami grzyba. Jarzeniówka świeciła z sufitu na obskurne, podwójne łóżko, dwa drewniane krzesła i wytartą kanapę. Powietrze było siwe od dymu. Na kanapie siedziało dwóch mężczyzn, według Nicka kolumbijskich marynarzy. Byli spoceni, mieli zapuchnięte oczy, a przed nimi na podłodze stała prawie pusta butelka brandy. Podawali sobie do połowy wypalonego skręta.

Nick zamknął drzwi na klucz. Pchnął Doogiego na jedno z krzeseł, a potem przyciągnął do siebie Catalinę i postawił ją przed mężczyznami.

- *Bueno, muchachos* - powiedział do nich po hiszpańsku. — Mówiłem, że przyprowadzę wam ładną, smakowitą *chica*. Co powiecie na tę? — Pchnął Catalinę

jeszcze bliżej kanapy. — Ubrana na biało jak mała dziewczica, co? - Potarł kciukiem o palec wskazujący. - *Warta mucho dinero, nie?*

Mężczyźni, półprzytomni od alkoholu i marihuany, przyjrzeni się Gatalinie z nieskrywanym pożądaniem. Odskoczyła, kiedy jeden z nich wyciągnął rękę i spróbował złapać ją za nogę.

— Hej, cierpliwości, *hombre!* — zawołał Nick Martin. Pociągnął Catalinę poza ich zasięg. - Mamy jeszcze warunki do omówienia, *si!*

Odwrócił się do Doogiego.

- Mam nadzieję, że wybaczysz moim południowoamerykańskim współnikom, kolego — powiedział z udawaną uprzejmością, - Widzisz, byli kilka miesięcy na morzu i trochę im się spieszy, żeby, no, wreszcie wziąć się do działania — z braku lepszego określenia.

Doogie dygotał z wściekłości.

— Nie jesteś godzien oddychać tym samym powietrzem, co porządni ludzie, Nick. Na litość boską, puść ją, póki możesz. Pamiętaj, policja obserwuje każdy twój ruch, odkąd zrobiłeś ten przekręt z ecstazy po śmierci Dunki.

- Policja? - Nick Martin odrzucił głowę w tył. -Na tym właśnie polega twój problem, Magiczna Karuzelo — wykrztusił, zanosząc się śmiechem — żyjesz w świecie fantazji. Zejdź na ziemię, OK? Bez jaj, mam w policji w Palmie więcej kumpli, niż ty zjadłeś haggisów na gorąco! Policja mnie obserwuje? — Wyszczrzył się szeroko. — Weź mnie nie rozśmieszaj!

Doogie odwzajemnił uśmiech.

— Jesteś żaloszny, Nick! - Rozejrzył się po pokoju. — Popatrz tylko dookoła. Tak, i popatrz na siebie! Żaloszny! Nie potrafiłeś sprzedawać prochów dzieciakom, to zostałeś alfonsiem dla najgorszych prymitywów świata zwierząt, takich jak te dwie larwy!

Nick Martin znów się zaśmiał.

— Bardzo dobrze, kolego. Rzucasz obelgi, żebym stracił koncentrację, co? Och, bardzo sprytnie, jak cholera. A teraz stul pysk! Oszczędzaj oddech, ile ci go zostało!

Odwrócił się do dwóch mężczyzn i znów pchnął Catalinę w ich stronę.

— Dobra, *muchachos*, umowa jest taka. Tę małą dziewczęcę dostajecie na dwadzieścia minut. Za darmo, *comprende!*

Tamci popatrzyli po sobie z aprobatą, a potem niezdarnie wstali, gapiąc się na Catalinę.

— Hola! *Un momento, un momento!* — ostrzegł Nick Martin, kręcąc głową. — Myślicie, że jestem *loco!* Nie dostaniecie takiej słodkiej laleczki na całe dwadzieścia minut, jeśli ja nie będę z tego czegoś miał.

Znów po sobie popatrzyli, wzruszyli ramionami i potakująco chrząknęli.

Włokąc za sobą Catalinę, Nick podszedł do kredensu i wyjął z niego linę. Rzucił ją jednemu z mężczyzn i kazał mu przywiązać Doogiego do krzesła.

— Porządnie i mocno!

Pchnął Catalinę z powrotem do drugiego mężczyzny, stojącego przy kanapie, i kazał mu pilnować, żeby nawet nie drgnęła. Potem wrócił do przetrząsania szafki.

Zdesperowany Doogie odepchnął niezdarnego Kolumbijczyka na bok i rzucił się na Nicka, kiedy ten był odwrócony tyłem. Ale Nick był za szybki. Obrócił się i wystrzelił kulę, która utkwiała w podłodze tuż przed stopami Doogiego. Catalina wrzasnęła.

- To, żebyś wiedział, że to nie jest żadna pieprzona zabawka - zazgrzytał Martin. - Następnym razem dostaniesz tam, gdzie zaboli!

Rąbnął Doogiego pistoletem w głowę tak, że chłopak padł na ziemię.

Doogie stracił przytomność, a głos błagającej Cataliny ucichł mu w uszach. Nie miał pojęcia, jak długo był nieprzytomny, ale kiedy w końcu się ocknął, był przywiązany do krzesła z rękami za plecami, a niewyraźna postać Nicka Martina biła go po twarzy i szarpała za koszulę.

- Pobudka, Dougal! Szybciotko! Zaraz się zacznie przedstawienie!

Doogiego potwornie bolała głowa. Do ust wepchnięto mu brudny gałgan. Gdzieś za sobą słyszał, jak Gatalma błaga jednego z bełkoczących Kolumbijczyków, żeby ją zostawił w spokoju.

Szczerząc się szeroko Doogiemu w twarz, Nick krzyknął do mężczyzny, żeby ten się opanował. Obiecał mu, że niedługo się zabawi, na razie musi tylko trzymać *chica*, żeby Nick zdążył się odpowiednio zająć swoim kolegą.

Kiedy Doogiemu przejaśniło się przed oczami, zobaczył, że Nick trzyma w ręku strzykawkę wypełnioną mętną cieczą. Drugi Amerykanin stał zgarbiony obok,

z kawałkiem sznurka w ręku i nieprzytomnym wyrazem twarzy. Myśl, że ten obleśny typ i jego kumpel mieliby dostać Gatalinę w swoje ręce, sprawiała, że Doogiemu przewracało się w żołądku. Próbował krzyknąć przez knebel, potrząsnął głową w rozpaczliwej próbie wyplucia go, szarpnął więzy krepujące jego ręce i nogi.

— Miotaj się, ile chcesz - zaśmiał się Nick Martin.

— Nic ci to me da. Masz przesrane na całej linii.

Jeszcze raz zdzielił Doogiego w twarz. Mocno.

— A teraz, skoro wróciłeś już z krainy snów, plan jest taki. W tej strzykawce mamy herę - suj[^]erczystą heroinę — dawkę wystarczającą, żeby wykończyć każdego twardziela. Tak, ale ponieważ jestem facetem bardzo ostrożnym, dodałem tam troszkę czegoś, żeby mieć pewność, że z następnej wycieczki do kramy snów już nie wrócisz. - Nick uśmiechnął się kpiąco.

- To atropina, rozumiesz? Trująca substancja, z którą na pewno się zetknąłeś na zajęciach z anestezjologii na weterynarii, prawda? Usypianie psów i tak dalej.

Przez chwilę rozkoszował się reakcją w oczach Doogiego.

— I zanim zaśniesz na wieki, będziemy tu sobie we dwóch siedzieć i patrzeć, jak moi dwaj *amigos* robią z twoją dziewczyną różne sztuczki na tamtym łóżku. To mnie dopiero kręci, OMara - powiedział i puścił do Doogiego oko. — A ciebie?

Doogie znów próbował coś powiedzieć, rzucił głową na lewo i prawo w rozpaczliwej próbie pozbycia się knebla. Usłyszał, że gdzieś za nim Catalina zaczyna szlochać. Wykręcił szyję.

— Cierpliwości, synku — powiedział Nick swobodnym tonem, a potem złapał go za włosy i obrócił jego głowę z powrotem. — Za chwileczkę dobrze się napatrzysz, jak tylko *muchachos* rozpakują ją ze sreberka.

Doogie gorączkowo myślał, jak pomóc Catalinie, ale był całkowicie bezsilny. To był jakiś koszmar. A potem zobaczył pistolet Nicka, leżący na krześle przy drzwiach. „Gdyby tylko Catalina zdołała go dopaść — pomyślał — może dałaby radę uciec, zanim. ..”

Nick Martin widział, o czym Doogie myśli. Pławił się w spaczonej rozkoszy, jaką mu to dawało i zamierzał sprawić, by Doogie cierpiał jeszcze bardziej.

— Tak, panie wyszczekany O'Mara, obmyślałem różne plany co do ślicznej Cataliny, odkąd wpadła dziś w moją sieć. Oczywiście dla ciebie to żadna różnica, bo jutro rano będziesz już tylko punktem w statystyce, jeszcze jednym zasranym obcokrajowcem w rynsztoku, który się przekreślił po przedawkowaniu brudnej heroiny. — Uśmiechnął się z zadowoleniem. — Ale powiem ci i tak. Taki już ze mnie gość. O tak, spodoba ci się ten pomysł, kolego. Ma klasę.

Nachylił się do Doogiego i skinął głową w stronę Cataliny.

— Widzisz, ona stąd dzisiaj nie wyjdzie. Nie. A jutro jej staruszek dostanie mały liścik z żądaniem okupu.

Podniósł rękę.

— Dobra, dobra — zakpił — wiem, że to tylko biedny zasrany chłopak. Ale *m&finca*, a w dzisiejszych czasach to oznacza forszę. Tak, jakiś nadziany Brytol odpa-

li mu prawie bańkę za samą chałupę, a cała ta kapusta, kumplu, będzie moja. Cała moja.

Kazał Kolumbijczykowi zarzucić Doogiemu sznurek na szyję.

- Słyszę, jak pytasz: a co zrobię ze śliczną Catali-ną, kiedy jej stary będzie zbierał pieniądze? No przecież, będzie tu dla mnie pracowała. O tak, po tej części Palmy zawsze kręci się dużo napalonych żeglarzy i nieźle zapłacą staremu Nicky'emu za parę minut z takim ciałkiem jak ona. A to, że nie będzie zanadto chętna, spodoba im się jeszcze bardziej. - Zaśmiał się Doogiemu w twarz. - Wstrętni zboczeńcy, co?

Kazał marynarzowi zacisnąć sznurek na szyi Doogiego, aż chłopakowi pokaże się żyła.

- Och, i jeszcze jedno, O'Mara - dodał nonszalancko. - Jeśli myślisz, że przecież nie oddam twojej laseczki jej staremu po tym, jak to wszystko widziała i słyszała, to masz całkowitą rację. - Zmrużył oczy. - Kiedy będę gotowy, dostanie działkę w szyję tak samo jak ty. Ale nie ma się co przejmować. Te półmauryjskie szmaty tak już mają, zawsze ktoś je rucha do nieprzytomności, a potem rzuca.

Złapał Doogiego za włosy i przekrzywił mu głowę na bok.

- A teraz przygotuj się na odjazd życia, Magiczna Karuzelo. Tak - wyszczerzył się - pora do łóżeczka!

Kątem oka Doogie patrzył, jak strzykawka zbliża się do jego szyi. Poczul, że czubek igły dotyka jego skóry.

Wtedy nagle szlochy Cataliny się urwały. Doogie usłyszał wrzask dziewczyny, krzyk bólu jej opiekuna,

tupot jej stóp. Pojawiła się na linii jego wzroku; rzuciła się z pazurami Nickowi do oczu, tłukła go pięściami i krzyczała, żeby zostawił Doogiego w spokoju, że może sobie wziąć też jej *finca*, jeśli tylko przestanie i wypuści ich oboje.

Martin zaklął, zamachnął się wolną ręką i uderzył Gatalinę wierzchem dłoni w twarz. Dziewczyna poleciała w tył na łóżko, a krew pociekła jej z ust. Leżała tam, jęcząc cicho, oszołomiona i bezradna, a jej kolumbijski „strażnik” ruszył do niej, zgięty wpół — jedną ręką ścisnął krocze, drugą podniósł do ciosu.

Doogie zamknął oczy, nie mogąc na to patrzeć. Wtedy ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

Półprzytomny Kolumbijczyk stanął jak wryty, jego towarzysz, przestraszony, puścił sznurek, którym ścisnął szyję Doogiego. Nick Martin popatrzył groźnie na swoich dwóch klientów i podniósł palec do ust. Potem spokojnie, na palcach, podszedł do krzesła przy drzwiach i wymienił strzykawkę na pistolet.

Doogie wykorzystał szansę, by narobić jak najwięcej hałasu. Zaczął krzyczeć przez knebel i łomotać nogami krzesła o podłogę. Z twarzą wykrzywioną wściekłością Nick odwrócił się i wycelował trzymany w obu rękach pistolet w jego głowę.

Doogie znów zamknął oczy.

Kiedy jednak rozległ się huk, nie pochodził on wcale od kuli, lecz od wykopywanych z zawiasów drzwi. Uderzyły Nicka prosto w plecy i ogłuszonego obaliły twarzą w dół na podłogę. Pistolet wypadł mu z rąk.

Doogie otworzył oczy w samą porę, by przycisnąć broń stopami.

Przez potrząskaną framugę wszedł do środka wysoki, hebanowoskóry mężczyzna w kontrastującym, białym garniturze. Wyciągnął Doogiemu knebel z ust.

- Ingrid! - wykrztusił Doogie. - Co ty tu robisz, do diabła?

- Toruję drogę dla moich szurmowców, słońce -zaśmiał się Ingrid. Wskazał drzwi, w których w pozycji bojowej stała drobna blondynka w lamparczej miniówce i na absurdalnie wysokich szpilkach. Szeroko rozstawiła kształtne nogi, delikatne dłonie miała zaciśnięte w pięści.

- Szliśmy za wami od Paseo Mantimo, człowieku. Siedzieliśmy tam sobie, wypiliśmy parę drinków i wypatrywaliśmy, wiesz, znaków u tych amerykańskich marynarzy kiedy nagle widzę Catalinę i ciebie, maszerujących sobie elegancko z Szybkim Nickim. - Ingrid zaśmiał się swoim charakterystycznym, otellowskim śmiechem i zaczął rozwiązywać sznury kępujące Doogiego. - Widzę was troje takich zakumpłowanych i myślę sobie: „Goś tu nie gra, Björn, staruszku, lepiej to sprawdzić!”.

Po chwili oszołomienia pierwszy z kolumbijskich marynarzy, a potem drugi, rzucili się ku wolności, ale zostali powaleni w drzwiach przez huragan kopnięć z wysoku i ciosów karate w wykonaniu samotnej blondynki w panterce, która najlepsze zostawiła na koniec, wymierzając solidnego kopniaka w twarz Nicka Martina, usiłującego podnieść głowę z podłogi.

Doogie z niedowierzaniem gapił się na zwodniczo kruchą maszynę wojenną, która wyszła z pokoju, spokojnie otrzepując ręce, poprawiając spódniczkę i uwodzicielsko kręcąc biodrami.

- Zaraz, zaraz — szepnął do Ingrid. - To przecież. .. to przecież...

- Mój kochanek Fidel? Zgadza się. - Ingrid szeroko się uśmiechnęła. - Umówmy się, słońce, trzeba umieć sobie radzić, kiedy się wychodzi wieczorem w takim stroju między tych wszystkich wyposzczonych jankeskich żeglarzy!

Jego śmiech odbił się echem od gołych ścian pokoju.

Doogie nic nie rozumiał.

- Ale ja nie sądziłem, że Fidel mnie chociaż lubi...

- Nie lubi - zwierzył się Ingrid, rozwiązując ostatni supeł na jego kostkach. — Ale razem ze mną przez ostatnie piętnaście minut podsłuchiwał pod drzwiami i, wiesz, przemocy nie lubi jeszcze bardziej!

Doogie zerknął na trzy rozciągnięte na podłodze, nieruchome ciała i uniósł brew.

- No popatrz, nigdy bym nie zgadł! - mruknął. Ingrid wskazał ruchem głowy łóżko, na którym siedziała oszołomiona Catalina, masując stłuczone usta.

- Lepiej zajmij się swoją panią, Doogie. — Szturchnął nogą nieprzytomnego Nicka Martina. - Ja zadzwonię po *Guardia Civil*, niech wywiozą gdzieś tę kupę gnoju raz na zawsze.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Teraz będzie z gorzki

Od dłuższego czasu najgorzej strzeżonym sekretem branży było to, że Sam Merryweather grozi swojemu głównemu konkurentowi, 3-S Vacations, perspektywą przejęcia. W końcu na początku sierpnia ogłoszono publicznie, że oferta Merryweather Holidays została przyjęta przez zarząd 3-S i, co więcej, połączenie obu firm zostało zaakceptowane przez brytyjską Komisję ds. Monopoli i Fuzji Przedsiębiorstw. Jednak największe pytanie w głowach wszystkich obecnych w biurze Merryweathera w Palmie tego dnia nie brzmiało: jak to posunięcie wpłynie na zadowolenie klientów, akcjonariuszy czy choćby i tak pękające już w szwach konta ich szanownego pracodawcy, ale: czy zagrożona jest posada kogoś z nich samych. Nie musieli długo czekać na odpowiedź.

W godzinę po przyjsciu faksu obwieszczajacego udane przejecie firmy, z centrali Merryweathera nadszedl nastepny, polecajacy Manolowi poinformowac zespól, iz wskutek nieuniknionej potrzeby ograniczenia zatrudnienia po zjednoczeniu obu przedsiebiorstw, firma zmuszona jest z zalem zrezygnowac z uslug niektorych pracowników z koncem biezacego miesiaca kalendarzowego. Jak zauwazyli niektórzy cynicy, zupełnie przypadkiem pokrywalo sie to z koncem szczytu letniego sezonu. „By oddac sprawiedliwosc wszystkim zainteresowanym - napisano dalej w liście - po dokladnym przemyśleniu postanowiono, ze zwalnianie pracowników rozpocznie sie od najkrótszych stazem i ze umowy o prace wyzej wymienionych ulegna rozwiazaniu z dniem 31 sierpnia lub za obopólna zgoda najszybciej, jak sie da po tym terminie.

Ani Doogie, ani Catalina nie byli wiec zaskoczeni, ze ich nazwiska znalazly sie prawie na samej gorze listy skazanych na kopniaka w siedzenie od starego Sama.

W przypadku Doogiego ten grom z merryweatherowskiego nieba oznaczal koniec watpliwosci, czy z poczatkiem zimowego semestru wracac do Szkocji na przerwane studia. Teraz nie mial juz wyjscia. Nawet gdyby chcial, jesienia szanse na znalezienie nowej pracy w turystyce na Majorce byly praktycznie zerowe.

Jakby za zrzadzeniem losu (choć raczej wskutek usilnego, telefonicznego lobbingu Margaret) w dzien ogloszenia przejecia 3-S Doogie dostal list od starego Hyslopa, weterynarza z Arran. W liście, tak jak Mar-

garet wcześniej mówiła, jej ojciec prosił, by Doogie jeszcze raz zastanowił się nad pochopną decyzją przerywania studiów. Taka przerwa na wydziale, który powszechnie uważano za trudny, mogła okazać się uciążliwa na krótką metę, a katastrofalna na dłuższą. Stary Hyslop podkreślił, że Doogie nie powinien zapominać, jakie cudowne perspektywy czekają na niego - i na Margaret - na Arran, kiedy tylko skończą studia. Na koniec napisał, że specjalnie spotkał się ze swoim kolegą, dziekanem Królewskiego College'u Weterynaryjnego w Edynburgu i wyjaśnił „emocjonalne podłoże” nierozważnej decyzji Doogiego o wzięciu wolnego na rok; uzyskał też zapewnienie, że miejsce na trzecim roku będzie na chłopaka czekało, „jak gdyby nigdy nic”.

- Jak gdyby nigdy nic - powtórzył Doogie do siebie. - Jak gdyby nigdy nic? Rany, gdyby tylko wiedział!

Doogie był przekonany, że przez tych kilka tygodni pracy dla Merryweathera na Majorce widział i przeżył więcej, niż mógł się spodziewać przez całe życie jako weterynarz na Arran. On, czy nawet stary Hyslop.

A w ogóle co to miało być, to „emocjonalne podłoże”? Choć Doogie lubił starego Hyslopa, choć zawsze czuł się jego dłużnikiem w zamian za możliwość pobierania u niego nauk i za pokierowanie jego karierą weterynarza, stary nie był w stanie zrozumieć, co popchnęło Doogiego do zboczenia z wytyczonej trasy. Pochodzący ze stosunkowo zamożnej rodziny Hyslop nie mógł wiedzieć, jak to jest widzieć rodziców, którzy walczą, by związać koniec z końcem i umierają,

wyczerpani i przedwcześnie postarzali, nie osiągnąwszy nic dla siebie. Rodziców, których jedynym życiowym sukcesem jest to, że zapewnili dzieciom furtkę do życia, takiego jakie im samym nie było dane? Tak, wszystkie luksusy, którymi Hyslop obsypywał Margaret nie mogły się równać z prostymi, rodzinnymi przyjemnościami i szansami, jakie rodzice Doogiego zapewnili jego siostrze i jemu. A kiedy przyszło co do czego, Doogie w głębi serca wiedział, komu los rozdał szczęśliwsze karty.

Gdyby tylko prawdziwe życie było takie proste - mniej czarno-białe, bardziej elastyczne. Gdyby tylko. Ale nie było. Każdy, nieważne, jak wielki idealista, prędzej czy później musiał stawić temu czoło.

I tak Doogie postanowił, że za miesiąc wróci do Szkocji. Wróci do smutnego pokoiku w piwnicy i do ponurych, deszczowych niedziel spędzonych na przeglądaniu notatek. I do życia przez trzy długie lata bez Catahny...

Catalina, Catalina. Co ją czekało? Doogie zawsze podejrzewał, że jej posada u Merryweathera okaże się właśnie tym, czym się okazała i właściwie był zadowolony, że już jest po wszystkim. Nie zmyślał, kiedy mówił matce dziewczyny, że według niego Catalina jest na to za dobra. Pięknie powiedziane, owszem, ale gładkie słówka niewiele znaczyły. Co miała teraz zrobić? W końcu brutalne zasady zatrudnienia w turystyce dotyczyły w takim samym stopniu Majorkańczyków, co cudzoziemców. Z końcem lata kończyły się posady obsadzane na wiosnę. Taka była kolej rzeczy.

Ale wicher zmian, który przywiał smutne chmury nad Doogiego i Catalinę, wywiał je z życia Angie. Z powodu nowo przyjętej polityki „poprawiania wydajności w firmie” posada na Ibizie została przekazana jej odpowiednikowi z 3-S Vacations, a Angie miała objąć swoje stare obowiązki na Majorce. Oczywiście w sensie płacy była to degradacja, ale Angie z chęcią się na to godziła — choć nie przyznała się do tego pracodawcom.

— Wiesz, co według niektórych oznacza 3-S w nazwie 3-S Vacations? - spytała Doogiego, kiedy szli na parking po tym, jak odebrał ją z lotniska.

Doogie wzr"szył ramionami.

— *Sun, Sana, Sex?* Słońce, piasek, seks?

— Blisko. Ale nie. *Stupid Suckers, Screwem'all.* Głupi frajerzy, chrzanić ich wszystkich. Oczywiście to się odnosi do biednych frajerów, którzy tam pracują. Mówię ci, młody, nic dziwnego, że stary Sam od tak dawna sobie ostrzył na nich zęby. Teraz będzie mógł wpasować ten tekst w motto swojej własnej firmy!

Doogie uśmiechnął się kpiąco.

— Tak, to surowy szef, i cholernie bezwzględny, kiedy chce — jak niektórzy z nas niedawno się przekonali na własnej skórze.

Angie się zreflektowała.

— Och, to cała ja! Zapominam się, pod koniec miesiąca cię wywalają, a ja tu narzekam na swoje nowe warunki zatrudnienia. — Położyła mu rękę na ramieniu. — Przepraszam, Doog. To znaczy: ale cię załatwili. I to akurat teraz, jak już zaczynałeś sobie radzić.

— Nie, nic się nie stało. Tak pewnie będzie najlepiej. Szczerze mówiąc, ee..., i tak poważnie się zastanawiałem, czy w przyszłym miesiącu nie wrócić na uniwersytet.

Angie spojrzała na niego sceptycznie.

— Ta cała Margaret nieźle ci nagadała, jak tu była, co? Mocno cię naciskała?

Doogie otworzył bagażnik małego renault Angie i zapakował do mego jej walizkę.

— Niewiele ci umyka, co, Angie? Tak — westchnął — pojawienie się Margaret bynajmniej mi niczego nie ułatwiło, przyznaję. Zresztą, co mi tam, było - minęło, dzięki panu Merryweatherowi i jego biznesowym zagrywkom. — Uniósł kluczyki. — Kto prowadzi, ja czy ty?

Angie już wsiadała na miejsce pasażera.

— Głupie pytanie. Odkąd pożegnałam się rano z Ibizą, wypijałam już trzy duże giny z tonikiem. Nie licząc tego, co było wczoraj na pożegnalnej imprezie. — Powachlowała twarz dłonią. - Ale było ostro!

— Koledzy się cieszyli, że wyjeżdżasz? - zażartował Doogie.

Angie żartobliwie palnęła go w ramię.

— Daruj sobie te złośliwości, młody, i jedź.

— Rozumiem, że prosto do Capdelli i Pedrita.

— Najszybciej jak się da. Biedny maluch. - Angie ściągnęła brwi. - Rany, mam sporo do nadrobienia w dziedzinie matkowania!

Doogie zawahał się przez chwilę.

— Nie chcę cię zniechęcać czy coś — powiedział. — Wiem, że jesteś wniebowzięta, że wróciłaś. Ale chodzi

o to... próbuję powiedzieć... kto się będzie teraz zajmował Pedntem, kiedy ty będziesz w pracy? Wiesz, u starej Mani ze zdrowiem jest, jak jest. A matka Ga-talmy... jest trochę... - Doogie przerwał, czując, że się zapędza. - Dobra, przepraszam. - Wzruszył ramionami. - To nie moja sprawa, ale się tylko zastanawiałem. ..

- Nie, nie, masz całkowitą rację, skarbie - odparła szybko Angie. - Nie mogę oczekiwać, że *señora* Ensenyat będzie dłużej mnie zastępować. Bądźmy szczerzy, i tak zrobiła już bardzo dużo. Jak mówiłam, muszę się podciągnąć w matkowaniu, i to szybko. -Zmusiła się do śmiechu. - W końcu naprawdę jestem matką tego małego drania!

Doogie znów się zawahał.

- A więc - powtórzył niezręczne pytanie - wracając do tematu... kto się będzie opiekował Pedntem, kiedy ty będziesz pracować?

Angie postukała się w bok nosa i przebiegle mrugnęła.

- Twoja stara ciotka Angie ma plan, nie bój nic, młody. - Zaśmiała się cicho do siebie, a potem szybko zmieniła temat. - Zresztą, me mówmy o mnie i o moich problemach osobistych, jak sobie poradzisz? To chciałabym usłyszeć, stary!

- To znaczy? - odparł Doogie z kamienną twarzą. Angie zaśmiała się i pacnęła go wierzchem dłoni w ramię.

- Nie wciskaj mi tu tych swoich niewinnych „to znaczy”! Daj spokój, wiesz, o czym mówię. O Ca-

talnie i tobie! — Znów walnęła go w ramię. — No, gadaj! Co się dzieje? Tylko mi nie mów, że ot tak pryśniesz z powrotem do Szkocji i powiesz „Cześć, miło było”, jakby to był jakiś wakacyjny romansik. — Angie pokręciła głową. — Nie wciskaj mi kitu, młody. Nie zapominaj, z kim rozmawiasz! Ze swoją starą ciotką Angie!

— Mam jeszcze trzy lata studiów i tyle — odparł Doogie z największą rezygnacją, na jaką go było stać.

Angie spojrzała na niego z dezaprobatą.

— Dobra, nie oszukuję się, że będzie łatwo - przyznał Doogie — ale co mam robić? Przecież ona nie może jechać ze mną. Kredyt studencki ledwie wystarcza na utrzymanie jednej osoby, a co dopiero mówić o dwóch.

— Mogłaby znaleźć pracę — podsunęła Angie.

— Nie, to by się nie udało. Co to by było za życie?

— Bylibyście razem.

— Tak, ja cały dzień na zajęciach, zakuwałbym nocami, Cati w jakimś gównianym barze czy gdzieś, do tego oboje na kupie w jakiejś suterenie, w bezsłonecznym starym Edynburgu. Nie, nie — upierał się Doogie — jej miejsce jest na Majorce, a ja nigdy nie kazałbym jej poświęcić tego, co tu ma, na rzecz mojej przyszłości i mojego dyplomu. To by nie było fair.

Angie wciąż nic z tego nie przyjmowała do wiadomości.

— Czyli chcesz mi powiedzieć, że będziecie się widywać raz na rok, tak? Będziesz tu wracał w wakacje. To mi chcesz powiedzieć?

- Kto wie, czy będzie mnie stać, żeby tu wracać choćby ten jeden raz w roku? Pomyśl tylko, kredyt studencki to gorzej niż plajta, bo do tego masz długi. To cholerny koszmar, Ange.

Doogie sam siebie wprawiał w nastrój beznadziei.

- Harlekin - powiedziała Angie.

Doogie zauważył, że z trudem ukrywała uśmiešek.

- Co to znaczy, harlekin? Angie zaczęła chichotać.

- No, albo Barbara Cartland. Wybieraj. Wiesz, typowy banał, przystojny młody student zakochuje się na zabój w ciemnowłosej miejscowej dziewczynie, ale okrutny los i spiskujący ojciec jego byleż rozdzielają ich, di-da-di-da-di-da. Przynajmniej czarny charakter masz z głowy, skoro Szybki Nicky siedzi w mamrze.

- O ile widzisz w tym coś śmiesznego, proszę bardzo, śmieję się - mruknął Doogie.

Wciąż uśmiechnięta Angie znów się zreflektowała.

- Wybacz, kochany. To przez ten gin.

- A ona me jest moją byłą - podkreślił Doogie.

- Oooooo! - zakpiła Angie. - Wciąż mamy Margaret na oku, co?

Doogie nie był w nastroju do takich żartów.

- Daruj sobie, Angie - mruknął. - Wiesz, jak jest. Po twarzy Angie przemknął wyraz skruchy.

- Dobra, nie chciałam być nieczuła, naprawdę. Po prostu nie wierzę, że ty i Catalina wytrzymacie te trzy lata - ty w Szkocji, ona tutaj. Tylko o to mi chodzi. Wiesz, w tej branży widziałam już dużo związków na

odległość, sama też przerobiłam ich dość, żeby wiedzieć, o czym mówię, uwierz mi, młody.

Doogie był tym trochę zaskoczony i bardziej niż trochę skrepowany.

— Niech będzie, może to i harlekin, i pewnie pomyślisz, że jestem głupi, ale Catalina mówi, że poczeka i w ogóle, więc...

Angie poklepała go po kolanie.

— Nie, nie, wszystko źle zrozumiałeś, kochany. Ja nie mówię, że ona nie myśli o tym poważnie. Na pewno myśli. Taka ślepa znów me jestem. Nie, chcę powiedzieć, że kiedy ty i ona będziecie od siebie oddaleni przez trzy lata... — Potrząsnęła głową. — No, uwierzę, jak zobaczę.

Doogie zrobił jeszcze bardziej przybitą minę.

— Nie widzę żadnej alternatywy, Ange. — Myślał przez chwilę. — Chyba że obleję egzaminy.

— O, ha, ha — zachnęła się Angie. — Marne szanse! Po tych latach, przez które pracowałeś w weekendy u weterynarza, plus to, co już przerobiłeś na studiach, pewnie mógłbyś już teraz się bronić!

— Obawiam się, że to nie takie proste. — Doogie pogładził się po brodzie, znów zamyślony. — Chociaż...

— Tak? — pochwyciła zaciekawiona Angie. Doogie poruszył ramionami.

— Ee, nic takiego. Taka głupia myśl związana z *finca* starej Marii.

— No mów! Gadaj!

Doogiemu zrobiło się głupio, prawie żałował, że poruszył ten temat.

- Nie, to mrzonki. Po prostu... no, znam się na zwierzętach, a teraz, jak trochę się zorientowałem w biznesie turystycznym...

Angie odetchnęła z rozpaczą.

- Nie nadażam za tobą, młody, ale jak to było w tej piosence: „Jeśli nie masz marzenia, jak zamierzasz je spełnić?”. Dlatego atakuj, nieważne, co ci tam właściwie chodzi po głowie.

- No, zobaczymy - odparł Doogie. - Jak mawiał ten stary gość od filmów, Goldwyn, „musimy minąć jeszcze wiele wód”, czy jakoś tak. - Tym razem to on postanowił szybko zmienić temat. - Zresztą, Angie, po kolei. Przez tych kilka tygodni, które mi tu zostały, nie mam nawet gdzie złożyć znużonej głowy do snu.

- Musisz przez całe życie być takim tępym szkockim głąbem? Myślałeś, że ciotka Ange wykopie cię na twój uroczy mały tyłeczek? - Połaskotała go pod brodą. - Nic się nie bój, młody. Możesz kimać u mnie, dopóki cię nie pogonią na koniec miesiąca. Wyluzuj!

Doogie pytająco przekrzywił głowę.

- Czyli, ee, ty i Pedrito... będziecie znów mieszkać w mieszkaniu starej Marii, tak mam to rozumieć?

Angie popatrzyła przed siebie i zagadkowo się uśmiechnęła.

Doogie nic nie rozumiał.

- No dobrze, ale tak czy inaczej wracamy do poprzedniego problemu - kto się będzie zajmował Pedritem, kiedy ty będziesz w pracy? Mogą minąć miesiące, zanim stara Maria... a nawet wtedy... i, jak mówiłem, matka Cataliny...

- Powiedz no, czemu ty tak koniecznie szukasz wszędzie dziury w tartanie? - zaśmiała się Angie. -Dbaj o swoje ciśnienie, chłopcze! Jako adept tajemnic sztuki lekarskiej powinieneś wiedzieć, że nie należy się martwić o rzeczy, które się nigdy nie zdarzą.

- Nie nadażam. Go to znaczy, że się nigdy nie zdarzą?

Angie zrobiła zawstydzoną minę, zaczęła wykręcać ręce i skromnie trzepotać rzęsami.

- Ależ Doogie - powiedziała teatralnie omdlewającym głosem - nie zauważyłeś, jaką nieposkromioną fascynację budzę w mężczyznach?

- No... nie! - odparł Doogie, postanawiając trzymać się konwencji.

- O'Mara, ty świni! - syknęła Angie, a potem wróciła do swojej roli, znów trzepocząc rzęsami. -W niektórych mężczyznach, ma się rozumieć. Typu, ee, rustykalnego.

- Ja jestem typem rustykalnym, a w ogóle na mnie nie działasz.

- Dlaczego mającą mi przed oczami słowa „pierdol” oraz „się”, Douglas? - powiedziała Angie z przesadną uprzejmością.

- To mi nie brzmi jak tekst z harlekina czy Barbary Cartland!

- Tak, ale to dlatego, że teraz mówimy o moim życiu uczuciowym, młody, a ja wolę Jackie Collins. Wracając do rzeczy... Nieposkromiona fascynacja, którą budzę w niektórych wiejskich mężczyznach, pamiętasz?

Doogie popatrzył na nią tępo. Angie cmoknęła.

- No dobrze, nieposkromiona fascynacja, którą darzy mnie jeden wiejski mężczyzna. Dotarło do tej twojej tępej mózgowicy?

Doogie przyjrzał się jej uważnie, żeby mieć pewność, czy nie żartowała, ale wciąż nie czuł się przekonany.

- Robisz ze mnie głupka?

- Gdzieżby tam! - odparowała Angie, niewinnie potrząsając głową.

Doogie zaczął się śmiać.

- Nie... nie... Rafael? — Zerknął na nią, szukając potwierdzenia lub zaprzeczenia, ale ona tylko wyniośle ściągnęła usta. - Ty i Rafael? - spytał ponownie. - Mówisz, że ty i Rafael?

- A co w tym takiego cholernie śmiesznego, jeśli wolno spytać?

- Nie, nie, nie ma w tym nic śmiesznego — wycofał się pospiesznie Doogie, nagle wyczuwając, że Angie może mówić poważnie. - Tyle tylko... taka niespodzianka. .. to znaczy, kto by się domyślił?

- A ty myślałeś, że on jest wpatrzony tylko w Catalinę, prawda? - spytała kpiąco Angie.

- Tak - przyznał Doogie, a potem uśmiechnął się z aprobatą, kiedy fragmenty układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce. - Ale Catalina tak nie myślała, prawda?

- Słucham?

- Tamtego wieczoru u jej rodziców, kiedy jedliśmy kolację pod *porche*, pamiętasz? Tak... - pokiwał głową

— Cati już wtedy się domyśliła, że Rafał na ciebie leci. Ale szczerze mówiąc, nie uwierzyłbym za nic na świecie, że...

Zamknął usta, uświadamiając sobie, że właśnie zamierza pałać coś okropnie głupiego.

— Tak, chyba jasno dałeś do zrozumienia, o co ci chodzi, młody O'Maro — powiedziała sucho Angie, a potem rozplynęła się w zadowolonym uśmiechu.

— Ale to, czego nie wzięłaś pod uwagę, samemu będąc człowiekiem z mroźnej północy, to niszczycielski efekt, jaki chłodna, klasyczna, blondwłosa, nordycka uroda wywiera na nieposkromionym Latynosie. — Opuściła osłonę przeciwsłoneczną i obejrzała sobie czubek głowy w lusterku. — Co mi przypomina, że muszę poprawić sobie odrosty!

Doogie wciąż nie potrafił przełknąć związku Angie i Rafaela.

— Ale jak? To znaczy, kiedy...? — wyjąkał. — Ty byłaś na Ibizie, on był tutaj i w ogóle...

— Gatalina odgadła idealnie — rzekła Angie. — Między mną i Rafaeliem tamtej nocy na tarasie Finca Sa Grua faktycznie była magia, tyle że ja za bardzo się upiłam starym winem Ensenyatów, żeby to zauważyć. Ale potem spotkałam się z Rafaeliem jeszcze kilka razy, kiedy odwiedzałam Ensenyatów, aby prosić o opiekę nad Pedritem. Od słowa do słowa, jedno prowadziło do drugiego i tak dalej. Potem Rafael zaczął codziennie dzwonić do mnie na Ibizę, i jakoś tak doszliśmy do takiego etapu, że... w majorkańskim powietrzu rozszedł się zapach pomarańczowego kwiecia.

Doogie osłupiał, ale też ogromnie się ucieszył.

- Ty... to znaczy... - wyjąkał, głupio się szczerząc - ty i Rafael... będziecie się hajtać?

Radosne iskry w oczach Angie mówiły same za siebie, ale mimo to dodała kilka słów.

- Żebyś wiedział! A jak Rafa dzisiaj me padnie przede mną na kolano w przeciągu dwóch minut od naszego wielkiego spotkania, to sama poproszę tego zacofanego wieśniaka o rękę!

I tak Angie miała zostać żoną farmera. Angie! Doogie śmiał się na samą myśl. Nie mógł w to uwierzyć. Puścił jedną ręką kierownicę, objął Angie za szyję i cmoknął ją w policzek.

- Pozwól, że ci pogratuluję jako pierwszy, Ange - powiedział z radością. - Naprawdę, strasznie się cieszę.

Tak, mały Pedrito też na tym skorzysta - Angie pociągnęła nosem, a w jej oczach wezbrały łzy - skoro tak polubił Rafaela, i to z wzajemnością. A wychowanie na wsi, na farmie, ze zwierzętami i tak dalej - to by mu tylko dobrze zrobiło, małemu mieszcuchowi. A co do mnie? Cóż, pewnie szybko się wdrożę. Chociaż me mam pojęcia o rolnictwie. Ale co tam, jak już powiedziałam, przez lata pracy w Merryweather Holidays nauczyłam się bardzo dużo o dzikiej przyrodzie i zwierzętach, zwłaszcza podczas dorocznego, dwutygodniowego święta Glasgow Fair. Umówmy się, młody - zakończyła - zadawanie się z trzodą chlewną po czymś takim to będzie betka!

- A więc tak - uśmiechnął się Doogie - twoje dni jako rezydenta są policzone, co?

— Doczekam do końca miesiąca, do końca ciężkiego sezonu — to znaczy, jeśli mama Gataliny wytrzyma jeszcze tyle z Pedritem. Nie jestem nic winna Samowi Merryweatherowi, ale Manolo i reszta załogi — wiesz, nie chciałabym się na nich wypinać.

Doogie puścił do niej oko.

— Jesteś aniołem, Angie. Już dawno to mówiłem.

— Hmm, może — mruknęła. Jej uśmiech zniknął. — Ale upadającym, i to o wiele za często. Tak, i na dowód mam siniaki!

— Nie bądź dla siebie taka surowa — skarcił ją Doogie. — Rafael nawet nie wie, jakie ma szczęście.

Zerknął na twarz Angie i zobaczył na jej czole drobne zmarszczki wątpliwości.

— Dzięki, kochany — powiedziała — ale za każdym razem, jak spotykało mnie w życiu coś dobrego, dupa z tego była. Zwłaszcza z mężczyznami. — Ściszyła głos, jakby mówiła do siebie. — Nie mogę uwierzyć, że tak mi się pofarciło, to wszystko. Jak w bajce.

Doogie ścisnął jej dłoń.

— Pamiętasz, co mi powiedziałaś tamtej nocy, kiedy przyleciałem głuptakiem z Manchesteru i czułem się zagubiony, nie wiedząc, czy postępuję słusznie?

Angie uśmiechnęła się tęsknie.

— Tak, „teraz już będzie z górki”, zgadza się?

— Zgadza się. I tak będzie dla ciebie, Rafy i Pedrita. Pomyśl tylko, wasza trójka, i może pół tuzina *bambinos*, wszyscy jadący w stronę zachodzącego słońca na wózku zaprzężonym w osiołka.

Angie smutno wyglądała przez okno.

- Hmm, poza tą szóstką bachorów, to fajne marzenie. Tu mnie masz.

- A więc rób, jak mówi ta piosenka, i spełnij je. Sama kazałaś mi to zrobić. Dalej, rozchmurz się, ciociu Angie. Czeka na ciebie zupełnie nowe życie!

Doogie widział, że Angie z trudem pokonuje swój brak pewności siebie, swoją nieufność wobec tego, co przyniesie przyszłość.

- Tak, masz rację, Doogie - powiedziała w końcu, przybierając bardziej optymistyczną postawę. - Trzeba je złapać za kark i porządnie przetrzepać. Wszystko będzie świetnie, oczywiście. I słuchaj, jeszcze jedno! - Znów palnęła Doogiego w ramię. - Będę twoją sąsiadką, kilkaset metrów dalej. - Przerwała i dodała pytająco: - To znaczy, kiedy wrócisz za trzy lata do *finca* starej Marii.

- Tak - odparł po chwili Doogie, ze wzrokiem utkwionym w oddali i myślami błądzącymi jeszcze dalej. - Kiedy...

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mała farma ze starą studnią

Wiedząc, że Pedrito jest w przedszkolu we wsi, Doogie wysadził Angie na farmie Rafaela i, nie chcąc przeszkadzać im w spotkaniu po długiej rozłące, natychmiast cofnął się kilkaset metrów drogą do Finca Sa Grua. W uszach wciąż dźwięczało mu ostrzeżenie Angie, by „trzymał gębę na kłódkę” o jej rychłych zaręczynach. Na podwórku Ensenyatów Catalina i jej matka, obie zmartwione i smutne, żegnały właśnie starszego mężczyznę o wyglądzie równie ponurym, co jego starożytny czarny mercedes. Kiedy tylko samochód wyjechał za bramę, *seriom* Ensenyat pospieszyła do domu, pozdrawiając Doogiego jedynie szybkim machnięciem ręki i roztargnionym uśmiechem.

- To był lekarz - powiedziała mu zdenerwowana Catalina. Jej ojciec miał atak. Już wcześniej miewał je kilka razy, ale nie takie ciężkie jak ten. Zazwyczaj tylko trochę go bolało, uciskało w piersi. „Nie ma się czym przejmować - mawiał - to tylko lekka niestrawność". Ale tym razem było o wiele gorzej. Ledwie oddychał - coś ciążyło mu ogromnie w piersiach, pocił się zimnym i gorącym potem, ból przeszywał mu rękę. Padł na podłogę, z trudem łapiąc powietrze, krew odpłynęła mu z twarzy. Catalina i jej matka pomyślały, że umiera. Posłały po lekarza, który natychmiast przyjechał, dał mu jakiś zastrzyk i aspirynę, jakby tego akurat mu było trzeba.

Mimo łez w oczach Catalina zdobyła się na optymistyczny ton, dodając, że z jej ojcem jest już trochę lepiej - leży w łóżku, choć wciąż nie wygląda dobrze.

- Serce? — spytał retorycznie Doogie. Catalina kiwnęła głową.

- Na szczęście to nie był pełny zawał - powiedziała - ale mimo wszystko poważne ostrzeżenie. Mój ojciec musi od tej pory bardzo o siebie dbać, jak powiedział doktor, „obchodzić się ze sobą jak z jajkiem".

- Co oznacza, że będzie potrzebował pomocy w gospodarstwie - stwierdził Doogie. - Dobrze, że Rafael mieszka blisko.

Catalina potrząsnęła głową.

- Rafa ma dość pracy na własnej *finca*. Często mówi, że aż za dużo. Och, pewnie, czasami pomaga papie w *emergencia*, jak kiedy rodziła jałówka. Ale nie, *normalmente* nie może.

Choć troska wyraźnie nie pozwalała jej myśleć o niczym innym, Catalina wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się do Doogiego.

- Czyli dobrze, że praca dla Merryweathera mi się kończy, nie? Teraz będę mogła pomagać mojej mamie, pomagać tacie. - Z rezygnacją wruszyła ramionami. - To naturalne. Tak robią ludzie ze wsi.

Doogie wiedział, że pomimo tej stoickiej postawy, Catalina jest głęboko rozczarowana faktem, że to, co postrzegała jako ucieczkę w nowoczesny świat, tak nagle się skończyło. Zdawał sobie jednak sprawę, że najważniejsza była dla niej rodzina, a zwłaszcza obecny stan jej ojca. Był pewien, że zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, by pomóc rodzicom, me myśląc przy tym o sobie. Zaczął się zastanawiać, jak mogłoby wyglądać jego własne życie rodzinne, gdyby nie był tak samolubny.

- Jakie szczęście - ciągnęła Catalina - że przytrafiło im się to akurat teraz. Sierpień to spokojny miesiąc w gospodarstwie, plony zostały już zebrane, a słoma i siano leżą w belach w stodole. Ale za kilka tygodni - *hombre* - to już inna historia! Zbiory migdałów. Cała dolina będzie rozbrzmiewać odgłosami dźwigów potrząsających gałęziami drzew i zrzucających migdały w suchych, popękanych łupinach. Wszyscy, młodzi i starzy, będą pomagali je zbierać z siatek rozłożonych pod drzewami. Ciężka praca na wrześnieowym słońcu, ale czasami też dobra zabawa, całe rodziny razem... - Catalina uśmiechnęła się na tę myśl. - To jest bardzo stary element stylu życia na Majorce - powiedziała - Si", to naturalne.

Potem umilkła i spuściła wzrok na pylistą ziemię. Doogie pogładził ją po włosach, ale nic nie powiedział. Wiedział, o czym myślała.

— Czy w Szkocji będą zbiory migdałów we wrześniu? — spytała w końcu, nie podnosząc głowy.

Doogiemu słowa więzły w gardle.

— Nie ma migdałów, Gati — mruknął w końcu. — W Szkocji nie zbiera się migdałów.

Catalina wzięła go za rękę i popatrzyła na niego z uśmiechem na ustach, ale z melancholią w oczach.

— Chodź — powiedziała tak wesoło, jak tylko zdołała. - Chodź, pokażę ci *finca seńory* Marii.

Doogie nie miał okazji porozmawiać z Cataliną o farmie Mani od dnia, kiedy staruszka przeniosła na nią akt własności: dnia, który skończył się tak strasznymi przeżyciami z Nickiem Martinem w roli głównej. Nie chciał nawet wspominać o gospodarstwie, dochodząc do wniosku, że łatwiej będzie im obojgu udawać, że ta sprawa nie istnieje, dopóki nie zobaczą, co im niesie przyszłość. W końcu przez trzy lata bardzo wiele mogło się zdarzyć. Teraz jednak, kiedy Catalina poruszyła ten temat i rzeczywiście widzieli farmę, leżącą kilka pól dalej, Doogie nie zdołał przezwyciężyć ciekawości — uczucia, które stopniowo przeradzało się w prawdziwą fascynację tym bardziej, im bardziej zbliżali się do starego gospodarstwa.

— *Finca* składa się z sześciu małych pól — wyjaśniła Catalina, kiedy szli przez pierwsze pole. Każde było otoczone murkiem z układanych na sucho kamieni i poprzecinane rzędami migdałowców, gdzieniegdzie

przetykanymi figą czy rożkowcem, na każdym jednak pozostawało dużo otwartej przestrzeni na uprawę zbóż albo wypas zwierząt. - Teraz nie wygląda to zbyt imponująco - przyznała Gatalina. A powód tego był taki, że jej ojciec przez ostatnie lata wykonywał tu tylko najbardziej niezbędne prace, skoro ze starą Marią łączyła go tylko nieoficjalna i tymczasowa umowa dzierżawy. Ale dziewczyna pamiętała, jak farma wyglądała, kiedy Gatalina była mała i kiedy Maria i jej mąż byli młodszy i sprawniejsi. - Ach, *si*, wtedy było zupełnie inaczej. Gospodarstwo było żywe, zamieszkane, ślicznie zadbane, wprost cudowne. I była tam też dobra studnia, wciąż zdatna do użytku - jak zapewniał mój ojciec - z mnóstwem słodkiej wody. Wody, która dla rolników w tych okolicach była skarbem cenniejszym niż złoto.

Doogie miał już powiedzieć, że teraz, kiedy Catalina jest właścicielką farmy, nic nie stoi na przeszkodzie, by jej ojciec doprowadził ją do pełnego stanu używalności, ale się rozmyślił. W świetle porady doktora dla *señora* Ensenyata, by „obchodził się ze sobą jak z jajkiem”, nowe, dodatkowe obowiązki na pewno nie wchodziły w grę.

Jak na wielu majorkańskich *finca*, tak i tutaj stał dom, który w swoim czasie zapewniał schronienie ludziom i zwierzętom; małe przybudówki na obu końcach głównego budynku były pierwotnie pomieszczeniami dla osła albo muła, może krowy, albo jednej czy dwóch kóz. Nieco oddalone od domu stały niewielkie zagrody - prowizoryczne konstrukcje wzniesione ze wszystkiego, co było akurat pod ręką. Jedna, która, jak

Doogie się domyślił, przeznaczona była dla drobiu, została zrobiona z sękatych słupów z drewna migdałowego na fundamencie z brył majorkańskiego piaskowca, do których przywiązano drucianą siatkę. Oszczędzono na każdym wydatku, bez wątpienia z konieczności. Druga zagroda miała postać płytkiej jamy, otoczonej tymi samymi kamiennymi blokami. Z nich też w jednym końcu wzniesiono niewielki, kryty dachówką chlewik.

- To było domostwo należącej do rodziny świni -wyjaśniła Gatalina, mówiąc po hiszpańsku dla lepszego przekazu. - Świnia - podkreśliła - jeszcze do niedawna była bardzo ważnym członkiem każdego wiejskiego gospodarstwa na Majorce. W listopadzie lub grudniu -wspominała dalej z rozrzewnieniem - był czas *matances*, świmobicia, kiedy wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety z sąsiednich farm pomagali sobie w przygotowywaniu mięsa, soleniu, wędzeniu i robieniu kielbas. Często trwało to kilka dni w każdym gospodarstwie. Wtedy dopiero była zabawa: śpiewy i tańce co wieczór! - zaśmiała się. - *Mądre mia*, co za frajda!

- Dla wszystkich, z wyjątkiem biednych świń -powiedział Doogie z kpiącym uśmiechem.

Ale Catalina była tak pochłonięta wspomnieniami święta, że go nie usłyszała.

- Wciąż to robią, *matances*, na niektórych farmach wysoko w górach - powiedziała, energicznie kiwając głową. - Co za zabawa! *Si*, zabiorę cię na nie w tym listopadzie albo gru... - urwała raptownie i dokończyła cicho. - Zabiorę cię na nie... któregoś dnia.

Doogie nie wiedział, co powiedzieć. Im bardziej zbliżała się data jego wyjazdu, tym trudniej było o nim mówić. Oboje zdawali sobie z tego sprawę. Objął Catalinę i stali przez chwilę, patrząc na prezent od starej Marii, który w innych okolicznościach byłby spełnieniem marzeń dwójki młodych ludzi, takich jak oni. Jednak ta świadomość bynajmniej im niczego nie ułatwiała. Doogie miał wrażenie, że to wszystko jest jakimś niemożliwym snem. Ale ten sen był tu, obok mego i wszędzie dookoła. I był prawdziwy.

Popatrzył na zaniedbany, stary dom, chłonąc jego wiekowy wygląd, złociste, kamienne ściany. Opleciona winem pergola nad drzwiami była wypaczona i popękana, okiennice wypłowywały od słońca i obłaziły z farby, a mimo to dom emanował dziwnie smutnym, ale serdecznym ciepłem. To był dom, który czekał, aż ktoś znów w nim zamieszka i Doogie nie mógł się oprzeć jego urokowi. Popatrzył na otaczającą ich szachownicę poletek, opadających z jednej strony ku Capdelli, z drugiej wznoszącą się tarasowo do farmy rodziców Cataliny. A wszystko to w objęciach chroniących ramion majestatycznych, majorkańskich gór.

To było dobre miejsce.

- Nazywa się Finalet Pou Vell - powiedziała Catalina, jakby czytała Doogiemu w myślach. - Mała Farma ze Starą Studnią.

- Finalet Pou Vell - powtórzył Doogie. Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, choć chłopak sam nie wiedział, dlaczego. - Mała Farma ze Starą Studnią? - Pokiwał z aprobatą głową. - Ładnie brzmi.

Catalina też się uśmiechała; wyraźnie jej ulżyło po zobaczeniu reakcji Doogiego.

- Ale dom - powiedziała z namysłem - potrzeba dużo pracy, żeby go odnowić.

- Nie - odparł Doogie - wystarczy odrobina farby i trochę wysiłku. No dobrze, to wyzwanie, ale przyjemne.

- I dach jest dobry - naciskała dalej Catalina. -Papa dbał o niego dla *señory* Marii. Si, bardzo *importante*, dobry dach, zawsze tak mówił.

Doogie popatrzył na stare dachówki w kolorze ochry i taki sam okopcony sadzą „czepek” na kominie. Tu i tam pędy winorośli znad drzwi wejściowych przedostały się nad okap i pełzły w górę po dachu, niczym ostatnie dotknięcie pędzla artysty, dodając dramatycznego akcentu zaniedbanej urodzie tego miejsca.

Wyczuwając zachwyt Doogiego, Catalina szturchnęła go w ramię. Z psotną iskierką w oku pokazała mu stary klucz, który do tej pory ukrywała w dłoni.

- Chce pan zajrzeć do środka? - spytała, przekrzywiając głowę.

Doogie pstryknął ją w czubek nosa.

- Podstępne zagranie. Powinnaś być agentem nieruchomości.

Rozchichotana Catalina przekręciła klucz w zamku i stare dębowe drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Kiedy weszli do środka, powitał ich ostry aromat drzewnego dymu, ze słabą nutką sera i starej skóry. Po oślepiającym blasku południowego słońca było tu ciemno jak w jaskini. Jednak, najwyraźniej dobrze za-

znajomiona z geografią pomieszczeń, Gatalina sunęła w tę i z powrotem, otwierała okna, rozchyłała okiennice i trąkotała jak nakręcona o tym, że dom trzeba przewietrzyć, podłogi dokładnie umyć, a ściany i całą resztę dobrze odkurzyć. Ale nie było myszy, jak Doogie mógł się przekonać po pustych pułapkach, które ojciec Cataliny zaopatrywał regularnie w przynęty w postaci dobrego, śmierdzącego majorkańskiego sera.

- *Si*, było bardzo *importante*, żeby nie wpuszczać myszy do pustego domu, tak zawsze mawiał.

Doogie stał w wejściu i mrugał, a krzątanina Cataliny stopniowo zalała wnętrze światłem. Drzwi prowadziły wprost do dużej kuchni, która służyła jednocześnie za salon i jadalnię. Jak poinformowała go Catalina, w starych, niezmodernizowanych majorkańskich domach było to typowe. Potem pokazała Doogiemu tradycyjne, niszowe palenisko w kącie, z gzymsem z grubo ciosanej belki drewna oliwnego, poczerńiałego od liżących je przez stulecia płomieni; wiekowe płytki terakoty na podłodze; gołe drewniane belki z hakami do wieszania szynek; grube półki z płyt miejscowego piaskowca, bielone tak samo jak ściany, których grubość zapewniała ciepło w zimie i chłód w lecie.

Ażurowe, drewniane schody oddzielały kuchnię od jedyne go pomieszczenia w tej głównej części domu. Było ogromne, a na środku stał wielki stół na kozłach, otoczony rozeschniętymi krzesłami oraz kolekcją koszyków, tacek i skrzynek, niektórych wciąż pełnych migdałowych łupm. Przy kamiennej umywalce w rogu stała stara pralka. Na ścianach wisiały rzędy narzędzi

służących do prac ziemnych oraz do przycinania drzewek, zaś przy tylnym wyjściu, na drewnianych kołkach zawieszono było coś, co Doogiemu przypominało miniaturową końską uprzęż; skóra była szara i spękana ze starości.

- To dla *burro*, osła - powiedziała Catalina, bardzo rozbawiona jego zdziwioną miną. - A ten pokój nazywa się *almacén* - było to połączenie składziku, warsztatu i centrum codziennego życia na majorkańskiej farmie dawno temu. I dzisiaj też, w niektórych gospodarstwach.

- To jak wehikuł czasu - sapnął Doogie z wielkimi oczami. - Czary. Tak, naprawdę czary.

Na górze powitała ich atmosfera odpoczynku i spokoju w prostych sypialniach majorkańskiego gospodarza i jego rodziny. To była oaza dawno minionej sielanki, oddalona o lata świetlne od turystycznej ciżby, która pulsowała, łomotała, migotała i ryczała zaledwie dwadzieścia minut stąd, na niegdyś równie sielankowym wybrzeżu.

- Tak - uznał Doogie - *Fincalet Pou Vell* to faktycznie bardzo dobry dom.

Catalina pokazała mu wszystkie cztery pokoje po kolei, pospiesznie otwierała okna, przeproszała za zaduch, machała ręką na zapach kulek na mole w szafach. Z coraz większym entuzjazmem pokazywała widoki, roztaczające się z okien na pola; na studnię, od której farma wzięła swoją nazwę, ze starym kołowrotem do wyciągania wody, w którym zaprzęgane były osły; na pomarańczowy gaj nieopodal; na sąsiednie far-

my po drugiej stronie doliny i na wyniosłą górę Galatzo, zasłaniającą horyzont na północy.

W ostatniej, najmniejszej sypialni w ścianie było małe zagłębienie, a w nim świeczka i drewniany krzyżyk wiszący nad starym zdjęciem w kolorze sepii, oprawionym w złotą, zdobioną ramkę. Zaciekawiony, dlaczego zostawiono je w pustym pokoju, Doogie wziął fotografię i stanął w świetle przy oknie. Przedstawiała dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę, w wieku około dwóch czy trzech lat. Dzieci były przebrane za aniołki, miały aureolki ze sreberka i skrzydełka z muślinu na drucianej ramce, pewnie szykowały się na bal kostiumowy, czy raczej na świąteczną procesję jak ta, którą Doogie i Catalina oglądali z Marią w Valldemossie.

- To dzieci *señory* Marii - powiedziała Catalina. Ze smutkiem dotknęła zdjęcia opuszkami palców.

Doogie był zmieszany.

- Ale... ale zdawało mi się, że stara Maria nie miała dzieci. Pamiętam, że mi coś takiego mówiłaś.

- Dwójka dzieci zmarła niedługo po tym, jak zrobiono to zdjęcie - wyjaśniła Catalina. Chociaż było to bardzo, bardzo dawno temu, słyszała tę historię wiele razy od własnych rodziców i od starej Marii, która zabierała ją do tego pokoju i pokazywała „kapliczkę swoich aniołków”, jak ją nazywała. To był dyfteryt, gruźlica czy jakaś gorączka. Catalina nie pamiętała dokładnie - tylko tyle, że maluchy Marii zmarły na jedną z tych chorób, których w tamtych czasach dzieci zwykle nie przeżywały. Maria i jej mąż więcej

potomstwa już nie mieli, ale zachowali ten pokój, małej Margarity i Josego, takim, jaki był zawsze, dopóki Maria, po śmierci męża, nie wyjechała z *finca* do mieszkania w Palma Nova dziesięć lat temu. A chociaż wtedy wszystko stąd zabrała, spłowiałe zdjęcie w złotej ramce pozostało - żeby duszyczki małych aniołków zawsze były u siebie w domu - jak powiedziała zapłakana Maria w dzień, w którym żegnała się z domem.

Doogie ostrożnie odstawił zdjęcie na miejsce.

- Czyli Mała Farma ze Starą Studnią byłaby ich dziedzictwem - powiedział z wahaniem - gdyby przeżyły.

Catalina przez kilka chwil milczała. Stała wpatrzona w zdjęcie, jakby zbierała się na odwagę, by powiedzieć to, co chodziło jej po głowie.

- Myślę, Doogie - wybąkała w końcu - że może... może dlatego właśnie *señora* Maria... kiedy pierwszy raz zobaczyła nas razem...

Doogie wziął ją za rękę, która była dziwnie zimna.

- Wiem, Cati - powiedział po cichu. - Wiem.

Zostawili stary dom i jego aniołki we śnie i ruszyli z powrotem doliną. Doogie miał w głowie jeszcze większą gonitwę myśli niż zwykle, Catalina była zadowolona, że mała farma - *ich* mała farma - rzuciła na niego swój czar. Wciąż jednak dręczyły ją wątpliwości. Doogie musiał ją zostawić. Wiedziała o tym i choć było jej bardzo trudno, pogodziła się z jego argumentami. Nic innego jej nie pozostawało. Ale czy napraw-

dę wróci do niej po tych trzech latach spędzonych w świecie, którego nie rozumiała, z przyjaciółmi, których nie znała? Z przyjaciółmi, wśród których były dziewczyny. A wśród nich była Margaret.

— Doogie - powiedziała, przystając, by obejrzeć się na stary dom, znów sielski w swoim osamotnieniu. - Pamiętasz tamtą noc w parku pałacowym w Palmie, kiedy patrzyliśmy przez kamienny łuk na te czarne, wielkie, pływające ptaki?

— Czarne łabędzie? Tak - odparł Doogie i zaśmiał się. - To chyba jedyny wieczór, który oboje zapamiętamy na całe życie, z najróżniejszych powodów!

— Si, ale powiedziałeś wtedy...

— Tak?

Na twarzy Catalmy pojawiło się zmieszanie.

— Powiedziałeś coś dziwnego... coś o *finca señory* Marii i rozbieraniu kota z futra dwa razy.

Doogie zaśmiał się głośno.

— Chodzi ci o to, że jest więcej niż jeden sposób, by oskórować kota, tak?

— *Si, exacto!*

Doogie zgarbił się i uśmiechnął z zakłopotaniem.

— Ech, to był tylko taki świrnięty pomysł, który mi wpadł do głowy, to wszystko.

— Świrnięty?

Doogie podrapał się w głowę, myśląc pospiesznie.

— Tak, po hiszpańsku to chyba będzie *impreciso*.

— Ach, *impreciso!* - Catalina czekała z uniesionymi brwiami, co powie dalej, ale on milczał. - No to jaki masz ten świrnięty pomysł na *finca*? - Dźgnęła go żartobliwie palcem w brzuch. - Mów, Szkocie! Mów, bo cię zacznę łaskotać!

Doogie uciekł spod jej wszędobylskich palców.

- Dobrze, dobrze, poddaję się - powiedział błagalnie. - W łaskotkach jestem bezbronny jak mały kotek.

- Znów kot! - zawołała zniecierpliwiona Catalina, wciąż idąc za nim z rozczapierzonymi palcami. - A teraz mów, co to za pomysł!

Doogie podrapał się w nos. Krępował się i było to widać.

- Tak w ogóle to głupi pomysł, i może nie powinienem. ..

Catalina, z palcami gotowymi do ataku łaskotek, skradała się do niego i groźnie patrzyła mu w oczy, a Doogie cofał się, aż wpadł plecami na pień rozłożystego, starego figowca.

- Mów, albo cię znowu będę łaskotać! - powtórzyła. Doogie zrozumiał, że został pokonany.

- Dobrze, dobrze, uwaga! - powiedział i wziął głęboki oddech. - Wpadłem na ten pomysł - wyjął

- pierwszego strasznego dnia pracy w Merryweather Holidays, kiedy kazano mi zawieźć autokar turystów do La Granja, starej farmy-pułapki na turystów, pełnej tradycyjnych, górskich atrakcji. Mieli tam trochę zwierząt

- właściwie tylko garstkę, nic wyjątkowego, ale zauważyłem, że działały one jak magnes przyciągający mamy i tatusiów z małymi dziećmi. Dlatego, tamtego wieczoru w parku Almudaina, zacząłem myśleć, że skoro *finca* starej Marii jest za mała, żeby w dzisiejszych czasach utrzymać się z niej w tradycyjny sposób, może dałoby

się tam rozwinąć coś łączącego turystykę z moją uniwersytecką wiedzą. Wcześniej próbowałem o tym porozmawiać z Angie, ale mi się nie udało i wciąż uważam całą koncepcję za trochę, no, nierealną.

Kiedy Catalina zrozumiała, o co mu chodzi, na jej twarzy pojawił się uśmiech podziwu.

- Nie, to nie jest *concepto* nierealny - powiedziała. — To *concepto* bardzo genialny, *mucho estupendo!*

Chwyciła Doogiego za uszy i, jakby chcąc mu pokazać, że nie żartuje, dała mu od dawna zaległego, przynajmniej w jej opinii, całusa.

Ale Doogie wciąż był nieprzekonany do całego tego pomysłu.

— Naprawdę tak myślisz? — spytał. — Naprawdę uważasz, że mogłoby się udać?

Czego jemu brakowało z pewności siebie, Catalina z nawiązką nadrabiała entuzjazmem.

— *Si, si*, ale musisz powiedzieć mi więcej! — ponagliła. — Już! Umieram z ciekawości!

Doogie wziął kolejny głęboki oddech.

— A więc tak — powiedział. — Zwykle nazywa się to małym zoo.

Catalina przekrzywiła głowę.

- Zoo?

- Tak, to zagroda otwarta dla zwiedzających i specjalnie dla nich przygotowana, gdzie mogą z bliska obejrzeć najróżniejsze hodowlane zwierzęta. I oczywiście trzeba cały czas pilnować, żeby było tam dużo małych jagniąt, cieląt, kurczaków, prosiaków — dla dzieci do głaskania, czy nawet karmienia. Na przykład popatrz tyl-

ko, jak Pedrito przepada za zabawą z królikami. W niektórych takich gospodarstwach można obejrzeć nawet rzadkie rasy - bydło i inne zwierzęta z dawnych czasów. O tak, zdziwiłabyś się, jak to ludzi interesuje. Zawsze fascynuje ich wszystko, co ma związek z przeszłością.

- Doogie zagrzewał się do tematu, zaczynał nawet sam wierzyć, że to może być wykonalne. - Zmierzam do tego, że takie małe zoo może być dobrym sposobem na zarabianie pieniędzy w gospodarstwie, które jest za małe, żeby utrzymać się z niego w normalny sposób. Zwiedzający będą płacić za wejście, a na Majorce co roku przylatują miliony turystów...

Catalina już połknęła haczyk.

- Si, *si* - zapiszczała, roznoszona entuzjazmem — i są stare rasy majorkańskich zwierząt, krowy, owce, świnie, kury, kozy, konie. *Si*, i wszystkie bardzo mało częste! - Wydeła usta i zrobiła poważną minę. - Niektóre chyba nawet czeka wyminięcie.

Doogie się zaśmiał.

- Grozi im wyginięcie, tak? No i sama widzisz. Bierzemy po parce i zaczynamy rozmnażać.

Po minie Gataliny zobaczył, że dziewczyna myśli, że zaczął się z niej nabijać.

- Nie, naprawdę - zapewnił ją. - Zdziwiłabyś się, ilu turystów interesują takie ekologiczne działania. To też dobra reklama. A może dałoby się dostać na nasze przedsięwzięcie jakąś rządową dotację.

- Si - zgodziła się Catalina, odzyskując pewność siebie - i sklepik na farmie do sprzedawania *productos* turystom, nie?

— Tak, czemu nie? I nawet bar, z przekąskami i w ogóle — powiedział Doogie, zarażony jej optymizmem. — Majorkańskie kiełbasy i placki, ciastka *ensaimada* i tak dalej. Mmm — kiwnął głową. — I przejażdżka traktorem po migdałowym sadzie. Turyści z miasta uwielbiają jeździć na belach słomy na przyczepie.

Catalina coraz bardziej się nakrecała.

— *Correctol* Moja *mądre* może robić jedzenie, a ja będę jeździć traktorem. *Si*, i mamy przyjaciół w *oficina Merryweathera* i *repcionistas* w *hoteles*, którzy będą przysyłać do naszego małego zoo autokary z turystami. - Znów spojrzała z powagą na Doogiego. — *Bardzo importante* to jest.

To nie ulegało wątpliwości i Doogie się z tym zgodził.

— Och — powiedział, kiedy do głowy przyszła mu jeszcze jedna ważna rzecz. — Nie zapominaj, że w każdym interesie związanym ze zwierzętami jednym z największych wydatków są rachunki za weterynarza.

Catalina zrozumiała, do czego zmierzał i podobało jej się to.

— Ale kiedy ty będziesz dyplomowanym *veterinario*... — powiedziała, sugestywnie urywając.

— Wszystko za darmo! — wyszczerzył się Doogie. Catalina zapiszczała z uciechy.

— Uda się nam, Doogie! Możemy oskórować kota, si? Doogie westchnął, ciężko i przeciągle.

— No, moglibyśmy, ale... - Potarł kciukiem o palec wskazujący. — *Dinero*. Realnie rzecz biorąc, taki projekt wymagałby dużo pieniędzy na start, a pieniądze to coś, czego żadne z nas nie ma za wiele.

Catalina żywo potrząsnęła głową. Nie zamierzała pozwolić, by taki drobiazg jak pieniądze stanął na drodze tak świetnemu pomysłowi.

- To jest Majorka - przekonywała - a banki zawsze chętnie pożyczają pieniądze ludziom, którzy mają dobry pomysł na rozwój turystyki. Zresztą będę miała trzy lata na pracę i oszczędzanie, kiedy ty będziesz na studiach, a do tego zacznę przygotowywać Fincalet Pou Vell!

Doogie uśmiechnął się do mej przyjaźnie, ale ze zrozumiałą dozą sceptycyzmu.

- Cały czas pomagając rodzicom na farmie?

- *Si, asbolutamente!*

Catalina była nieugięta. Uważała, że jeśli człowiekowi bardzo na czymś zależało, powinien próbować to zdobyć. Trzeba było spełniać swoje marzenia. Czowała się młoda i zdrowa, czymże więc była dla niej ciężka praca? I nie weźmie ani grosza od Marii. W końcu całkiem możliwe, że staruszka będzie musiała sprzedać mieszkanie, żeby opłacić koszt sanatorium... Jeśli będzie żyła dość długo, czego Catalina z całego serca jej życzyła.

Doogie potrząsnął głową i zaśmiał się cicho, widząc w jej oczach determinację.

- Stara Maria miała rację. Kobiety z majorkańskiej wsi naprawdę są niezrównane. To znaczy, jeśli ma się je z kim porównać...

Kiedy zbliżyli się do domu, zobaczyli na *porche* Finca Sa Grua czwórkę ludzi. Gdy podeszli jeszcze

bliżej, usłyszeli głośne, serdeczne gratulacje, a potem wystrzał korka szampana i wiwaty.

- Patrz, mój ojciec, jest z moją matką - powiedziała Catalina, wyraźnie zmartwiona. — Czemu nie jest w łóżku? I Rafael z Angie... — dodała, marszcząc czoło ze zdziwieniem. — I szampan...

Spojrzała na Doogiego, jakby pytając, czy wie, o co tu chodzi.

Doogie śmiejąc się, podniósł ręce.

- Mnie nie pytaj. To znaczy domyślam się, co się stało, ale obiecałem Angie.

Catalina rozdziawiła usta, kiedy zaświtało jej, jaki może być powód świętowania.

- Rafa i Angie? - zakrztusiła się. Spojrzała znów na Doogiego, robiąc wielkie oczy i uśmiechając się z niedowierzaniem. — Znaczy, Rafael i Angie, oni się...?

- Lepiej ich zapytaj — odparł wesoło wyszczerzony Doogie, a potem wziął ją pod rękę i poprowadził w kierunku domu. — Ja nic nie powiem!

- Patrzcie, jak się błyszczy, dzieciaki! - krzyknęła Angie, nie zawracając sobie głowy wstępami, kiedy tylko zobaczyła ich na podwórku. Błysnęła pierścionkiem z brylantem na trzecim palcu lewej dłoni. — To się nazywa kamień!

Kobiety piszczwały i płakały z radości, mężczyźni wymieniali uściski dłoni i męskie klepnięcia po plecach, wszyscy się ściskali, całowali i składali gratulacje świeżym narzeczoną. „Trochę jak w sylwestra na Arran” - pomyślał Doogie.

Powściągliwy zazwyczaj Rafael był wesoły i towarzyski - nawet w stosunku do Doogiego. Klasyczna, nordycka uroda Angie, pomimo odrostów, najwyraźniej zrobiła swoje. Strzelił korek następnego szampana.

Słyszając tę wesołość, z kuchni wybiegł Pedrito.

- *Hola*, Boogie! - krzyknął. - Hej, wiedziałeś, że Rafael będzie moim nowym tatusiem?

- Tak, właśnie się dowiedziałem, Pedrito. - Doogie zmierzwił chłopcu włosy i puścił do niego oko. - Dobra wiadomość, co?

Pedrito zmierzył go wzrokiem.

- Miałeś swoją szansę, *amigo* - powiedział zabawnie dorosłym tonem.

Catalina kręciła się wokół ojca, co rusz prosząc go, by usiadł i ostrzegając, żeby za dużo nie pił.

- Dlaczego - dopytywała - nie leżysz w łóżku? Od tej pory masz robić, co ci się każe, albo będę musiała tłumaczyć się doktorowi!

Ojciec poklepywał ją po dłoni i próbował zapewnić, że nic mu nie jest. A doktor niech idzie w diabły. Ten stary kozioł, gdyby mógł, uwięziłby go w łóżku do końca życia! Nie, nie, on sam wiedział najlepiej, co dla niego dobre, a czymś takim był udział w tej spontanicznej zabawie.

- *Dios mio* - powiedział - na wsi od dawna jest ich za mało!

Catalina i jej matka pozostały nieprzekonane, ale jako głowa rodziny *señor* Ensenyat miał ostatnie słowo. I na tym koniec - przynajmniej przy ludziach.

Doogie cały czas uważnie mu się przyglądał: mimo pewnego uśmiechu, wciąż miał znużone oczy, ciężki oddech, był wychudzony i wyglądał na wyczerpanego. Już wcześniej Doogie widział te objawy, chociaż wtedy nie docenił ich złowieszczego znaczenia. W ojcu Cataliny dostrzegął własnego ojca sprzed dwóch lat. Innego, stosunkowo młodego mężczyznę, nagle postarzałego i zmęczonego, po prostu przepracowanego.

Matka Gatalmy dostrzegła jego spojrzenie. Widziała, że chłopak obserwuje jej męża i wiedziała, co się dzieje w jego głowie. Rzuciła mu porozumiewawczy uśmiech: smutny i zrezygnowany, ale mówiący, że to chwila należąca do Angie i Rafaela. I Pedrita. To był moment szczęścia, na które zasłużyli i nie wolno było go psuć obawami i myślami o rzeczach, na które nikt z nich tak naprawdę nie miał wpływu. Tę samą prostą, fatalistyczną filozofię wyznawała matka Doogiego — postawę zrodzoną na wsi, gdzie wiosna i jesień, narodziny i śmierć są nieodłącznymi wydarzeniami kalendarza przyrody, gdzie lato życia powinno być czasem świętowania, a nie bezsensownych lęków przed zimą, która i tak przyjdzie, kiedy nadejdzie jej pora. Doogie odwzajemnił uśmiech *señory* Ensenyat i pokiwał głową.

— O czym tak rozmyślasz? — spytała Angie, która nagle pojawiła się obok niego. Jej zwykła maniera okazywania zmęczenia życiem zniknęła, splukana falą romantycznego uniesienia i kilkoma kieliszkami szampana. — Cały czas kombinujesz, jak spełnić to swoje marzenie, co?

- Coś w tym guście, Ange. Goś w tym guście...

- Doogie westchnął, ale potem się rozpogodził. - Dzisiaj powinniśmy rozmawiać o *twoim* marzeniu.

Podniósł jej dłoń i przyjrzał się z bliska pierścionkowi zaręczynowemu.

- Rany, Rafael naprawdę się wyprztykał!

- Bez takich mi tu - mruknęła Angie ze zbereź-nym śmiechem.

- Nie, poważnie, ten pierścionek, szampan i w ogóle, musiał się dobrze przygotować, zanim przed tobą uklęknął.

- Uklęknął? - zapiszczała Angie, już podpita i świetnie się bawiąca. - Nie wiem doprawdy, co się dzieje z twoim językiem, młody O'Maro, naprawdę! Ty szkocki świntuchu!

Doogie dał jej kuksańca, pokazując, żeby ściszyła głos.

- Chodziło mi o klękanie na jedno kolano - syknął.

- A, to? Tak, ledwie zdążyłam przejść przez próg. Hup!

- Łup?

- Tak, no wiesz... - Angie zrobiła zakłopotaną minę, a potem zwierzyła się, mamrocząc kątem ust.

- Nasz Rafa ma ukryte pokłady latynoskiej namiętności. Nie jest bynajmniej taki cichy i spokojny, jak się wydaje!

Doogie rzucił jej dumny uśmiech.

- Tacy już jesteśmy, my wiejskie osiłki.

Angie odchyliła się w tył i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, sardonicznie unosząc brwi.

- W twoim przypadku, kochany to się dopiero okaże!

Doogie puścił to mimo uszu i odchrząknął.

- A, ee, wielki dzień... kiedy będzie?

- Och, jakoś w przyszłym miesiącu - odparła Angie beztroskim tonem. - Jak tylko przetnę pępowinę łączącą mnie z Merryweatherem, staniemy przed ołtarzem. Tak, jak już mówiłam, Rafa nie wierzy w długie oczekiwanie na nie wiadomo co.

Nagle wezbrał w niej duch fiesty; zamaszystym gestem machnęła ręką z kieliszkiem, rozlewając wszędzie dookoła jego zawartość.

- *Musica-a-a-a!* Dajcie jakąś muzykę dla narzeczonych!
Ay-y-y, arriba-a-a!

Doogie schronił się w jednym z foteli przy drzwiach. Catalina usiadła na poręczy obok niego, przyniosłszy uprzednio przenośny odtwarzacz GD, z którego leciało teraz flamenco dla niezdarne tańczących tango Angie i Rafaela. Po chwili dołączył do nich Pedrito, dodając od siebie ostatni brakujący element zamieszania do już panującego na parkiecie chaosu. Ale wszyscy byli szczęśliwi - nowa, trzyosobowa rodzina śmiała się i tańczyła, rozkoszowała się swoim wzajemnym towarzystwem, a ich niewielka publiczność klaskała do rytmu i śmiała się razem z nimi.

Catalina objęła Doogiego. Jej uśmiech odzwierciedlał autentyczną radość z darów losu, które niespodziewanie spadły na jej przyjaciół. Ale w głębi ducha czuła ciężkie brzemie; nie mogła zapomnieć o zdrowiu

ojca, ani też pozbyć się coraz dotkliwszego bólu, który odczuwała na myśl o rychłym wyjeździe Doogiego. Ani drobnych ukłuc zazdrości, która nie dawała jej spokoju, kiedy Catalina patrzyła na Angie i Rafaela.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Spotkanie o zmierzchu

Skwarny sierpień mijał nieubłaganie, a wraz z nim mnożyły się rozterki udręczonych rezydentów. Byli przyzwyczajeni do trudności wynikających z wiecznego spóźniania się lotów, braku zarezerwowanych miejsc w hotelach i strajków francuskich kontrolerów lotów. Do tego dochodziły zazwyczaj ataki biegunki wśród klientów, zatwardzenia i udary słoneczne, panika po kradzieży czeków podróżnych, zgubione paszporty i bilety na samolot oraz, od czasu do czasu, aresztowania jakiegoś Brytyjczyka za któreś z wykroczeń od sikania na płycie lotniska w biały dzień po usiłowanie morderstwa. Teraz jednak, dla Doogiego i jego kolegów, wszystkie te kłopoty rozmnożyły się z powodu połączenia załóg Meriyweather Holidays i 3-S Vacations.

Nie mając wątpliwości, co jest teraz dla niej najważniejsze, Catalina odeszła z pracy, kiedy tylko dowiedziała się o chorobie ojca. Liczyło się tylko to, by być w domu i pomagać rodzicom. Poza tym wiedziała, że chaotyczne grafiki jej pracy sprawiałyby, iż widywałaby Doogiego bardzo rzadko albo nawet wcale, jeśli dalej pracowałaby dla firmy przez ten krótki czas, który on miał spędzić na Majorce. W ten sposób mogli przynajmniej być ze sobą przez tych kilka godzin tygodniowo, które Doogiemu udawało się wygospodarować.

On sam najchętniej zrobiłby to samo i jak najszybciej przeciął więzy trzymające go w nieczułych objęciach Merryweathera. Mógłby wtedy przez kilka tygodni spędzić maksymalnie dużo czasu z Cataliną, a także pomóc jej ojcu w ciężkich pracach, które trzeba było wykonać na farmie. Ale jego sytuacja ekonomiczna wykluczała takie rozwiązanie, choćby nie wiadomo jak kusząco się prezentowało. Gdyby Doogie nie pracował do końca swojej umowy, firma nie zapewniłaby mu darmowego biletu z powrotem do Anglii. W jego obecnej kondycji finansowej byłaby to katastrofa.

Angie tymczasem, jako wieloletni pracownik Merryweathera, zdołała jakoś namówić Manolę, żeby zatrzymał ją na pół etatu przez ostatni miesiąc jej kariery. W ten sposób odciążyla *señorę* Ensenyat w pilnowaniu Pedrita, a także zyskała dużo czasu, by urządzić się, jak to ujęła, w swoim nowym małżeńskim gnieździe. Oznajmiła także, że kiedy tylko stara Maria będzie w stanie opuścić sanatorium, zamieszka z nimi,

tuż obok swojego dawnego domu w ukochanej dolinie Capdelli.

- Dom jest wystarczająco duży - powiedziała Angie - a gdybym nie zapewniła staruszce odrobiny rodzinnego ciepła po tym wszystkim, co Maria zrobiła dla mnie i Pedrita przez te lata, byłoby to zwykłe draństwo!

I tak krótka, barwna i brzemienna w konsekwencje przygoda Doogiego z posadą rezydenta na Majorce zbliżała się ku końcowi. A im bliżej było do tego nieuniknionego dnia, kiedy będzie musiał wsiąść w samolot do Glasgow, tym większym przerażeniem napawała go ta perspektywa.

Nie cieszył się także z zapowiadanej drugiej wizyty Margaret Hyslop. Przez jakiś czas miał wrażenie, że zrezygnowała z zamiaru ponownego odwiedzenia wyspy, ale w przedostatni dzień miesiąca (co typowe dla Margaret), po powrocie wieczorem do domu znalazł przypiętą do drzwi kartkę. Wiadomość była krótka i treściwa jak zwykle:

„Mieszkam w hostelu Tramuntana w Andratx. Do zobaczenia dzisiaj koło ósmej. Margaret”.

Doogie zaklął. Tego akurat było mu trzeba po dziesięciu godzinach dyżuru non stop na lotnisku. Trzydzieści kilometrów jazdy, w całkowicie przeciwnym kierunku - do Andratx! Typowe, cholernie typowe! Mimo to musiał powiedzieć Margaret parę rzeczy: rzeczy, których na pewno wolałaby nie słyszeć, wiedział o tym, ale które trzeba było powiedzieć. Teraz albo nigdy...

Znalazł hostel Tramuntana w górnej części starego miasta w Andratx, przy stromej uliczce tuż pod kościołem, krótki kawałek drogi na piechotę - tak jak się domyślał - od podnóży gór Tramuntana, które ciągną się stąd na północ przez blisko sześćdziesiąt kilometrów.

„Margaret i jej znajomi mieliby pod dostatkiem tras do wędrówek i wspinaczki” - pomyślał Doogie, wchodząc do nierzucającej się w oczy, małej recepcji hostelu. Pomieszczenie było ciemne i chłodne jak krypta, z podłogą wyłożoną czarno-białymi marmurowymi płytkami oraz antycznymi, hiszpańskimi meblami w kolorze paciorków różańca. Samotna, siwowłosa kobieta w czerni siedziała na bujanym fotelu w kącie, szydełkując i oglądając w starożytnym telewizorze *Sąsiadów* z dubbingiem. Migoczący obraz, jak zauważył Doogie, idealnie pasował do płytek podłogi.

„Margaret - pomyślał - faktycznie znalazła sobie tym razem świetne lokum!”

- *Señorita* Margaret Hyslop? - powiedział do potylicy staruszki, mając nadzieję, że ta nie odwróci się i nie okaże Anthonym Perkinsem w hiszpańskojęzycznej wersji *Psychozy*.

Nie przerywając powolnego, szydełkującego rytmu pajęczych dłoni i nie odrywając wzroku od telewizora, kobieta ruchem głowy wskazała łuk po drugiej stronie pokoju.

— *La terraza!* — zaskrzypiała głosem chorej na gardło wrony.

— *Gracias* — odparł Doogie, zadziwiony tą nieznaną dotąd skrajnością majorkańskiej turystyki i powstrzymując chęć, by zapytać, o której zaczęło się bingo.

Margaret siedziała sama na maleńkim tarasie, z leżącą na plastikowym stoliku otwartą książką. Patrzyła, jak nadchodzący zmierzch maluje szare cienie na kamiennej ścianie kościoła naprzeciwko. Doogiemu przeszło przez myśl, że pewnie powinien hiszpańskim zwyczajem cmoknąć ją na powitanie w oba policzki, ale coś kazało mu wybrać arrańską alternatywę.

— Cześć, Margaret — powiedział, a potem lekko poklepał ją po plecach i usiadł naprzeciw niej. — Co słychać?

Ale Margaret chciała to rozegrać inaczej.

— Doogie! — zaćwierkała, uśmiechając się i rzucając mu uwodzicielskie spojrzenia. Podniosła się, pochyliła nad stołem i zupełnie meplatonicznie pocałowała go w usta. — Jak cudownie znów cię widzieć!

„To zupełnie do niej niepodobne” — pomyślał Doogie. Natychmiast zrobił się podejrzliwy i musiało to być widoczne.

— Ojej, myślałam, że przywitasz się ze mną trochę bardziej wylewnie po tak długim brataniu się z tubylcami — poskarżyła się, bezskutecznie usiłując dobrodusznym tonem zamaskować sarkazm.

— Nie zapominaj, że nie widziałem tyle Hiszpanii co ty, Margaret — odparł.

Margaret na to już nie odpowiedziała, ale okazała swoje niezadowolenie, siadając i przyjmując charakterystyczną, wyniosłą pozę, ze wzrokiem odwróconym w bok, nieskupionym na niczym konkretnym.

- Skoro już o tym mówimy, jak było w Andaluzji, na Costa Coştam i w ogóle? - spytał Doogie. Pytanie zabrzmiało jak kolejny docinek, chociaż Doogie nie miał takiego zamiaru.

- Świetnie, Doogie, bardzo dobrze - odparła Margaret z urazą, wciąż studiując powietrze.

Doogie nie pojmował, jak to możliwe, że do tej pory nikt nie dał jej w twarz i me powiedział, żeby wreszcie dorosła. Powziął jednak mocne postanowienie, że jego motto będzie brzmiało „Spokojnie, O'Mara, wytrwaj”.

- Spodziewałem się, że ty i twoi kumple przylecieliście tu kilka tygodni temu, tak jak mi mówiłaś - odparł, zachowując spokój.

Margaret odwróciła się do niego. Słodki jak miód uśmiech rozlał się po jej twarzy tak samo szybko, jak przed chwilą znikł.

- Tak, zgadza się. Przylecieliśmy tu jakieś dziesięć dni temu. Chodziliśmy po górach. Są po prostu cudowne. Krajobrazy przebijają wszystko, co do tej pory widzieliśmy. - Wpadała w swój zwykły, protekcyjnalny ton, lekko tylko zamaskowany skromnym uśmiechem. - Naprawdę, Doogie, taka szkoda, że spędzasz czas w tych okropnych, betonowych, wakacyjnych gettach. Na tej wyspie jest tyle innych rzeczy, jeśli tylko człowiek zada sobie trud i wyjedzie z tych strasznych dziur, które przyciągają tych... wszystkich tych...

Margaret szukała odpowiedniego epitetu.

- Neandertalczyków? - podpowiedział Doogie.

- Cóż, ja bym tak tego nie ujęła...

- Już raz tak to ujęłaś, Margaret.

Jeśli to usłyszała, to udała, że wcale nie słyszała.

- Chodzi mi o to, że widoki morza z górskich dróg - ciągnęła - są w każdym calu tak samo wspaniałe, jak wszystko, co ma do zaoferowania Lazurowe Wybrzeże.

- Naprawdę? - Doogie stłumił ziewnięcie. Margaret się rozpędziła.

- Och, a te sielskie górskie wioski... Banyalbufar, ze swoimi niesamowitymi wprost tarasowymi polami... Deia, gdzie mieszkał pisarz Robert Graves...

- Robert Graves? A to dopiero!

- Tak, ten od powieści historycznej *Ja, Klaudiusz*, wiesz. - Margaret powiedziała to tonem sugerującym, że Doogie nie wie, a potem podjęła swój protekcyjny monolog. - Jest takie małe miasteczko o nazwie Sóller, słynące ze swoich pomarańczy - wyjątkowo piękne miejsce, ukryte w niesamowicie malowniczej dolinie. Och, i Valldemossa oczywiście, fascynująca wioska, ze starym klasztorem kartuzów - Chopin i George Sand spędzili tam kiedyś zimę.

Rzuciła Doogiemu belferskie spojrzenie.

- George Sand, francuska pisarka, wiesz. Kobieta, oczywiście używająca literackiego pseudonimu.

- Nie gadaj!

Nie zwracając uwagi na wnikliwe spojrzenie Doogiego i w błogiej nieświadomości, że chłopak zna już przedmioty jej wykładu, Margaret wrzuciła najwyższy bieg...

- A niektóre punkty widokowe wysoko nad morzem - przy okazji, po hiszpańsku to *miradores* - zbu-

dowane są w najbardziej zapierających dech w piersiach miejscach wzdłuż wybrzeża! Naprawdę, jedno wyjątkowe jest niedaleko Valldemossy...

— Nazywa się Miramar - przerwał jej Doogie. Margaret otwierała i zamykała usta jak wyciągnięta z wody ryba. — Zbudowane ponad sto lat temu przez austriackiego arcyksięcia Ludwika Salwatora nad miejscem, gdzie zakochał się w pięknej majorkańskiej wieśniaczce, która zbierała tam oliwki. Tak, Margaret, udało mi się poznać parę strzępków lokalnej historii, podczas mojego krótkiego obcowania z tubylcami. - Pomasował czoło w udawanym namyśle. — Zobaczmy, czy przypomnę sobie cytat... Ach, mam, to idzie jakoś tak: „Największy cud, którym Majorka raczy oczy duszy i duszę oczu, znajduje się tu, w Valldemossie — to prześwietny przyładek Miramar." To słowa niejakiego Miguela de Unamuno, jak sądzę. I, ee, nie będę ci opowiadał, czy to był pisarz czy nie, Margaret, bo na pewno już to wiesz.

Margaret szczeka opadła jeszcze bardziej.

— Och, przy okazji, piękna majorkańska wieśniaczka umarła — dodał Doogie. — Tak, zostawiła biednego arcyksięcia ze złamanym sercem, które podobno nigdy się nie wyleczyło.

Oszupiała mina Margaret przemieniła się w porozumiewawczy uśmiezek.

— Ach, a co u twojej wieśniaczki? — spytała judząco. — Mam nadzieję, że nie planuje takich wrednych sztuczek, żeby złamać serce tobie.

Doogie z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Jesteś wprost niewiarygodna, kiedy chcesz, Margaret, naprawdę.

- Ojej - odparła, mrużąc oczy w udawanej skruszce. - Uraziłam cię? Och, och! Ja niedobra!

Doogie patrzył na nią przez kilka chwil, w zamyśleniu postukując palcem w usta i rozważając w duchu, czy nie powinien po prostu wstać i wyjść. Ale szybko doszedł do wniosku, że najlepiej będzie wyłożyć kawę na ławę raz na zawsze. Po to właśnie tu przyjechał i to zamierzał zrobić, nieważne, jak nieznośna okazałaby się Margaret.

- Na pewno się ucieszysz na wiadomość, że pojutrze wracam - powiedział. - Wracam do Szkocji, na początek nowego semestru na uniwerku.

Margaret uśmiechnęła się z wyższością.

- Proszę, wiedziałam, że przejrzysz na oczy. Wiedziałam, że list od taty podziała...

- Zwolnili mnie, Margaret. Dlatego wracam. Merryweather Holidays uznało, że poradzą sobie beze mnie, a ja nie będę cię zanudzał szczegółami, dlaczego. Ale to właśnie, wraz z powodami osobistymi, w które też nie będę się zagłębiał, jest przyczyną, dla której wracam.

- Tak, ale...

- I żeby było jasne: chociaż doceniam zainteresowanie twojego ojca moją osobą, wolałbym, żeby na przyszłość wszelkie ustalenia z dziekanem weterynarii pozostawił mi, dobrze?

— Tak, ale ja go prosiłam, żeby to zrobił, żeby...

- Otóż to, ty prosisz, a twój ojciec biegnie. Tobie może to nie przeszkadza, Margaret, ale dla mnie

te czasy się skończyły. Odkąd tu przyjechałem, dowiedziałem się bardzo dużo o życiu i o sobie, a jedną z najważniejszych rzeczy, jakich się dowiedziałem jest to, że jeśli nie jesteś szczery wobec siebie, to nie jesteś szczery wobec nikogo innego!

Margaret znów weszła w tryb wyniosłości.

- Proszę cię, Doogie - parsknęła - parafrazowanie Szekspira może imponować twojej wieśniaczce, ale na mnie nie robi wrażenia.

- Od tej pory sam o sobie decyduję, Margaret. Rozumiesz? To moje życie i będę z nim robił, co zechcę.

- Ach tak? A mogę spytać, jaką to ważną życiową decyzję podjąłeś?

Doogie przełknął gniew.

- Po pierwsze nie będę odbywał praktyk na Arran u twojego ojca. Szanuję go, jestem mu wdzięczny, ale nie wracam. Nie wracam, rozumiesz?

Margaret uniosła wzrok ku niebu i zaśmiała się z pogardą.

- Mój Boże, faktycznie rzucili na ciebie jakiś cygański czar.

- A co to niby ma znaczyć?

- To oczywiste! Gdzie znajdziesz drugą taką propozycję, jak ta proponowana przez mojego ojca? Zejdź na ziemię, Doogie! Kiedy skończysz studia - przepraszam - JEŚLI skończysz studia - a to już nie jest nic pewnego, skoro tak ci się poprzestawiało w głowie, odkąd tu przyjechałeś - będziesz musiał znaleźć mnóstwo pieniędzy, żeby zapłacić za praktykę taką jak ta, którą mój tata zaoferował ci za darmo.

— A?

— A nie masz grosza przy duszy! — Margaret traciła panowanie nad sobą. — O'Marowie nigdy me mieli — warknęła — i na Arran zawsze wszyscy o tym wiedzieli!

Doogie potrząsnął głową i zaśmiał się cicho. Obrażliwe słowa Margaret go zaboląły, ale mimo to czuł raczej litość niż złość. Patrzył, jak dziewczyna nerwowo wykręca palce, znów z odwróconą głową, wyraźnie rozdarta między wyrzutami sumienia a pragnieniem zadania jeszcze większego bólu. Jak Doogie wielokrotnie się wcześniej przekonywał, Margaret nie była przyzwyczajona, by cokolwiek działo się nie po jej myśli i to nowe doświadczenie musiało być dla niej bardzo trudne.

— Dla ciebie — powiedział spokojnie — liczą się tylko pieniądze, prawda? Pieniądze i pozycja społeczna. .. cokolwiek to jest.

— To typowe uproszczenie — mruknęła Margaret. — Nie rozumiesz rzeczywistości, to oczywiste.

— Och, myślę, że doskonale już rozumiem rzeczywistość. — Doogie był uosobieniem opanowania, aż sam był zaskoczony. — Czemu nie chcesz się do tego przyznać, Margaret? Nie byłabyś mną w ogóle zainteresowana, gdybym został na Arran, żeby pomóc ojcu na farmie, zamiast jechać na studia.

— Och, bądź poważny, na Boga! — zachnęła się. — Ten kawałeczek wydzierzawionej ziemi nie był w stanie wyżywić nawet twojego ojca, nie mówiąc już o tobie!

— Ale może me o tym powinienem był myśleć, a ty najwyraźniej tego me rozumiesz.

Margaret ze zniecierpliwieniem odrzuciła włosy i znów odwróciła wzrok.

— W takim razie mnie oświeć!

- Może w pierwszym rzędzie powinienem myśleć o tym, żeby pomóc ojcu, niezależnie od tego, jakie by to miało materialne skutki. Gdybym dodał mu kilka lat życia, samo w sobie byłoby to nagrodą. Teraz to wiem.

- I rozumiem, że poszedłbyś w jego ślady, wyrobnika bez grosza przy duszy, dorabiającego sobie fizycznymi fuchami na boku, żeby jakoś przeżyć. -Margaret popatrzyła na Doogiego ze złością. - To jest ta rzeczywistość, którą rozumiesz?

Nie zdawała sobie sprawy, jak była blisko zasłużonego spoliczkowania. Ale Doogie powściągnął tę chęć — choć z dużym trudem.

- Poradziłbym sobie - powiedział. - W końcu jestem młody i zdrowy, mam głowę na karku, a dbać o ziemię można na różne sposoby.

— Dorośnij! To myślenie idioty i marzyciela! — Margaret już kipiała. - Mój ojciec zawsze mi powtarzał, że nikt nie przeżyje w nowoczesnym świecie na samych marzeniach i romantycznych wyobrażeniach. Jesteś zobowiązany, żeby osiągnąć wszystko, co możesz, żeby być najlepszym!

— Być może. - Doogie wzruszył ramionami. - Ale czasami, Margaret, jeśli walczysz o wszystko, możesz pozostać z niczym. To coś, co dopiero musisz zrozumieć i mam nadzieję, że nie przekonasz się o tym w bolesny sposób.

Margaret prychnęła lekceważąco.

— O mnie się nie martw! Wiem dokładnie, co chcę w życiu osiągnąć i zamierzam po drodze zdobyć wszystko, co się da.

— Świetnie, ale może spróbuj po drodze na ten upragniony szczyt być miłsza dla ludzi — odparował Doogie. — Wiesz, jak to się mówi, możesz spotkać ich wszystkich, spadając z powrotem na dół!

Margaret pozwoliła, by ta uwaga uleciała w wieczornym powietrzu bez odpowiedzi. Po chwili spuściła wzrok na własne dłonie i zrobiła minę zagubionej dziewczynki. Doogie widział, jak stosowała tę sztuczkę wiele razy, zazwyczaj chcąc wyciągnąć od ojca coś, czego jej wcześniej odmówił — nową lalkę, rower, czy samochód.

Popatrzyła na niego nad stołem z patosem w oczach.

— A my, Doogie? — zagruchała. — Co z nami, mmm?

Ale Doogie nie zamierzał chwytąć przynęty. Zamiast tego odbił tylko to pytanie z powrotem.

— Co z nami, Margaret? Co masz na myśli?

— No wiesz — uśmiechnęła się. — Wszystkie nasze plany i w ogóle...

— Wszystkie *twoje* plany. To nigdy nie był temat do dyskusji, pamiętasz? To tylko twoje założenie. Tak, a ponieważ twoje, to też i twoich rodziców.

Doogie przerwał, czekając na reakcję, ale Margaret dalej tylko wpatrywała się w swoje dłonie.

— Przyjaźnimy się od dawna, Margaret - podjął stanowczo.

— Jesteśmy przyjaciółmi, kolegami, ale niczym więcej. I jeśli to cokolwiek warte, chciałbym, że-

byśmy dalej się przyjaźnili... jeśli tylko potrafisz się pogodzić z faktem, że mi wystarczy pozycja o wiele niższa, niż to, do czego ty aspirujesz. Spojrzała na niego pytająco.

- Nie nadażam.

Doogie zebrał się na odwagę.

- Po studiach wracam tutaj, Margaret. To już postanowione.

Margaret uśmiechnęła się półgębkiem, z miną pełną niedowierzania i szyderstwa.

- Zeby zrobić co? Chcesz skończyć studia w Szkocji, a potem pracować jako weterynarz tutaj?

- Nie, niekoniecznie. Myślę, że mają tu już pod dostatkiem dobrych weterynarzy. - Doogie był całkowicie szczery. - Nie, kiedy się nad tym zastanowić, prawdopodobnie mógłbym robić to, co planujemy, z wiedzą i doświadczeniem, które mam już teraz. Gdyby przyszło co do czego i oblałbym egzaminy albo coś w tym rodzaju.

Na twarz Margaret wrócił wyraz odzwierciedlający słowa: „teraz to już przesada”.

- Och, rozumiem - uśmiechnęła się złośliwie. - Teraz to już *my* planujemy, tak? Daj spokój, nie mów mi, że naprawdę ten głupi wakacyjny romans z tym cygańskim wycieruchem traktujesz aż tak poważnie. To zauroczenie - pociągnęła nosem - nic więcej. Taka sama głupia miłośćka, jak w przypadku każdej bez-mózgiej cizi z wysp i pierwszego lepszego kelnera, który złapie ją za tyłek i mrugnie do niej swoimi wielkimi, ciemnymi, mówiącymi: „chodź-do-łóżka” oczami.

— Margaret potrząsnęła głową z wyraźnie malującym się na twarzy niedowierzaniem. — Naprawdę, Doogie, myślałam, że masz dla siebie więcej szacunku!

Doogie znów zdołał powstrzymać chęć dania jej w twarz, ale za każdym razem przychodziło mu to z większym trudem.

— Nie będę cię zanudzał szczegółami - odparł urażonym tonem - ale dla twojej informacji, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, Catalina, ta mała „cyganka”, którą tak obrażasz przy każdej sposobności, uratowała mi życie. Rzuciła się na cholernego psychopate, który chciał mi wstrzyknąć w tętnicę szyjną całą strzykawkę zatrutej heroiny!

Margaret odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się sztucznie.

— Teraz już mnie nic nie zdziwi! - zakpiła. - Pocahontas i kapitan Smith żyją i mają się dobrze w majorkańskiej krainie fantazji! Mój Boże, gdybyś tylko widział, jakiego robisz z siebie durnia, Doogie!

Doogie popatrzył na nią chłodno.

— To tylko twoja opinia, Margaret, i nawet nie wiesz, z czego się nabijasz. Tak, powiedziałbym, że w tej chwili to akurat ty robisz z siebie durnia.

Margaret bez wysiłku przeszła od drwin do współczucia.

— Ale ty tu przecież nawet nie pasujesz, Doogie - powiedziała z wyrozumiałym uśmiechem. — Już ci to mówiłam, prawda? Jasne, wiem, że byłeś skołowany emocjonalnie, kiedy tu przyleciałeś, umarli ci rodzice i w ogóle. I tak, oczywiście, rozumiem, że widok Ca-

taliny i jej pozornie szczęśliwej rodziny w ich małym, majorkańskim gospodarstwie musiał ci przypomnieć dom i przeszłość. - Margaret położyła rękę na piersi i pochyliła się do przodu, uruchamiając, jak Doogie się domyślał, swoją wyuczoną na studiach lekarską wrażliwość. - Tak, oczywiście, że to wszystko rozumiem. Ale, uwierz mi, jak tylko wrócisz na uczelnię, szybko zapomnisz o całym tym majorkańskim nonsense. Wiem, że jasno i wyraźnie zobaczysz rzeczywistość. - Wyciągnęła rękę ku jego dłoni. - Daj spokój, musisz przecież wiedzieć, że kiedy wyjedziesz, ten wasz związek nie przetrwa trzech tygodni, a co dopiero trzy lata. Tak to już jest z wakacyjnymi romansami - zakończyła głosem ociekającym matczyną opiekuńczością. - Nigdy nie wytrzymują próby czasu. Doogie cofnął dłoń i wstał.

- Dziękuję za radę, Margaret. - Spojrzał na zegarek. - Nie chcę dłużej zatrzymywać ciebie ani twoich przyjaciół.

- *Au contraire!* - rozpromieniła się Margaret, jakby dotychczasowa rozmowa nie miała miejsca. - Oni na nas czekają, nie mogą się doczekać, żeby cię poznać! I wiesz co, znaleźliśmy taki świetny mały pub, po hiszpańsku nazywają to *tasca*, tutaj w miasteczku. Bardzo bezpretensjonalny - odrobinę artystyczny. Prowadzi go cudowna para z Cambridge, on pisze, ona maluje, zjeździli cały świat. Polubisz ich. Och, co więcej, dają tam dobre, tradycyjne, angielskie jedzenie!

Wstała i spróbowała wziąć Doogiego pod ramię.

- Chodź, Doogs - powiedziała z szerokim uśmiechem. -
Było, minęło, tak? - Traktowała go teraz jak krnąbrne dziecko.

- Oczywiście, że tak. Chodźmy do reszty paczki i zabawmy się!

- Przykro mi, Margaret. - Doogie zdjął jej rękę ze swojego ramienia. — Przepróż ode mnie znajomych, ale jestem już umówiony.

Margaret natychmiast porzuciła dobroduszość i pojednawczość.

- Mam nadzieję, że nie jedziesz do tej cygańskiej dziwki! — splunęła.

- Nie, Margaret, jadę do hotelu Tiempo Alegre, żeby zabrać na lotnisko autokar neandertalczyków. Wiesz, niektórzy z nas muszą pracować.

Odszedł, ale przystanął jeszcze w drzwiach, odwrócił się i uśmiechnął.

- Ale wiesz co, życzę ci miłych wakacji.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ostatni dzień

Ostatni dzień Doogiego u Merryweathera nie różnił się niczym od pozostałych: jak zwykle jeździł w kółko między lotniskiem i hotelami, cały czas siłąc się na dobry humor i będąc uprzejmym i uczynnym godzina po godzinie. Nie pojechał nawet na wycieczkę do La Granja, która przez wzgląd na stare czasy przerwałaby tę monotonię. Z chęcią by się tam wybrał, już trochę lepiej przygotowany do tematu i na pewno bardziej doświadczony we wciskaniu kitu niż owego pierwszego dnia w pracy.

Ostatni dzień miał jednak swój jeden plus. Kiedy Doogie o szóstej po raz ostatni wpadł do biura, wiedział, że nie dostanie nagłego, spowodowanego nieprzewidzianą awarią polecenia, by jechać o północy na lotnisko na dodatkowe pół zmiany. A mimo to nie

mógł powstrzymać uczucia zawodu, kiedy wieczorem wsadził swoich ostatnich podopiecznych w samolot do Gatwick. Był w dołku, dotarł do samego końca czegoś, co okazało się krótką wizytą w cudzym świecie. Świecie, gdzie ludzie żywili się nerwami i dzień po dniu, tydzień po tygodniu działali na rezerwach sił, a mimo to cały czas pozostawali uśmiechnięci i gotowi (najczęściej) na wszystko, czego praca mogła od nich wymagać.

„Przypominali w tym trochę weterynarzy” — pomyślał.

Oczywiście nie czekała go żadna pożegnalna impreza. W końcu był tylko jednym z kilku drobnych wyrobników odchodzących z Merryweather Holidays, kończących zmiany o różnych godzinach, kiedy reszta rezydentów musiała zajmować się swoimi sprawami, jakby to był zwykły dzień. Bo był — dla nich. Planowano jednak pożegnalne przyjęcie dla pracującej tu od dawna Angie i Doogie został na nie zaproszony. Jednak rok akademicki zaczynał się już za kilka dni, a impreza Angie miała być dopiero za jakiś tydzień, toteż Doogie pożegnał się z tyloma osobami w firmie, z iloma zdołał, a z Gataliną po raz ostatni odwiedził starą Marię w sanatorium w Valdemossie. Wiedział, że zobaczy tam Angie i Pedrita „ostatni raz na Bóg wie jak długo”, jak to Angie ujęła w *finca* rodziców Cataliny, dokąd został zaproszony dziś wieczorem na pożegnalną kolację. Potem, następnego dnia o jedenastej, miała nastąpić chwila, o której starał się nie myśleć — lot powrotny do Szkocji.

- Przykro, że musisz wyjeżdżać - powiedział Manolo, kiedy Doogie zdał w biurze swój uniform. - Zrobił się z ciebie dobry rezydent. Nieźle sobie radzisz z klientami, jesteś cierpliwy, szybko się uczysz i ciężko pracujesz. Takich właśnie ludzi szukamy, ale niełatwo ich znaleźć.

- Dzięki, Manolo. Pochlebiasz mi. Ale, jak wiesz, to me była moja decyzja, żeby odejść.

- Ach, ale tak to już jest w branży turystycznej. Nikt me jest bezpieczny. - Manolo wzruszył ramionami. - Za rok to ja mogę zostać bez pracy.

- Może, ale wątpię - zaśmiał się Doogie - i mam nadzieję, że me.

Manolo uprzejmie się uklonił.

- Miło z twojej strony. *Muchos gracias*.

- Nie, naprawdę tak myślę. W tej chwili wolałbym za dużo nie mówić, ale za parę lat dobrze byłoby móc przyjść i poprosić o twoje wsparcie dla mojego pomysłu. ..

Manolo podniósł rękę. Pod wąsem majaczył mu cierpliwy uśmiech.

- Wiem, wiem, wiem. Catalina już rozmawiała o tym ze mną przez telefon, zajmując mi więcej czasu, niż mogłem jej poświęcić.

Doogiego zatkało.

- Och... rozumiem. Przepraszam, nie... nie wiedziałem. ..

Uśmiech Manola sięgnął jego oczu.

- Catalina to bardzo przekonująca i zdeterminowana młoda dama. I przedsiębiorcza. Ale tak, myślę,

że miałeś dobry pomysł i pomogę wam, jak tylko będę mógł. - W zamyśleniu przygłodził wąsy. - I kto wie, może nawet sam pan Merryweather byłby zainteresowany zainwestowaniem w takie przedsięwzięcie. Doogiemu prawie odebrało mowę.

- Rany, to... to niesamowite!

Na jego twarzy malowały się zdziwienie i ostrożny optymizm.

Manolo wstał i wyciągnął rękę.

- *Adiós, Doogie. Hasta la vista.*

- Tak, *adiós*, Manolo. - Doogie szeroko się uśmiechnął. - Będziemy, ee, będziemy mieć nadzieję, że może w przyszłości zrobimy jakiś mały interesik.

- Ja też mam taką nadzieję, przyjacielu. - Manolo rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. - O ile oczywiście jakiś przedsiębiorczy młody Majorkańczyk nie ukradnie ci pomysłu razem z twoją młodą damą.

Doogie nie śmiał nawet myśleć o takiej ewentualności.

- Tak, racja - powiedział ze zbolalym uśmiechem - chyba zawsze trzeba się z tym liczyć.

Manolo zaśmiał się serdecznie i klepnął go w plecy, odprowadzając do drzwi.

- *Buena suerte, amigol* - zawołał za nim. - Powodzenia na studiach... i we wszystkim, co postanowisz zrobić ze swoim życiem!

Kiedy Doogie minął bramę Finca Sa Grua, przywitał go milion roztańczonych światełek - latający balet owadów, unoszących się i wirujących wśród rzę-

dów migdałowców; ich małe skrzydełka połyskiwały bursztynowym światłem wieczornego słońca w nieruchomym, ciepłym powietrzu. Doogie zatrzymał samochód i wysiadł, żeby po raz ostatni napatrzeć się na ten widok. To był ten sam zmierzch, który zapadał nad małym tarasem hostelu Tramuntana w Andratx poprzedniego wieczoru; teraz jednak, zamiast poczerńać wznoszące się ciężko mury kościoła, jego snopy złocistego światła ukazały nowe piękno doliny Cap-delli, niewidoczne w oślepiającym blasku dnia. Były to rzeczy, których Doogie nigdy przedtem nie zauważał. Drobne detale krajobrazu, na przykład pozbawiona śmigła wieża starego wiatraka wśród sosen na górcie przy wiosce; szczyt bielonego domu na tle ciemnej ziemi po drugiej stronie doliny; różowe urwiska i ciemne szczeliny w zielonych zboczach gór; spłowiałe od słońca drewniane koło starej studni na farmie Mani, kilka poletek dalej.

Farma starej Mani. Farma Gatalmy. *Ich* farma. *Ich* przyszłość... jeśli czas i los pozwolą.

Z jakiegoś powodu do Doogiego wróciły słowa Margaret z poprzedniego wieczoru, zasiewając w nim ziarno wątpliwości. Margaret potrafiła człowiekowi namieszać w głowie - zagrać na uczuciach i zdeptać entuzjizm. Doogie przysięgł sobie, że nigdy więcej nie pozwoli jej tego zrobić. Ale teraz jej się udało, niech to szlag, i już nic na to nie mógł poradzić.

- Ty tu nie pasujesz - powiedziała wtedy. - Rodzina tej dziewczyny i ich mała farma kojarzą ci się z własnym domem i przeszłością... Tkwisz w majorkań-

skiej fantazji... Te wakacyjne romanse nigdy nie trwają długo... Mój Boże, gdybyś tylko wiedział, jakiego robisz z siebie idiotę!

„Gdybyśmy tylko mogli zobaczyć siebie takimi, jakimi widzą nas inni” - pomyślał Doogie. Potem przypomniał sobie, co powiedział mu Manolo, że jakiś majorkański typek może podkraść mu pomysł na biznes razem z Cataliną. Żartował, drażnił się z nim? A może chciał powiedzieć to samo, co Margaret - że Doogie tu nie pasował, że tylko śnił i że czekało go brutalne przebudzenie? Czy wręcz przeciwnie, po prostu go ostrzegał? Zeby Doogie nie był zbyt pewny siebie? Tak, oczywiście, to musiało być to. Cholera jasna, to przez złośliwe próby prania mózgu Margaret zaczynał teraz doszukiwać się złego w niewinnej i przyjaznej poradzie Manola.

A może nie? Nie było ucieczki przed powracającą myślą, że przez trzy lata bardzo wiele może się zmienić i prawdopodobnie zmieni się, nieważne, jak bardzo i jak szczerze Doogie i Catalina byli oddani sobie nawzajem w tej chwili. Świat nie stanie w miejscu dla żadnego z nich.

„Cokolwiek postanowisz zrobić ze swoim życiem” - brzmiały ostatnie słowa Manola. Doogie wiedział dobrze, co chciał z nim zrobić, ale może upływ czasu i oddalenie od zwodniczego uroku tego miejsca faktycznie to zmieni. Musiał to przyznać - istniała taka możliwość, nieważne, jak bardzo próbowałby sobie wmówić, że nie.

Wtedy zobaczył Catalinę, która czekała na nie-

go na podwórku przed domem i ruszyła drogą w jego stronę. Znow była ubrana na białe, uśmiechnięta, wręcz rozpromieniona, a jej ciemne włosy lśniły w zachodzącym słońcu. To była piękna majorkańska księżniczka starej Mani, postać jak z obrazu, ostatni składnik czaru tej hipnotyzującej sceny. Serce Doogiego na chwilę zgubiło rytm. Miał wrażenie, że wszelkie wątpliwości nawiedzające jego umysł bledną wraz z zachodzącym słońcem.

Uprzejmość i hojność rodziców Cataliny tego wieczoru jeszcze bardziej potwierdziła to, co Doogie już instynktownie przeczuwał - że to uczciwi ludzie, którzy z radością przyjęliby go między siebie. I było to głębokie uczucie, świadomość wzajemnego zrozumienia i rosnącej sympatii. Uczucie, które Doogie cenił być może tym bardziej, że w tych ludziach widział jedyną rodzinę, jaką kiedykolwiek mógł mieć. Ale to była myśl dobra i kojąca. Nie wolno było jej lekceważyć, jak cynicznie chciała tego Margaret. To nie była żałobna próba zastąpienia przez Doogiego swoich zmarłych rodziców i straconego domu ludźmi i rzeczami tylko powierzchownie podobnymi - z chorobą ojca Cataliny włącznie.

„Słuchaj swojego serca” - brzmiała rada Cati, a w sercu Doogie wiedział, że jego miejsce jest tutaj, wśród tych ludzi. Co więcej - zaufali mu, jeszcze parę tygodni temu całkowitemu nieznajomemu. Zaufali mu, że nie skrzywdzi ich ukochanej córki, zaufali, że będzie w nią wierzył, zaufali, że dotrzyma słowa i wróci do niej... kiedy tylko będzie mógł.

- I co? To dopiero była pożegnalna kolacja, co, młody? - powiedziała Angie. Siedziała naprzeciwko Doogiego przy dużym stole pod *porche* Finca Sa Grua, gdzie ona, Rafael i Pedro wraz z Gatalmą i jej rodzicami zebrali się pożegnać Doogiego.

- O tak, Angie - odparł Doogie, me usiłując nawet ukrywać smutku. - Rano wracam do Szkocji.

Angie nic więcej nie powiedziała. Zdawała sobie sprawę, że tym jednym niezręcznym pytaniem i tak powiedziała już za wiele.

Cały wieczór upływał w wyciszonej atmosferze i nawet Angie nie próbowała jej rozweselać swoimi typowymi, rubasznymi żartami. Wiedziała, tak samo jak wszyscy pozostali, z czym muszą się zmierzyć Doogie i Catalina. Doogie nie był nawet głodny. Nie żeby przygotowane przez *señorę* Ensenyat majorkańskie dania były mniej smaczne i pożywne niż zwykle -po prostu jego apetyt malał wraz z upływem wieczoru i cennych minut towarzystwa Cataliny. Sama Catalina też tylko grzebała w talerzu: siedziała obok Doogiego, patrzyła na jego twarz, kiedy rozmawiał z jej ojcem i Rafaelem o zbożach, zwierzętach i nadchodzących zbiorach migdałów. Trzymała dłoń na jego kolanie, ciesząc się dotykiem, którego rano miało jej zabraknąć. Często słyszała, jak stara Maria i inne kobiety z jej pokolenia mówiły o udreże ostatnich kilku godzin, kiedy czekały, aż ich mężowie i ukochani ruszą walczyć w wojnie domowej wiele lat temu. Ale nigdy nie rozumiała bólu, który próbowały opisać... aż do teraz.

A fakt, że Doogie nie jechał na wojnę, niewiele w jej oczach zmieniał. Rozłąka i żal miały być takie same.

Nawet mały Pedrito był nadzwyczaj spokojny podczas kolacji; Doogie zauważył, że maluch przygląda mu się z poważną miną, jakby próbował rozwikłać jakąś skomplikowaną zagadkę.

— Boogie — powiedział w końcu Pedrito. — Czemu jutro jedziesz do Ibizy?

Na *porche* zapanowała oszałamiająca cisza. Angie przyłożyła palce do ust; w oczach wezbrały jej łzy, kiedy zrozumiała znaczenie pytania swojego synka. Odkąd zostawiła go ze starą Marią, jadąc do nowej pracy, ani razu nie wypowiedział słowa „Ibiza”.

Doogie, również wzruszony znaczeniem niewinnego, choć starannie przemyślanego pytania, mógł tylko wymamrotać:

— Jadę do Szkocji, Pedrito. Do Szkocji.

Ale Pedrito wciąż nie rozumiał i po raz pierwszy jego buńczuczna mina zaczęła rzednąć.

— Too... Szkocja też jest w Ibizie, Boogie?

Angie wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos. Pozostali siedzieli w milczeniu, wiedząc, że nie powinni się wtrącać. To była sprawa między małym Pedritem i Doogiem: delikatna rozmowa, której potrzeba narodziła się w wyniku najbardziej osobistych przemyśleń czterolatka. W skrywanych uczuciach, normalnych dziecięcych lękach i obawach, które zdradził dotąd tylko raz — w dniu, kiedy stara Maria miała wylew i zabrano ją do szpitala.

Doogie uśmiechnął się do mego przez stół, mając nadzieję, że mały choć na chwilę przestanie się w mego wpatrywać takim przeszywającym spojrzeniem.

- To niedaleko od Ibizy, Pedrito - powiedział najbardziej przekonującym tonem, na jaki mógł się zdobyć. -Jeden skok samolotem. Niedaleko.

Ale dla Pedrita oznaczało to tylko tyle, że kolejna osoba, na której mu zależy, zamierza go opuścić. Najpierw jego matka (skąd miał wiedzieć, że znów nie wyjedzie na Ibizę, nic mu me mówiąc?), potem stara Maria, a teraz Doogie. I za którymś razem w końcu jedno z nich naprawdę pojedzie do Mana, jego kanarka w niebie, i nigdy nie wróci.

Pedrito zaczął płakać - bardzo, bardzo starał się powstrzymać, ale nie potrafił. Uciekając przed zawstydzeniem, zsunął się z krzesła i pobiegł do matki. Ale Angie sama była za bardzo wzruszona, by zrobić coś więcej, niż jedną ręką poklepać go po głowie, a drugą jeszcze raz wydmuchać nos.

Matka Cataliny wyciągnęła do niego ręce, ale on ją wyminął, wciąż zmagając się ze łzami i wciąż usiłując ukryć swoje uczucia. Podbiegł do Doogiego i przywarł do niego.

- Proszę, nie jedź też do Ibizy, Boogie - błagał. -Zostań tu, baw się ze mną, z Rafą i z królikami. Proszę, nie jedź też.

Doogiemu słowa uwięzły w gardle. Zresztą - co mógłby powiedzieć, żeby jeszcze bardziej me zranić chłopca, nieskłonny do takiego okazywania emocji? Co mógł powiedzieć zdeorientowanemu

i wrażliwemu dziecku, które zaczęło się na nim wzorować i wierzyć w niego, jeśli nie jak w ojca, to na pewno jak w starszego brata? Doogie ujął główkę Pedrita w dłoń i wytarł mu łzy z policzków. Potem niepewnie popatrzył na pozostałych siedzących przy stole. Siedzieli ze spuszczoneymi głowami, również nie wiedząc, co powiedzieć, wszyscy mieli łzy w oczach.

Pedrito przez resztę wieczoru nie odezwał się ani słowem. Kiedy dorośli podjęli kulawą rozmowę, chłopiec odsunął się od Doogiego i po cichu sam poszedł do kuchni. Gdy Angie niedługo potem zawołała, że idą do domu, wyszedł zgarbiony, z rękami w kieszeniach, i udał się na drugą stronę podwórka, gdzie czekał w ciemności, aż jego matka się pożegna.

Doogie czuł się okropnie.

— Paskudnie go zraniłem — powiedział do Angie. Dzielnie spróbowała się uśmiechnąć.

— Nie bierz tego do siebie, Doog. To moja wina, że mały łobuz taki jest. — Stłumiła szloch. — Wszyscy to wiemy.

Doogie wskazał czekającego Pedrita.

— Myślisz, że powinienem tam iść i, no wiesz... Angie potrząsnęła głową.

— Niech to sobie sam przetrawi, kochany. Przejdzie mu. Daj mu tylko parę dni z królikami, zobaczysz.

Doogie chciał powiedzieć, że nie, nie zobaczy. Nie będzie go tu — a uświadomienie sobie tego zabolowało jak nóż wbity w żołądek. Ale może Angie miała rację. Po co jeszcze bardziej komplikować już wystarczająco

trudną dla małego sytuację? Swoją decyzją o wyjeździe niechcący zdradził zaufanie małego Pedrita, tak samo jak wszyscy inni, którzy go zostawili. Ale Angie miała rację. Jedynym, co mogło teraz zaleczyć rany Pedrita był czas... oraz miłość i bezpieczeństwo jego nowej rodziny.

— Postaram się mu to któregoś dnia wynagrodzić, Angie, obiecuję.

Angie, która sama była na krawędzi załamania, odkąd Pedrito wspomniał o Ibizie, w końcu zaczęła płakać. Chwyła Doogiego i objęła go ramionami.

- Chodź tu i przytul starą ciotkę Angie, ty wielki szkocki tłumoku - na wpół zaszłochała, na wpół się zaśmiała. Przez kilka chwil wzajemnie poklepywali się po plecach.

- Do widzenia, O'Mara - wychlipała mu w końcu w pierś. - Wszyscy będziemy za tobą tęsknić, młody.

Potem, z rozmazanym tuszem do rzęs, z kosmykami farbowanych na blond włosów przylepionymi do twarzy, spojrzała mu w oczy.

— Sam Merryweather powinien był wysłać cię do pieprzonej Afryki - powiedziała z trzęsącą się brodą. -Bezmyślny stary drań!

A potem pośpiesznie i w milczeniu zabrała Rafaela i Pedrita i zniknęła.

To Catalina zaproponowała, kiedy jej rodzice poszli spać, żeby Doogie i ona przeszli się do Fincalet Pou Vell. On też uważał, że tak trzeba, że w tych ostatnich wspólnych godzinach powinni złożyć ostatnią wi-

zytę na małej farmie, którą darowała im Maria i z którą wiązały się wszystkie ich plany i nadzieje na przyszłość, nieważne jak niepewne.

Nad górami wisiał już księżyc w nowiu. Wielkie, jasne gwiazdy świeciły na bezchmurnym niebie, oświetlając im drogę przez poletka, gdzie pod stopami chrzęściły i trzaskały suche łupiny migdałów, wcześniej spadłych z drzew.

- Tam, skąd pochodzę - powiedział Doogie - kiedy księżyc jest w pełni, mówimy, że to księżyc żniw. Wrześniowa pełnia. Koniec lata i początek jesieni. Pora zbierania plonów i przygotowywania się na długą, mroźną zimę.

Catalina w zamyśleniu kiwnęła głową.

- A tutaj jesień to tak naprawdę druga wiosna, pora siania i sadzenia wszystkich tych roślin, które me zniosłyby letnich upałów. To pora roku, która chyba by ci się spodobała. - Poprowadziła go w stronę starego domu. - I si, spodobałaby ci się też zima na Majorce, Doogie. To łagodna pora, ciepła i przyjemna, ale z północy nadchodzą ogromne burze. Burze z Tramuntana, z gromami i błyskawicami, wichurami i deszczem. Ale krótko, a potem znów wraca *tranquilidad* - spokój - ziemia pachnie świeżością, a liście w sadach pomarańczowych są lśniące i czyste. *Si*, bo zima to pora zbioru pomarańczy, które wiszą ciężkie i dojrzałe już od listopada. A w nowym roku mamy *las calmas de enem*, styczniowy spokój, małe lato w zimie, które trwa tydzień, czasami dwa. Wtedy kwitną migdałowce i cała dolina jest biała, jakby pokryta śniegiem. Potem pogoda się

zmienia, burze przynoszą deszcze, które napełniają studnie, a później słońce znów grzeje na powitanie wiosny.

Usiadła obok Doogiego na starej, drewnianej ławce pod rozrośniętą winoroślą przy drzwiach.

- *Si*, Doogie, myślę, że spodobają ci się zimy na Majorce.

Doogie objął ją ramieniem i zaczął delikatnie gładzić jej włosy. Siedzieli, patrząc w dół, na wioskę; światełka w oknach w oddali przypominały migotanie gwiazd odbitych w nieruchomej wodzie studni starej *finca*. Żadne z nich nic już więcej nie mówiło, oboje pragnęli, by każda mijająca sekunda była minutą, a każda minuta - godziną. Dookoła cykał sennie chór niewidzialnych świerszczy, a gdzieś ze swojej kryjówki wysoko nad Finalet Pou Vell słowik zaczął wyśpiewywać swoje trele, być może ten sam, którego Doogie słyszał podczas swojej poprzedniej wizyty w tej zaczarowanej dolinie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Smutek rozstania

Kiedy Doogie i Catalina przyjechali na lotnisko w Palmie, panował tam chaos normalny o tej porze roku. Być może był to zorganizowany chaos, jak przystało na jedno z najbardziej ruchliwych wakacyjnych lotnisk na świecie, ale jednak chaos. Doogie był już z tym zaznajomiony i dlatego pospiesznie zajął miejsce w długiej kolejce do odprawy na lot Merryweather Holidays do Glasgow.

- Nie masz bagażu, Doogs? - spytała dziewczyna przy odprawie.

- Nie, tylko tę wierną starą torbę, z którą przyleciałem i którą zabieram jako bagaż podręczny. Potem jest dużo łatwiej przy wysiadaniu.

- Wow! Gdyby wszyscy tak latali!

- Gdyby wszyscy tak latali, nie miałabyś pracy -zażartował Doogie. - Tak jak ja!

- Tak, słyszałam, przykro mi - odparła dziewczyna tonem sugerującym, że ma to gdzieś. W końcu takie rzeczy działały się bez przerwy. W tej branży to była norma.

- Ale nie przejmuj się - dodała, podając mu kartę pokładową z wyćwiczoną imitacją uśmiechu. - Coś się znajdzie. Do zobaczenia, kochany... NASTĘPNY!

- JUUUUHUUUU, DOOGIE! - zawołał ktoś z końca kolejki.

Doogie rozpoznał ten ton.

- Chryste, to Margaret! - mruknął.

- Przyjaciółka Margaret leci tym samym samolotem? - spytała Catalina z troską w głosie.

Doogie przewrócił oczami.

- Na to wygląda. Ale me miałem wcześniej pojęcia.

Margaret była w towarzystwie dwóch innych dziewczyn i trzech chłopaków, wszyscy byli podobnie ubrani w wojskowe szorty z licznymi kieszeniami, zrolowane wełniane skarpety i wielkie buciory do chodzenia po górach. Szarpali się z dwoma wózkami, na których piętrzyły się prawie identyczne plecaki.

- Go za fart, lecimy tym samym lotem! - powiedziała Margaret, uśmiechając się szeroko do Doogiego. Ciągnięcie wózków zostawiła znajomym. - Hej, jak nie będzie kompletu, może uda się nam zamienić miejsca i usiąść razem!

Rzuciła spojrzenie w stronę Cataliny.

- O, cześć - rzuciła od niechcienia. - Niech pomyślę, Cathenne czy jakoś tak, prawda? Jak miło znów cię widzieć. No więc tak, Doogie...

- Jest komplet, Margaret - powiedział Doogie szorstko. - Miłego lotu!

Wziął Catalinę za łokieć i pociągnął ją przez skłębiony tłum, odwracając się plecami do wściekłej Margaret.

Z doświadczenia wiedział, że jedyne miejsce na lotnisku w Palmie, gdzie można znaleźć trochę spokoju o tej porze, to bary w sektorze odlotów krajowych. Zamiast tłumów zniecierpliwionych rodzin szykujących się do powrotu do domu w najróżniejszych miejscach północnej Europy po dorocznych wakacjach na słońcu, tutaj zazwyczaj siedzieli tylko nieliczni hiszpańscy biznesmeni, czekając przy spokojnym drinku na lot z powrotem na kontynent. W morzu chaosu była to wyspa spokoju i tam właśnie Doogie i Catalina się schronili, wybierając narożny stolik daleko od baru.

Do wejścia na pokład pozostała już niecała godzina. Siedzieli, nie dotykając prawie kaw, które zamówili. Rozmawiali o wszystkim i o niczym, uśmiechali się do siebie nerwowo, bezwiednie gładzili się nawzajem po rękach ułożonych na stole i z całych sił pragnęli, by minuty płynęły wolniej. Siedzieli tak, nieświadomi niczego i nikogo oprócz siebie nawzajem, aż w końcu Doogie spojrzął po raz ostatni na zegarek i wstał.

- Już czas, Cati. Muszę iść. Catalina przygryzła wargę.

- Pójdę z tobą do barierki — powiedziała, z trudem powstrzymując łzy.

Poszli, trzymając się za ręce, przez tłum ludzi w głównej hali; nic nie mówili, ogłuszeni nieubłaganą świadomością, że chwila, której tak się lękali, właśnie ma nadejść. Kiedy dotarli do kontroli paszportowej, przez głośniki nadano właśnie ostatnie wezwanie na lot Doogiego. Catalina nie mogła pójść z nim dalej. W hali odlotów międzynarodowych po drugiej stronie zobaczyli Ingrid, przeganiającego ostatnich pasażerów przez bramkę z napisem „Glasgow - Merryweather Airways MWA 104”.

Doogie odłożył torbę i wziął Catalinę za ręce. Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na siebie, a ich oczy mówiły więcej, niż zdołałyby wyrazić jakiegokolwiek słowa.

Wtedy usłyszeli huczący bas Ingrid z drugiej strony pustej hali:

- Ruszaj się, słońce! Ten głupek czeka tylko na ciebie! Ruchy, ruchy, *rdpido!*

- Będę patrzyła z tarasu na dachu - szepnęła Catalina Doogiemu do ucha, kiedy objęli się po raz ostatni. - Będę patrzyła, aż twój samolot przeleci wysoko nad górą Sa Grua. A jeśli wtedy spojrzysz w dół, może zobaczysz Małą Farmę ze Starą Studnią i pomyślisz o swojej Cati, która czeka, aż wrócisz... któregoś dnia, *si!*

Doogie chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Catalina pocałowała go ze łzami na policzkach, a potem odwróciła się i odbiegła.

Doogie pragnął aż do bólu pobiec za nią.

- Jedna minuta, słońce! - zadzwonił mu w uszach głos Ingrid. - Tyle masz czasu, zanim ten głupek wystartuje bez ciebie. Ruchy!

Doogie podniósł torbę, jeszcze raz obejrzał się na Catalinę, przeciskając się przez tłum, a potem jak w transie przeszedł przez kontrolę paszportową do hali odlotów, w stronę machającego gorączkowo Ingrid. Nagle poczuł się zupełnie sam, a do tego okropnie pusty w środku. Ogarnęło go poczucie straty, którego wcześniej doznał tylko dwa razy - słysząc o śmierci swoich rodziców.

- O tak, smutek rozstania faktycznie nie jest miły, co, młody? - powiedział Ingrid, przedzierając na pół kartę pokładową Doogiego. Wyszczrzył się i klepnął go w plecy. - A teraz biegiem do samolotu!

Jego charakterystyczny śmiech niósł się echem w wąskim rękawie prowadzącym na pokład samolotu do Glasgow.

- I nie zapomnij nam przysłać kartki z pięknej Szkocji, co? *Hasta luego*, słońce, i szybko do nas wracaj!

Catalina stała samotnie i patrzyła, jak błękitny 737 kołuje na pasie startowym. Machała ręką, próbowała się uśmiechać, ale łzy spływały jej po policzkach. Samolot w końcu ryknął silnikami i zaczął się rozpędzać po pasie. Patrzyła, jak wzbija się nad zatoką Palma, przechyliła się na prawe skrzydło i obiera kurs na północ, w stronę gór Tramuntana... i Szkocji.

- *Adiós*, Doogie - szepnęła przez łzy, czując ten sam ból, którego - wiedziała to instynktownie - do-

świadczał właśnie Doogie, patrzący w dół, na wioskę Gapdella i Fincalet Pou Vell. — *Adiós, Doogie, y vaya con Dios...*

Opuściła głowę, kiedy samolot zniknął jej z oczu, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać.

— Głuptak odleciał, pani Słoneczko — powiedział za nią znajomy głos.

Obróciła się gwałtownie i złapała za serce.

— Głuptak odleciał - powtórzył Doogie - ale ta jedna głuptacza kupka została.

Catalina nie wiedziała, czy się śmiać, czy dalej płakać.

— Ale... ja... ty... co się stało? — wyjąkała. — Spóźniłeś się na samolot, nie?

— Nie - odparł Doogie. - Zdążyłem. Ale kiedy przyszło co do czego, po prostu nie mogłem cię zostawić, to wszystko.

— Nie nabierasz mnie?

— Nie — zaśmiał się — nie nabieram cię. To może jakiś powitalny buziak, co?

Catalina podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję, choć wciąż nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

— Ale uczelnia *veterinario* — powiedziała, patrząc mu w oczy. — To wszystko, czego chcieli dla ciebie rodzice. Ja... nie mogę zrozumieć.

Doogie pokiwał głową.

— Och, wiem, ja też ostatnio bardzo dużo o tym myślałem, ale tak mi się wydaje, że kazaliby mi zrobić dokładnie to, co zrobiłem.

- To znaczy, być szczerzy ze sobą, jak powiedział *señor* Szekspir?

Doogie dotknął czubka nosa Cataliny.

- Tak, a poza tym, żebym nauczył się rozpoznawać szczęście, kiedy patrzy mi prosto w twarz oczami tak wielkimi i pięknymi jak twoje.

Catalina zachichotała ze wstydem. Doogie pocałował ją w czoło.

- Chodź, Pocahontas. Pora, żeby kapitan Smith zabrał cię do rodziców.

- Pocahontas? Kapitan Smith?

- Tak - powiedział Doogie. Podniósł torbę i objął Catalinę w pasie. - Kiedyś ci o tym opowiem. Ale teraz muszę o coś zapytać twojego ojca.

- Si?

- Tak. A potem czekają nas zbiory migdałów. A jeszcze potem ty i ja będziemy musieli wymyślić, jak najlepiej oskórować tego kota.